

509

Wrocław,

WSPOMNIENIA

JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO.





JENERAL KLEMENS KOŁACZKOWSKI.  
według fotogramu.

# WSPOMNIENIA

## JENERAŁA

## KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO

KSIEGA I.

od roku 1793 do 1813.

---

(Z SIĘDMU RYCINAMI W TEKSCIE).

---



W KRAKOWIE,  
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.  
1898.



K-84/81

Hh



73425

W KRAKOWIE, W Drukarni „CZASU” FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI  
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.



I.

# Rodzina. — Wychowanie. — Pierwsze lata służby (1793. — 1812).

Urodziłem się w Poznaniu w październiku roku 1793. Trudno byłoby dla mnie oznaczyć, którego dnia na świat się pokazałem, gdyż matka nawet chwili tej oznaczyć już nie jest w stanie, to tylko pewno, że 9 października tegoż roku w kościele parafialnym i kollegiackim św. Magdaleny w Poznaniu, przez księdza wikaryusza Sleciochowicza zostałem ochrzczony. Rodzicami chrzestnymi byli: pan Stanisław Kostka Bniński i pani Katarzyna Miaskowska. Orrzymałem na chrzcie imiona: Klemens, Józef, Eugeniusz. Ostatnie imię to używali rodzice przez niejaki czas; później, nie wiem, z jakiego powodu, zaczęto mnie nazywać *Klemensem* i to imię pozostało mi.

Trudno by było zasięgnąć pamięcią pierwszych wrażeń mojej młodości. Dwa jednakże zdarzenia zostawiły po sobie wyraźne ślady w młodym umyśle. Matka <sup>1)</sup> wracała od ojca swego z Berlina ze mną i ze służącą, w powozie zamkniętym. Niedaleko Poznania, koło młyna wodnego, pocztylion nie trzymając się środka mostu, minął brzeg kołem i obalił powóz,

<sup>1)</sup> Matką generała była Józefa Grudzińska, córka Zygmunta, szambelana dworu pruskiego i Teresy z Krasickich.



wpadliśmy do stawu i bylibyśmy życiem przypłacili jego nieostrożność, gdyby nie młynarz i jego ludzie, którzy nas wyratowali; powóz wydobyli i nas zmoczonych i przemarzniętych rozgrzali we własnych łózkach.

Drugi przedmiot, który mnie mocno poruszył, była to kara różg, wymierzona przeciwko dwom dezterterom pruskim na rynku poznańskim. Widok ich pleców zakrwawionych długo mi tkwił w pamięci.

Przybycie nasze do Wojnowa, majątności, nabytej przez mego ojca roku 1797; pożar miasta Poznania, którego łuna odbijała się o nasze okna; pożar naszego folwarku, zagrażający innym budynkom gospodarskim; zamieszanie stąd powstałe w domu naszym i wyniesienie nas dwojga starszych dzieci do karczny; kara wymierzona nazajutrz przez ojca na opieszających przy ratunku ognia, te wszystkie wypadki żywo mi tkwią w pamięci.

Miałem brata jednego Adama i trzy siostry: Albertynę, Anielę i Klotyldę.

Albercia razem ze mną była przedmiotem pierwszych starań rodziców o nasze wychowanie, według rozumienia owych czasów. Powierzono nas piastunce francuskiej, pani *Le Noir*, która nas wyuczyła języka francuskiego i tym mówiliśmy płynnie i bez akcentu, wprzód nim język ojczysty zaczął się odbijać o nasze uszy. Wprowadzenie do naszego domu księ-

dza, emigranta francuskiego, zwanego *Tisserand*,  
Ks. Tisserand.

był zuakiem dla nas rozpoczęcia naszych nauk. Był to najgodniejszy ze wszechmiar człowiek, który w nas pierwsze zasady religii i moralności zaszczerpił. Nie przestał na tem, ale według możliwości uczył nas mitologii, geografii powszechnej a nadewszystko francuskiej; następnie historii francuskiej od czasów Faramonda do Ludwika XVI. W tym czasie emigranci francuscy przytułek i gościnność nieograniczoną u nas znajdowali. Dość było nosić imię francuskie, aby zostać przyjętym do naszych domów, gdzie od tego zaczynali, aby nami gardząc, nazywając barbarzyńcami, a korzystając z na-

szego zaślepienia, stać się arbitrami gustu i obyczajów. Przybywali oni do nas z przesądami narodowymi, które w nas wpajali, a ponieważ im wyższość w każdym względzie przyznawaliśmy, zaczęli nadużywać tej gościnności i wielu z nich stało się niewdzięcznymi. Rodzice moi niejedno smutne doświadczenie w tej mierze zrobili. Co do nas dzieci, ja i siostra wkrótce znaczne postępy uczyniliśmy w mitologii i w historii Faramonda z wielkim zadowoleniem rodziców i księdza Tisseranda.

Wczem jednak niewygasłą wdzięczność zachowaliśmy dla czcigodnego księdza, że podstawę założył w naszych umysłach w ważniejszych przedmiotach, a tymi są prawidła religii i moralności, któremi się dotąd powodujemy z jego natchnienia, a które są naszą pociechą w starości i pomocą zbawienną w wielu przeciwnościach naszego życia. Ksiądz Tisserand pozostał trzy lata w domu rodziców i to był czas dla nas wszystkich bardzo szczęśliwy. Nie pamiętam, abym od niego odebrał innego napomnienia, jak słowem łagodnem. Kary cielesnej nie zadał mi nigdy. Uczyłem się dobrze i chętnie. Pochwała z jego strony była najlepszym bodźcem, najlepszą nagrodą. Rodzice z największą ufnością zawierzali jego kierunkowi i nigdy zawiedzionymi nie zostali. Przypominam sobie dziś jeszcze, iż za najpiękniejszą uważałem sobie nagrodę, kiedy księdzu Tisserandowi mogłem do mszy służyć w parafii naszej w Długiej Goślinie. Ksiądz Tisserand w czasie pobytu swego u nas, wiele się przyczynił do utrzymania pokoju domowego i zgody między rodzicami. Nieraz był pośrednikiem między nimi, i przez swoje łagodne napomnienia niejedną burzę odwrócił od naszej matki.

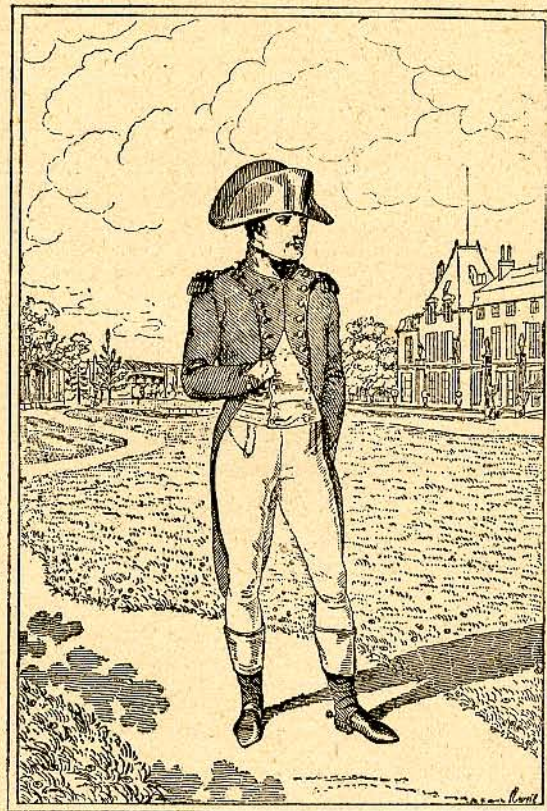
20 października 1800 roku, pierwszy konsul Rzeczypospolitej francuskiej, Napoleon Bonaparte, wydał dekret przywołujący emigrantów, a mianowicie księży, napowrót do ojczyzny. Ksiądz Tisserand, korzystając z tego pozwolenia, postanowił powrócić do Francji. Odjazd jego napełnił dom nasz żałobą. Rodzice i my jego uczniowie, z niewypowiedzianym



żalem pożegnaliśmy czcigodnego księdza. Wkrótce odebraliśmy od niego samą pierwszą wiadomość o szczęśliwym powrocie na ziemię ojcystą. Przyjęty został jak najuprzejmiej przez ludność dawnej swojej parafii; objął probostwo w Arcis sur Aube w departamencie Aube, i w kilka lat potem dziekania w mieście Soigny, departamentu de l'Yonne. Utrzymywał z nami korespondencyę do roku 1810. Pamiętając na jego dla naszego domu przysługi, udałem się do niego listownie z Sedanu w roku 1814, w czasie mego pobytu we Francyi, i obszerną odpowiedź odebrałem. Był to ostatni list od tego zacnego księdza.

Majątek ojca składał się w tym czasie z dóbr Wojnowa, o trzy mile od Poznania, pół mili od Murowanej Gośliny i Żydowa <sup>1)</sup>; Krzyszkowa i Roztworowa, w powiecie hornickim na lewym brzegu Warty; prócz tego posiadał Gogolewo i Niepart w krobaskim, które później sprzedał (dziś są w ręku rodziny Czarneckich). Wojnowo w tym stanie, w jakim jest

dzisiaj, wszystko winno pracy mego ojca. Wszystkie Majątek ojca. dzieło jego starania do tego dążyły, aby posiadłość zaniedbaną ze wszech miar podnieść, tak pod względem dochodu, jak i przyjemności. W chwili, kiedy Wojnowo dostało się w jego ręce, podobne było do wielu innych polskich wiosek. Dom mieszkalny zawierał tylko dwa pokoiki, budynki gospodarskie w opłakanym znajdowały się stanie; chłopcy mieszkali w obdartych lepiankach; ani sadu, ani ogrodu nie było, pola zaperzone i niedoprawione. Praca ojca zmieniła całą postać wioski. Budynki wiejskie odbudował porządnie w dwóch liniach, według starego planu. Dom nasz przybudowaniem powiększył i zrobił go wygodnym. Budynki gospodarskie ponaprawiał, urządził wewnątrz, potrzebniejsze przydał, jak to: dwie stodoły, wielką murowaną gorzelnię i browar ze stajniami dla 60 opaśnych wołów i 200 wieprzy; spichrz piękny,



NAPOLÉON BONAPARTE JAKO I. KONSUL  
przechadzający się w Malmaison  
(wedle obrazu Isabey'a).

<sup>1)</sup> Te obydwie majątki kupił 1796 roku od pana Korytowskiego za 128.333 1/2 talarów pruskich.



murowaną oficynę; założył nową kolonię z Holendrów, zwaną Klimuntowo, wieś zarobną. Brody powiększył lub naprawił; ogrody, sady i plantacye po drogach, szczególnie go zajęły. Dwa wielkie ogrody owocowe, do których najwyborniejsze szczepy sprowadzał z Poczdamu, dwa sady; drogi wysadżane topolami we wszystkich kierunkach; oranżerya piękna, zawierająca trzysta drzewek pomarańczowych i cytrynowych rodzących i wiele krzewów i roślin egzotycznych; szpalery murowane, okryte winogronami i brzoskwiniami przedziwnymi, po kilku latach pracy i znacznych kosztach najprzyjemniejszy przedstawiały widok i znaczne korzyści przynosiły właścicielowi prócz własnej przyjemności.

Lecz gospodarstwo rolne nie cierpiało na tem bynajmniej. Inwentarze były dobre, krów holenderskich 50 stało na oborze. Grunt wzbogacał się co raz bardziej, tak, że i na lżejszych rolach koniecznie piękne widzieć było można. Do podniesienia się roli wiele przyczyniały się gorzelnie i browary, chociaż finansowo biorąc, zyski nakładom nie odpowiadały.

Zdawałoby się, z tego wnosząc opisu, iż stan majątkowy ojca powinien był być jak najpomyślniejszy! tak jednak nie było. Budynki nowe i zakłady kosztowały bardzo wiele; dochody nie wystarczały na nie, a tem mniej na zapłacenie procentów od sum, na dobrach zahypotekowanych. Urządzenie Wojnowa, w sposobie dopiero opisanym, kosztowało przeszło 150.000 złp.; a tymczasem pretium, za które pan Powelski w roku 1827 nabył Wojnowo na publicznej licytacji, nie przechodziło 300.000 złp. Tymczasem ojciec nasz lepszą część majątku; Żydowo i Krzyżkowo, w nierównie lepszej ziemi i rozleglejsze od Wojnowa, zupełnie zaniedbał. Te dwie wsie puszczone były w dzierżawę; ojciec nie wkładał w nie, nie budował; stąd znaczne urosły pretencye dzierżawców, które później do obciążenia się przyczyniły.

Śmierć kanonika Antoniego Kołaczkowskiego, dalekiego kuzyna naszego ojca, powiększyła majątek ojca przez przyłączenie Roztworowa, wsi o 400 wiertelach wysiewu do dóbr

Żydowa. Od roku 1796 ojciec uważał się za dziedzica tej wsi, którą kanonik dał pod warunkiem płacenia jemu 12.000 złp. dożywotnie, a zapisał ojcu, pod warunkiem spłacenia pewnej niewielkiej sumy bliższym sukcesorom.

Zacna matka nasza trudniła się szczególnie wychowaniem naszym, domem i gospodarstwem kobiecem. Chociaż słabego zdrowia, nie opuszczała żadnej powinności. Rano wstawała, sama każdego szczegółu dojrzała, i kilka razy na dzień wszędzie przytomnością wszystkich ożywiała. Dlatego też gospodarstwo wiele jej przynosiło. Nabiał, drobiazg i ogród były źródłem znacznych dochodów. Przy tych rozgałęzionych zatrudnieniach, znajdowała czas do zajęcia się nami, do czytania nowych dzieł i przyjmowania częstych gości, których gościnność rodziców do naszego domu przyciągała. Sąsiedztwo nasze składało się z familii Forsythów, mieszkających w parafii naszej Długiej Goslinie, dokąd co niedziela zajeżdżaliśmy. Pan Forsyth był niegdyś pułkownikiem wojska koronnego i zachowywał do późnego wieku wojskową owego czasu sztywność. Żona, z domu Korytowska, była najbliższą przyjaciółką matki naszej, i dochowała jej swojej przyjaźni do samej śmierci, która nastąpiła w Poznaniu roku 184... W jej domu przebywały dwie siostrzenice, panny Honorata i Stanisława Mielnińskie, które wiele się przyczyniały do uprzyjemnienia tego domu. Starsza niezamężna, już nie żyje; młodsza, w roku 1850 także niezamężna, mieszka we własnym domu w Poznaniu, i przyjaźń dla naszego domu w spadku odebrała po ciotce. W stronie przeciwnej o pół mili od Wojnowa, leży Łopuchowo, zamieszkałe podówczas przez familię podczaszego Chłapowskiego, którego córka Barbara w roku 1810 poszła za generała Henryka Dąbrowskiego, sławnego w ojczyźnie naszej legionów włoskich wodza; z tą także familią ściśle nas wiązały sąsiedztwa i przyjaźni stosunki, które trwały aż do końca naszego pobytu w tych stronach. Wszystko się dziś tam zmieniło. Wojnowo, nasze ulubione siedlisko, kupił po naszych majątkowych

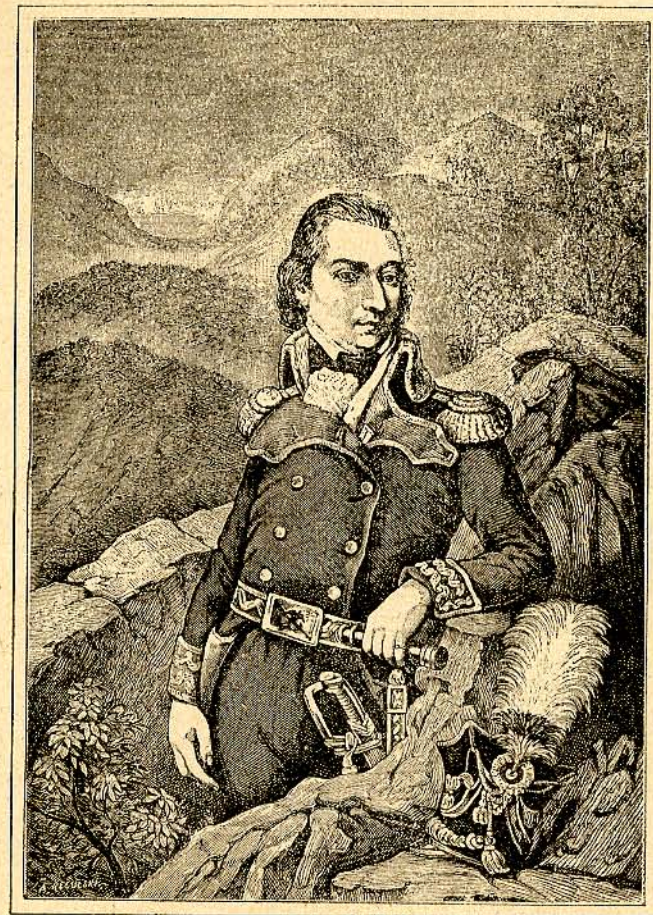


kłękach Powelski, bogaty kupiec winny z Poznania. Długą Goślinę i Łopuchowo kupili Niemcy.

Wychowanie moje. Po wyjeździe księdza Tisserand, rodzice nasi przyjmowali do swego domu kilku emigrantów z Francji; nie wspomnę tu o tych, którzy krótko zabawili i żadnej pamiątki dobrej po sobie nie zostawili; przypominam sobie tylko dwie damy: pannę Nelin, kanoniczkę i baronową Laplane, którym nas szczególnie powierzono: że jednak wiadomości ich okazały się bardzo poślednie, co je nie broniło od wymagań przesadzonych i wielu śmieszności, nie wieleśmy pożytku z nich odnieśli. Zabawiwszy kilka miesięcy u nas, pojechały szukać szczęścia w innych polskich domach.

Okolo roku 1802 zjawił się u nas niejaki pan Witkowski, dawny legionista, przybyły z armii reńskiej, którego pieczy mnie i brata Adama powierzono. Zdaje się jednak, że zdolności jego nauczycielskie nie były wielkie, albo też nasze usposobienie niedostateczne; albowiem nasze postępy bardzo się małe okazały. Pierwsze początki muzyki na fortepianie odebrałem od pana Moszczeńskiego, którego gwałtowne w nauce sztuk nadobnych postępowanie, na długi czas od muzyki mnie odstręczyło. Ojciec nasz, sam namiętnie lubiący muzykę i grający na flotrowersie, radby był ze mnie wirtuozę zrobić, lecz pod przewodnictwem takiego metra, nie wiele sobie obiecywać było można. Dopiero później żyłka muzyczna pod innymi nauczycielami rozwinęła się, i dziś jeszcze muzyka do ulubionych moich rozrywek należy.

Przeniesienie do Wrocławia. Roku 1804, ojciec postanowił zawieźć nas do szkół do Wrocławia, i na dyrektora naszego wybrał pana Wysiekińskiego, dawnego ucznia Jezuitów i byłego profesora w Krakowie, człowieka zacnego, moralnego, sumiennie wypełniającego obowiązki swoje względem nas, lecz przywiązanego zbyt do dawnych metod jezuickich. Posiadał on języki: polski i łaciński; w historii, geografii i literaturze był biegły, lecz sam mało nad sobą pracował, nie postępował bynajmniej z czasem i życie prowadził



JAN HENRYK DĄBROWSKI W MŁODOŚCI,  
jako porucznik gwardji saskiej

(Podług portretu z r. 1776 w Winnogórze w X. Poznańskim,  
gdzie pochowany).



spokojne, lecz nie bardzo czynne. Jego korepetyce nie wiele nas naprzód posuwały. Mieszkaliśmy we Wrocławiu »Pod trzema górami«, u Morica i tam się stołowali. Mieliśmy nauczyciela języka niemieckiego, do francuskiego księdza Delorme; do muzyki pana Bernera, organistę kościoła św. Elżbiety; do rysunku pana Felderna. Prócz tego dla dopełnienia naszego fizycznego wychowania, przychodził do nas codzień ogromny kapral pruski z pułku Treuenfels, wypudrowany, z wielkim wypomadowanym arcapem, który nam lekcye musztry dawał i nauczał nabijać na dwanaście tępów. Przepędziliśmy tym sposobem dwa lata na prywatnych lekcjach, do roku 1806.

Roku 1805 w jesieni, pierwszych zobaczyłem Rosyan w pochodzie przez Wrocław na Austerlitz. Był to korpus Essena. Zapach dziegciu oznaczał ich przybycie. O barbarzyństwie wojska tego i szaleństwach Wielkiego księcia Konstantego, który także przez Wrocław przejeżdżał, cudne opowiadano anegdoty.

Na początku wojny francuskiej 1806 roku, ojciec znalazł nas dość przygotowanych do rozpoczęcia kursów publicznych w ówczesnym katolickim kolegium (Aula Leopoldina).

Po odbytym egzaminie przed rektorem wszedłem do czwartej klasy od dołu, teraźniejszej trzeciej; brat Adam do drugiej. Wówczas liczyłem lat trzynaście. Profesorami mymi byli: Bach do łacińskiego języka, Schneider do greckiego, Hansdorf do historii, Wiechota do matematyki i Reichel do religii. Tłómaczyliśmy w tej klasie komentarze Cezara, Salustjusza historję sławnych ludzi, Wojnę Jugurty, Ksenofonta Anabasys i t. d. Postępy moje przy pilności okazały się wielkie, wkrótce odznaczałem się pomiędzy współuczniami i stałem się ulubionym uczniem moich profesorów. W przeciągu sześciu miesięcy byłem drugim uczniem w klasie.

Kolegami mymi szkolnymi byli: Pago, Schuster, Polentz, Wanke, Żeromski, Piętkiewicz, hr. Goetz, hr. Węgierski, hr. Leopold i Karol Schaffgotschowie i t. d.

Nad wszystkich celował Pago, o lat dwa odemnie starszy, z którym ścisłą przyjaźń zawarłem.

Mieszkanie dla nas obrano w sąsiedztwie kolegium (dawnie kolegium pojezuickie) i blisko kościoła szkolnego, czem nasze chodzenie do szkół nadzwyczajnie było ułatwione. Dawny poczciwy służący nasz Karol, który brata Adama wypiastował i kucharka służaczka składały nasz mały dwór. Stosunki nasze towarzyskie ograniczały się na domu szanownej damy polskiej, pani Garczyńskiej, której dwaj synowie: Tadeusz i Filip pod kierunkiem księdza polskiego Luna, prywatnie wychowanie odbierali, i na domu pani Morawskiej, której córka później wydana za Dominika Radziwiłła, jaśniała na horyzoncie warszawskim. Czasem też odwiedzaliśmy młodych hrabiów Schaffgotsch i hrabiego Goetza u ich rodziców. Spacery nasze zwykle kierowaliśmy w wolniejszych chwilach na wały, w kierunku Hundsfield (Psie pole, sławne pobojowisko z czasów [1109 r.] Bolesława Krzywoustego) na drodze ku Polsce, ku ogrodowi księcia Hohenlohe i pomnikowi, na cześć generała Trauenzien przed Świdnicką bramą wystawionemu, albo też za bramę Olawską (Olauer Thor), lub nareszcie ku pięknemu dębowemu lasku na lewym brzegu Odry.

Wspominałem już wyżej, iż pierwsze zasady religijne winien byłem czcigodnemu księdzu Tisserand; przybywszy do Wrocławia w dwunastym roku wieku mojego, osądzono mnie za godnego przystąpić do Stołu Pańskiego. Pierwszą spowiedź odebrał odemnie arcypasterz kościoła św. Mikołaja, starzec poważny, którego rady ojcowskie głębokie sprawiły wrażenie na młodym umyśle. Z jego to szanownych rąk odebrałem po raz pierwszy Komunię świętą. Było to roku 1805.

Ojciec niczego nie szczędził na wychowanie nasze. Pomimo tego, że czas nasz w szkole był bardzo zajęty, przeznaczył nam metrów partykularnych: metra do fortepianu pana Kless'a, organistę u Augustyanów; później gdy mało z tym korzystałem, ostatniego roku pana Klingohr, i jemu winienem wszystko co teraz umiem; księdza Delorme do języka francu-



skiego, Felderna do rysunków, metra fechtowania pana Cezarini, metra konnego jeżdżenia; prócz tego pan Wysiekiński, nasz guwerner, powtarzał niektóre kursa z nami i dawał nam kurs języka i literatury polskiej. Stąd widzieć można, żeśmy czasu nie tracili a na uzupełnienie wszystkiego, aby mi rozum lepiej otworzyć, przychodził przez sześć miesięcy, każdej niedzieli stary żyd, który mnie gry szachów nauczał. Zgoła ojciec niczego nie żałował, ażeby nas pod każdym względem wykształcić w duchu tamtego wieku. Koszt, na nasłożony w Wrocławiu, wynosił pewnie do dwóch tysięcy talarów rocznie, co w stanie jego majątkowym musiało być wielką ofiarą.

Prawda, że nam żadnego nie zostawił majątku, lecz ważniejsze dobrodziejstwo starannego wychowania, które podstawą stało się późniejszego mego zawodu. To jemu jedynie jestem winny i za to bardziej jak za majątek, niewygasła w moim sercu wdzięczność zachowałem!

Zaledwie kursa nasze zostały rozpoczęte, kiedy wojna 1806 roku Prus przeciwko Napoleonowi przerwę w nich sprawiła. Widzieliśmy wychodzących na tę wojnę rycerzy pruskich. O jakże wyrodzili się potomkowie zwycięzców pod Rossbach i Leuthen! Już ani śladu nie było między nimi dawnego militarne go ich ducha. Wymarsz regimentów Hohenlohe i Treuenfels, kirasyerów Dolfsa, raczej pogrzebu obraz przedstawiał, jak radośnego pochodu przeciw nieprzyjacielowi. Żołnierze smutni, źle ubrani, bez płaszczy; młodzi oficerowie tryumfujący naprzód z przyszłych nieochybnych zwycięstw; wyżsi oficerowie w zgrzybiałej starości, żegnający z płaczem swoje familie; kolumny przeciążone bagażami, końmi obładowanymi, wozy napełnione łózkami oficerskimi, po bokach kojce z indykami i kurami: taki widok mieliśmy, spotykając owe sławne wojsko pruskie, wybierające się do zwycięstw nad Francuzami.

Wkrótce owoce tak wielkiego zaniedbania uczuć się dały, głuche odgłosy klęsk poniesionych poprzedziły pierwsze wiadomości wojenne. Nareszcie jak grom z nieba pogodnego

pierwsza wiadomość o klęskach pod Jeną i pod Auerstaedt, potrwożyła poczciwych mieszkańców Wrocławia. I oni nie mieli być oszczędzeni w pogromie tak niesłychanym ogólnym państwa pruskiego. Wiadomości o wzięciu Erfurtu, Magdeburga, Kistryna, Szczecina, o kapitulacyi pod Prenzlau i Lubeką, o zwyciężkiem wejściu Napoleona do Berlina 2 grudnia 1806, o rozbiciu się zgoła całej potęgi państwa: jedna drugą goniły. Nareszcie wzięcie Głogowy, o dwadzieścia mil od Wrocławia położonej, oświeciło mieszkańców o własnem ich niebezpieczeństwie.

Korpus, złożony z Francuzów, Wirtemberczyków i Bawarów pod komendą Hieronima Bonapartego, brata młodszego cesarza, podstąpił pod Wrocław dnia 5 grudnia 1806. Załoga składała się z 6.000 pruskiego żołnierza pod komendą generała Thiela. Twierdza opasana była potężnymi wałami, bez murowanej jednakże odzieży, rowy napełnione wodą Oławy i Odry; drogi kręte opalisadowane; ani prochu, ani kul, ani żywności nie brakło, lecz duch dawny Fryderyka Wielkiego wystąpił z obrońców; choć sprawiedliwość im oddać należy, że tak haniebnie nie postąpili sobie, jak garnizon Magdeburga, Szczecina i Kistryna.

Naprzód lekki oddział wojska, rozpoznawszy przystęp do twierdzy, rzucił na postrach mieszkańców kilkaset granatów do miasta i wezwał gubernatora do poddania. Gdy demonstracya ta okazała się nieskuteczną, przystąpiono dopiero do istotnego obsaczenia i oblężenia twierdzy. Pierwsze granaty, które do zamożnego miasta wpadły, wielki postrach wznieciły u jego mieszkańców; cóż dopiero, kiedy obszerne, bogate przedmieścia z rozkazu gubernatora zapalone zostały. Każdy przewidział wtedy klęski, na jakie mieszkańcy wystawieni w oblężeniu i zaczęto przysposabiać się w żywność i inne potrzeby domowe na czas dłuższy. Ponieważ dom nasz leżał blisko wałów, a na kurtynie sąsiedniej stała bateria moździerzowa, zaczęły kule i bomby nieprzyjacielskie nawiedzać

Oblężenie  
Wrocławia.





okoliczne domy. Gdy i naszemu domowi kilka pocisków dostało się, zmaglani byliśmy opuścić zbyt niebezpieczne pomieszkание i schroniliśmy się do domu pani Garczyńskiej, którego dół był sklepiony i zawierał bezpieczne piwnice i tam czekaliśmy dalszych wypadków.

Po tej pierwszej demonstracyi nastąpił wkrótce atak gwałtowniejszy. Korpus nieprzyjacielski opasał twierdzę na obydwóch brzegach Odry i otworzył zakopy pomimo mrozów w nocy.

Przykopy prowadzone były usilnie pomiędzy bramą św. Mikołaja i bramą Olawską i pomimo żywego ognia z twierdzy, Francuzi w krótkim czasie założyli kilka baterij wielkiego kalibru, zwróconych szczególnie przeciwko miastu, których niszczący ogień wkrótce dał się uczuć. Wielka liczba domów dotkniętych została granatami i bombami. Niektóre z gruntu zniszczone, inne mniej więcej ucierpiały. Wielu mieszkańców legło. Dom, przez nas zamieszkaany, odebrał także kilka pocisków. Granat wpadł do izby naszej sypialnej, po wyprowadzeniu się naszym do piętra dolnego i piec przewrócił. Inne na podwórzu pękły. Musieliśmy się schronić w czasie najmocniejszego bombardowania do piwnic i tam w towarzystwie pani Garczyńskiej najgorsze chwile spędziliśmy. W godzinach wolnych od bombardowania porzucaliśmy niemiłe nam towarzystwo szczurów, ażeby odetchnąć na podwórzu, a nawet kilka razy pod przewodnictwem kapitana Zabłockiego z regimentu Hohenlohe odważyłem się na wały, ażeby rozpoznać położenie nieprzyjacielskich baterij, ich zakopów, obrony drogi krytej i baterij wałowych naszych. Odtąd zacząłem przyswajać się z przyszłym moim inżynierskim zawodem.

Mówiłem już wyżej, iż wały wprawdzie oblane były dokoła wodą, lecz brakowało im odzieży murowanej. Z tej to okoliczności dowodzący oblężeniem generał francuski Wandame korzystając, przedsięwziął doświadczyć, czyliby szturmem nie udało się twierdzę pochwycić. Porobione zostały

w tym celu przysposobienia. Lecz Prusacy odkryli ten zamiar i przygotowali się do należytego odparcia. Jasność nocy do reszty zamiar zdradziła — musieli Francuzi odstąpić od przedsięwzięcia. Tymczasem książę Anhalt-Pless, dowodzący w górnym Śląsku, ściągnął z twierdz pruskich, Koźlina, Neissy, Silberberga i Glatzu część garnizonów w jeden korpus, wzmocnił go ochotnikami i powstaniem, i z korpusem 12.000 zbliżył się na odsiecz Wrocławia. Jenerał Wandame pospieszył naprzeciw nim z Bawarczykami i 13 pułkiem liniowym francuskim, zadał klęskę i powrócił pod Wrocław, ażeby poprzeć oblężenie tem silniej. Nareszcie mrozy mocne chwyciły wodę w rowach. Nie było już przeszkód do szturm; a gdy do tego dzieła przygotowania ukończone zostały, wezwał powtórnie twierdzę do poddania. Komendant, obawiając się skutków, jakieby niezawodnie spadły na to handlowe miasto, przystał nareszcie na kapitulację i twierdzę dnia 7 stycznia 1807 roku zdał francuskiemu wojsku.

Nazajutrz garnizon broń złożył, a wojska francuskie, bawarskie i wirtemberskie pod ko-  
Kapitulacya  
Wrocławia.  
mendą Hieronima Bonapartego miasto zajęły. Powtórna demonstracya a spóźniona, księcia Pless na odsiecz Wrocławia, zakończyła się tak jak pierwsza, zupełną porażką pod Kanth, o trzy mile od Wrocławia; do tego przyczynił się najbardziej pułk ułanów polskich, świeżo nadeszły z Neapolu. Smutny był to widok jeńców pruskich: ich nędza, smutek i rany dały mi poznać stronę boleśniejszą wojny. W parę dni potem widzieliśmy tryumfalny wchód zwycięzców. Pierwszy raz oglądałem wojsko francuskie. Piechota ich złożona była z ludzi małych, krępych i silnych: większa część 10 do 15 lat służby liczyła. Ich lekkość, zgrabność i wesołość wszystkich zadziwiała. Spoglądając na nich i porównując z następcami Fryderyka Wielkiego, nikt się już nie dziwił skutkom ostatniej kampanii. Bawary odznaczali się także piękną wojenną postawą i wzrostem wielkim, ich jazda (*Chevaux-légers*) zdawała się szczególnie usposobioną do wojny.



Przeciwnie, wirtemberskie wojsko nie podobało się nam wcale: reputacya rabusiów poprzedzała ich wszędzie. Lecz jakież nasze było szczęście, gdyśmy pierwszy raz oglądać mogli pułk ułanów polskich. Ich ubiór narodowy dochował się zupełnie: mundur granatowy, wyłogi i wypustki żółte; chorągiewki u lanc czerwone z białym — tylko kokarda trójkolorowa przypominała, że w służbie francuskiej zostają. Byli to rzeczywiście żołnierze z pod Novi i Hohenlinden!

Zaledwie przystępy do Wrocławia zostali wolne, a już rodzice troskliwi o nas, starali się o wiadomość o naszym powodzeniu przez p. Konstantego Krzyckiego, krewnego matki naszej, który nam się w mundurze polskim pokazał. Od niego dowiedzieliśmy się o wejściu Francuzów do Poznania i do Warszawy, o powstaniu ogólnem zabranych części Polski, a mianowicie Wielkopolski, o nowej formacyi korpusu polskiego pod dowództwem generałów: Dąbrowskiego, Zajączka i księcia Poniatowskiego.

Kilka tygodni po poddaniu się Wrocławia, w połowie kwietnia udaliśmy się do rodziców, ponieważ nauka jeszcze była przerwana. Przejeżdżając przez Poznań, spotykaliśmy nowe oddziały żołnierzy polskich, których na placach mustrowano. Ojciec nasz z matką pospieszył do Poznania na przyjęcie cesarza i wyznaczony został ze strony obywateli do służby przy jego osobie. Matka wraz z innemi damami przedstawiona mu została na publicznem posłuchaniu. Nienajpomyślniejsze wrażenie pozostawił po sobie ten ogólny przegląd. Napoleon roztargniony, nie grzecznego powiedziec żadnej damie nie potrafił, prócz urywkowych, niestosownych czasem ani do wieku, ani do stanu zapytań; które z jego zwłaszcza ust mocno zadziwiać musiały. Przypomnieli sobie wszyscy, iż on był tylko szczęśliwym żołnierzem, nie wychowanym na stopniach tronu, któremu grzeczne słówka monarchów z Bożej łaski obcemi były, który pewnie w czasie przeglądu dam inne miał myśli w potężnej głowie.

Napoleon, który dnia 25 listopada przybył do Poznania, wyruszył stamtąd w nocy z dnia 15 na 16 grudnia i w nocy z dnia 18 na 19 stanął w Warszawie.

Po jego wyjeździe ojciec ofiarował swoje usługi obywatelskie tworzącej się administracyi i gorliwie zaczął w niej pracować jako konsyliarz prefektury. Matka najęła pomieszkowanie w Poznaniu, dom swój otworzyła i zaczęła przyjmować wieczorami.

Po kilku tygodniach, w domu rodzicielskim przepędzonych, powróciliśmy do naszych nauk do Wrocławia; miasto napełnione Polakami zastaliśmy: organizował się wtedy legion nadwiślański z żołnierzy pruskich, rodowitych z Polski, z ochotników, i dostawionych przez obywateli rekrutów złożony. Zastaliśmy także Francuzów, zajętych wysadzaniem wałów Wrocławia; wkrótce piękne te dzieła przedstawiały tylko widok gruzów i nieforemnych nasypów ziemnych. Najwyższy punkt twierdzy, tak zwany *Taschenbastion* w bok bramy Oławskiej, zamienił się w obszerny bulwark, który później przemysłem mieszkańców stał się najpiękniejszym spacerem miasta.

Resztę roku 1807 przepędziliśmy na zwieźlejszych naukach. Ku końcowi tegoż roku postąpiłem do piątej klasy i w niej pozostawałem aż do wakacyj roku 1808. O tej to porze ojciec zaczął mnie przeznaczać do stanu wojskowego. Rozpocząłem więc lekcye prywatne jeometrii praktycznej i rysunku planów u profesora Wiechoty, nie zaniedbując przytem publicznych kursów klasy szóstej, do której w końcu roku 1808 przeszedłem. Nie potrzebowałem pomocy profesorów w niektórych przedmiotach jako to: polskim i francuskim. Postępowałem dalej w języku łacińskim, greckim, w historyi i matematyce. Tłumaczyliśmy w tej klasie Eneidę Wirgiliusza, ody Horacyusza, historję Germanów Tacyty, Illiadę i Odyseję, historję wojny Peloponeskiej Tukydidesa. Co się tyczy matematyki, ta na bardzo niskim była stopniu i ani nie zasługiwała na porównanie co do obszerności przed-



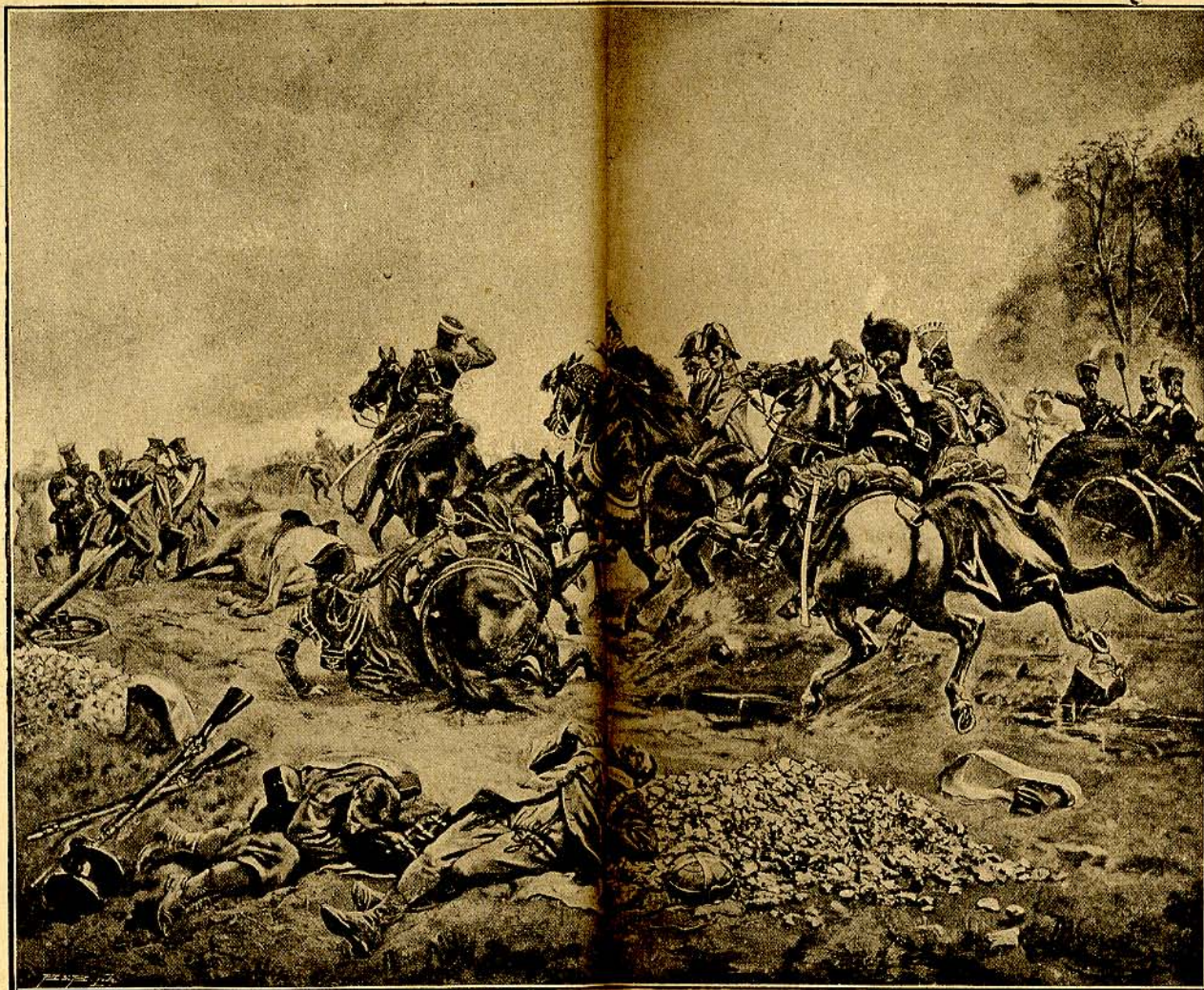
miotów i metody nauczania z kursami francuskich liceów, a nawet szkół warszawskich. Cokolwiek algebry i jeometrii według elementarnego dzieła Lorénza; solydometrią również nisko dawano i jeszcze słabiej pojmowano; na tem ograniczały się kursa połączonych klas: piątej i szóstej. Wkrótce prywatne godziny z profesorem Wiechotą pozwoliły mi wyprzedzić moich współuczniów, chociaż wyznać muszę, że pomimo usilnej pracy, dla złej metody profesora, nie czułem się dość utwierdzonym do egzaminu ścisłego. Na początku roku 1809 jeszcze usilniej zacząłem pracować, statykę ciał stałych przydałem do mojego prywatnego kursu i według zdania profesora znalazłem się dość przygotowanym do egzaminu w matematyce elementarnej. Ojciec od początku roku 1809 postanowił mnie zawieźć do Warszawy i przedstawić na ucznia do szkoły aplikacyjnej artylerii i inżynierów Księstwa Warszawskiego, której program ogłosiły pisma publiczne. Wybadawszy mnie tak co do chęci, jak i usposobienia, rozkazał mi przybyć do domu ostatnich dni marca. Wyruszyli-

Przybycie do  
Warszawy  
1809 roku.

śmy w drogę do Warszawy i przybyliśmy do stolicy w chwili, kiedy się przygotowywano do wojny roku 1809. Ojciec mój udał się natychmiast do generała Hebdowskiego, dawnego przyjaciela naszej rodziny, zastępującego podówczas ministra wojny, do którego mnie nazajutrz zaprowadził. Za jego to staraniem przedstawiony zostałem generałowi Pelletier, komendantowi artylerii i inżynierów, pułkownikowi Mallet, dyrektorowi inżynierów i Bontemps'owi, dyrektorowi arsenału. Wszyscy trzej opuścili służbę francuską z rozkazu Napoleona, dla uorganizowania służby odpowiednich broni w Księstwie Warszawskiem. Wszyscy mnie uprzejmie przyjęli, pytali o moje poprzednie nauki, obejrzel i rysunki i kazali umieścić na liście kandydatów do szkoły aplikacyjnej. Ponieważ liczba wybranych nie miała przechodzić dwunastu, było przeto bardzo wielu obiegających się o te miejsca. Obrany egzaminatorem p. Łęski, profesor liceum warszawskiego; jego świadectwo miało stanowić

w egzaminie. Ojciec nie nie opuścił, ażeby pozyskać jego dla mnie względy, miał bowiem niezrozumiałą dla mnie młodego zasadę, iż wpływy bardzo wiele znaczą na tym nędznym padole. Z tej więc wychodząc zasady, pocziwy ojciec umieścił mnie na kilka dni przed egzaminem, w pensyi pana Łęskiego w pałacu Saskim i tam egzaminowany przez niego, w czem niedostawało, starałem się dopełnić za jego radą. Nareszcie dzień, przeznaczony do egzaminu, zajaśniał dla mnie. Był to dzień 4 kwietnia. Sala arsenału na ten cel była przeznaczoną. Zastałem tam publiczność liczną, wielu młodych ludzi, należących do mojej kategorii, i komisję egzaminacyjną, na czele której był generał Pelletier. Pomiedzy młodzieżą zwracał na siebie uwagę Ignacy Prądzyński, adjutant podoficer 11 pułku piechoty, przybyły z Gdańska dla złożenia egzaminu, którego odpowiedzi jasne i zwięzłe nie zostawiały nie do życzenia. Wojskowy mundur, szpada przy boku, wzrost niski, głowa nadzwyczaj wielka, odróżniały go od innych kandydatów. Wkrótce spostrzegłem, ile jeszcze brakowało usposobieniu memu naukowemu, ażeby się z innymi zrównać kandydatami. W rzeczy samej nie powinienbym był zostać przypuszczonym do konkursu, nie tylko dla wieku, ale i dla słabego usposobienia. To prędkie oszacowanie mojej zdolności w chwili stanowczej, odebrało mi resztę odwagi. Przez nadzwyczajny fawor pozwolono mi zdać egzamin po niemiecku, jako przybywającemu ze szkół niemieckich i to, co mnie może uratowało, nie bardzo pochlebne musiało dać o mnie zdanie publiczności. Egzamin odbył się jako tako, dość przytomnie lecz niedostatecznie. Odchodząc od tablicy pewny byłem, że przepadnę. Tymczasem inaczej się stało z wielkiem mojem zdziwieniem. Bądź to owe wpływy, których nie pojmowałem, bądź wzgląd na wielką młodość, bądź znajomość języka francuskiego, niemieckiego i klasycznych języków: zostałem jednak przyjęty i otrzymałem Nr. 9. Trudno, bym wyraził radość moją na tę wiadomość, a skoro mundur oficerski na siebie włożyłem i szpadę przypasałem do boku,





KSIAŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI W BITWIE POD RASZYNEM  
(dol. 28),  
(Według obrazu Jęciecha Kossaka).



myślałem, że się niebo dla mnie otworzyło. Cóż dopiero, kiedy pierwszy sztydłach przedemną broń zaprezentował! — Przyjęci wraz zenną uczniowie (elewi) nazywali się: Hyacynth Idziński, Józef Koriot, Ignacy Prądzyński, Michał Świda, Fabian Wiszniewski, Benon Tykiel, Jan Romański, Ludwik Łobodzki, Julian Suzin, Feliks Szymanowski, Antoni Roztworowski.

W tej epoce życia mojego byłem wzrostu bardzo małego, szczupły, chudy; niezgrabny w moich poruszeniach, niepewny w całym wzięciu się; i bez żadnej z tych zalet, które wojskowego cechować powinny. Gdy sobie to dziś przypomnę, zdaje mi się, że chybił zawodu. Jakoż rzeczywiście, byłem dzieckiem bez żadnego doświadczenia, najłatwiej przejmującym wszelkie wrażenia świata, wprawdzie bogobojnym i czystym, jak na 15 lat wieku przystało; lecz wkrótce poznałem, iż młodość za wielką jest przeszkodą w stanie wojskowym, zwłaszcza w stopniu oficerskim.

Patent mój oficerski datowany był dnia 10 kwietnia 1809 roku, a 15 kwietnia jenerałny marsz rozlegał się po ulicach Warszawy. Odebrano bowiem wiadomość, iż wojsko austriackie pod komendą arcyksięcia Ferdynanda d'Este przechodzi Pilicę. Bilet przywieziony przez podpułkownika Mallet'a dnia 9 kwietnia, żadnej wątpliwości w tym względzie nie zostawiał; w tem piśmie donosi arcyksiążę, iż *wskutek deklaracyi cesarza Napoleona, wojsko pod jego rozkazami zostające, dnia 15 kwietnia, o godzinie 7 rana naprzód się posunie i po nieprzyjacielsku postąpi z wojskiem przeciwnem*. Wprawdzie po ruchach w Galicyi spodziewać się można było, iż wojna jest bliską, gdy jednakże nie odbierano żadnej urzędowej wiadomości, ani od cesarza, ani od króla Saskiego o tak bliskiem rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich, żadnego przygotowania nie zrobiono dla odparcia nieprzyjaciela.

Wojsko Księstwa Warszawskiego podówczas składało się z trzech dywizyj: pierwszą dowodził książę Józef Poniatowski,

drugą jenerał Zajaczek, trzecią jenerał Henryk Dąbrowski. Do tego sześć batalionów polnych, z tych jeden w Hiszpanii pod kapitanem Kamińskim, jeden w Gdańsku i dwie konne baterie, świeżo uformowane: jedna przez Włodzimierza Potockiego, druga przez Romana Sołtyka, własnym kosztem.

Z tych dwunastu pułków piechoty trzy były użyte w Hiszpanii, dwa w Gdańsku, siedem pułków, czyli czternaście batalionów, było tylko do dyspozycyi: jazdy tylko pięć pułków, ponieważ jeden był w Niemczech, a dział polowych tylko 32, zaprzężonych i gotowych do boju.

Bataliony trzecie były dopiero w formacyi, nie miały wszystkie karabinów i użyte być nie mogły na linii bojowej. Twierdze: Modlin, Praga (szaniec przedmostowy), Sierock i Toruń źle uzbrojone, jeszcze gorzej w żywność zaopatrzone.

Prócz tych czynnych wojsk stały pod Warszawą trzy bataliony saskie, dwa szwadrony huzarów i 12 dział pod komendą jenerała Pollentza, które czynny udział miały w bitwie raszyńskiej, lecz zaraz potem przez Płock, Toruń, wyruszyły do domu.

Naprzeciw tak słabych sił, arcyksiążę Ferdynand miał pod swoją komendą bezpośrednią 25.000 piechoty, 5.000 jazdy, 94 dział i do usługi tychże 2.800 żołnierzy, w ogóle 33.000 ludzi, prócz tego 7.400 rezerwy w Zamościu, Sandomierzu i innych miejscach Galicyi.

Wypadałoby mnie umieścić opis kampanii, dla polskiego oręza tak świetnej, roku 1809, lecz ta kampania, tak pięknie i tak szczegółowo opisana została przez Romana Sołtyka w dziele pod tytułem: *Rélation des Opérations de l'Armée aux ordres du Prince Joseph Poniatowski, pendant la Campagne de 1809 en Pologne contre les Autrichiens*, iż nic do tego dzieła dodaćbym nie potrafił — odsyłam więc do niego czytelników, tylko do rozmaitych wypadków odwoływać zamyslałam się o tyle, o ile w nich miałem cokolwiek udziału.



Bitwa pod  
Raszynem  
19 kwietnia.

Gdy już wątpliwości nie było względem zamiarów wojska austriackiego nad Pilicą, ojciec starał się o ekwipaż kampaniczny dla mnie, kupił dwa konie wierzchowe, zgodził masztalerza do nich i opatrzywszy mnie we wszystkie wojenne potrzeby i 30 czerwonych złotych na drogę, powierzył moją osobę podpułkownikowi Mallet, który mnie i Prądzyńskiego wybrał na adjutantów; sam zaś pospieszył do rodziny, dawszy ojcowskie błogosławieństwo na drogę.

Dnia 19 kwietnia odgłos dział pod Raszynem uwiadomił stolicę, że nasze zastępy potykają się z nieprzyjacielem. Podpułkownik Mallet, któremu powierzone było urządzenie obrony wałów miasta Warszawy, wyjechał ze mną, aby swoje rozporządzenia porobić. Ludność Warszawy bez różnicy wieku, płci i stanu wysypała się, jak roku 1794, za miasto, ażeby naprawiać dawne kościuszkowskie szanse. Zataczano działa, zakładano nowe baterie, zgoła wszystko zaczęło groźniejszą przybierać postać.

Wkrótce ujrzelśmy pierwszych rannych z poboju, pomiędzy nimi był kapitan Deskur z pułku trzeciego jazdy, dawny przyjaciel mojego ojca, który odebrał w nogę mocną kontuzję od kuli armatniej.

Ogień trwał nieustannie do godziny 7 wieczorem. O 8 wszystko zamilkło. W nocy, księżę Poniatowski, po dzielnym odporze, straciwszy przeszło 1000 ludzi i dwie armaty zdemontowane, uznał za rzecz konieczną cofnąć się za wały warszawskie. Tam rozpoczęły się nazajutrz rokowania z wodzem nieprzyjacielskim na forpocztach, a wskutek tychże nastąpił rodzaj konwencji dla miasta Warszawy, wyjąwszy Pragę, 21 kwietnia, o godzinie 5 wieczorem.

Na mocy jej konwencji wojsko polskie miało opuścić stolicę i cofnąć się za Narew w przeciągu dwóch razy 24 godzin, zabrawszy ze sobą władze krajowe, archiwę, broń, artylerję i t. d.

Zrana dnia 22 kwietnia odebrałem rozkaz udania się do Modlina z depeszą, tyczącą się mostu na Narwi i szanцу przedmostowego, do komendanta generała Piotrowskiego. Zmęczony po czteromilowej, pierwszy raz w życiu jeździe, wypełniłem polecenie. Lecz tego samego dnia po obiedzie, trzeba było myśleć o powrocie. Zebrawszy resztę sił wsiadłem na konia, lecz o dwie mile od Warszawy uczułem uciążliwość jechania dalszego; musiałem nająć podwodę i tym sposobem stanąłem u mostu na Wiśle o 10 wieczorem. Na moście wielki zgiełk; piechota nasza przeciągała w stanie dość egzaltowanym wódką, miotając obelgi i przekleństwa na swoich oficerów, a mianowicie na wodza naczelnego: że ich zdradzili, że księżę Poniatowski z austriakami trzyma i t. d., i t. d. U nas bez zdrady nigdy się nie obejdzie; każda niepomysłność, każda ucieczka żołnierzy jest zdradą oficerów. Tak u nas zawsze bywało, skoro tylko węzły karności nie były żelazną ręką dzierżone. Nasz żołnierz jest dobry, a nawet lepszy od innych narodów, kiedy karny; nie-masz ale gorszego, kiedy się rozprzeże i sejmikować zaczyna.

Zdawszy raport o mojej misji podpułkownikowi Mallet'owi, zasnąłem na podłodze snem kamiennym, a nazajutrz zrana byłem tak rzeźwy, jak gdybym nie był osiem mil jednego dnia ujechał.

Dnia 23 kwietnia, o 9 zrana, wyruszyliśmy za wojskiem ku Modlinowi z gronem młodych kolegów, pomiędzy nimi byli: Prądzyński, Wiszniewski, i wolnym marszem stanęliśmy przed wieczorem w Modlinie. Wojsko nasze stanęło obozem na prawem skrzydle od strony starego Modlina, równoległe do Narwi, zajmując Nowy Dwór i szaniec przedmostowy na Narwi. Kończono właśnie ostatni i uzbrajano artylerję.

Modlin, założony przez generała inżynierii Chapeloup roku 1807 na rozkaz Napoleona, przy ujściu Narwi do Wisły, był, jak i jest dzisiaj, najważniejszym punktem obronnym kraju. Leży na wysokości urwistej, o 90 stóp nad poziomem wody, której brzeg, parowami przerywany, ciągnie się od Za-

Wystanie do  
Modlina.



krocymia ku Wkrze, rzece wpadającej do Narwi o jedną milę od Modlina, pod Pomiechovem.

Szwedzi za króla Gustawa wojen znali już dokładnie korzyści tej pozycyi i w Puffendorfie znajdujemy rysunek szanicy na wyspie, później Szwedzką zwanej, zapomocą którego panami stali się handlu zbożowego powyżej Wisły. Na górze ku Pomiechowu były także ślady obozu oszańcowanego szwedzkiego, które poruszywszy, znajdowaliśmy: kule, zbroje i t. d. starożytne.

Napoleon, uderzony pięknoscią pozycyi, postanowił założyć w tem miejscu twierdzę tymczasową, którą skombinowawszy z Sierockiem, z szanice przedmostowym Pragi, zamienionym na obóz oszańcowany, otrzymał strategiczny trójkąt wielkiej wagi dla dalszych działań.

Narys Modlina zupełnie chybiony został: ten grzech pierwotny pozostał na tej twierdzy do roku 1831.

Z budowli wojskowych zastaliśmy tylko koszary murywane dla piechoty, magazyn prochowy sklepiony i o kilku piętrach w pośrodku twierdzy. Wojsko całe umieszczono w barakach. Uzbrojenie składało się z trzydziestu siedmiu dział, po większej części wałowych, spiżowych pruskich, które powiększone zostały działami, po konwencyi spuszczoneymi Wisłą z Warszawy, w liczbie trzydzieści dziewięć; załoga z trzecich batalionów piechoty, około 1.200 ludzi, pod komendą generała Piotrowskiego. Stanowisko, zajęte przez wojsko nasze, rozciągało się lewym skrzydłem swoim aż do Sierocka, zajętego również jak Modlin zakładowymi oddziałami piechoty, około 1.400 ludzi i trzydzieści siedem armat. Środek stał w Zgierzu nad Narwią.

Dnia 23 kwietnia, wieczorem, wojska nasze zajęły swoje stanowisko. Rada ministrów udała się do Tykocina.

Opis Sierocka.  
Po krótkim pobycie w Modlinie udałem się z podpułkownikiem Mallet do Sierocka. Zastaliśmy twierdzę nie w lepszym stanie jak Modlin. Owszem wiele

brakowało, aby Sierock, tak pod względem naturalnego położenia jak i umocnienia mógł się z Modlinem równać. Prócz podobieństwa położenia przy ujściu Narwi z Bugiem, Sierock słabą przedstawiał obronę. Wojsko umieszczono w barakach, gdyż żadnych budowli nie było wojskowych. Na wałach zatoczonych było trzydzieści siedem dział. Garnizon składał się z 1.400 piechoty, oddziału artyleryi. Na tych to dwóch punktach nowa podstawa nasza opierała się. W Broku, na lewym skrzydle naszym, założono most i szaniec przedmostowy na Bugu, wysłano w tym celu oficera inżynierów Żołądkiewicza. Za nami w Płockiem, Augustowskiem i Łomżyńskiem, generał Zajączek organizował rezerwy; w Wielkopolsce toż samo czynił generał Dąbrowski. Na około Sierocka, zwłaszcza od strony Pragi, leżą wielkie lasy, w tych porobiono zasieki, ażeby przystępy do Sierocka na lewym brzegu Narwi utrudnić. W tej czynności miałem udział pod rozkazami podpułkownika Mallet'a.

Lecz niedługo na stanowisku pomiędzy Modlinem i Sierockiem zatrzymano się. Na radzie wojennej, która się odbyła po wzięciu Warszawy, książę Poniatowski, natchniony przez generała Dąbrowskiego i generała Pelletier, wniosł, ażeby teatr wojny przenieść do Galicji i działać zaczepnie na prawym brzegu Wisły. Wskutek tego postanowienia nastąpiły rozmaite ruchy naszych kolumn na granicy galicyjskiej, a następnie potyczki pod Radziminem dnia 26 kwietnia, pod Grochowem tegoż samego dnia. Dnia 29 kwietnia generał Sokolnicki zajął Okuniew, przeszedł rzeczkę Zwider i 2 maja stanął w Dzieszinowie, wiosce naprzeciw Góry leżącej. Doszła bowiem wiadomość do głównej kwatery, iż arcyksiążę Ferdynand most na łyżwach pod Górą stawia, którego budowę szanice przedmostowym zabezpieczył, i w gotowości się ma do przeprawy na prawy brzeg Wisły. Przedsięwzięto zapobiec tak niebezpiecznemu dla nas zamiarowi i generałów Sokolnickiego i Pelletier'a z czterema batalionami piechoty i dwa pułki jazdy wysłano w tym celu.



W Radziminie złączyłem się z główną kwaterą i tam przedstawiony zostałem księciu Poniatowskiemu przez generała Bronikowskiego, krewnego matki mojej, w czasie obiadowym. Książę Poniatowski liczył wtedy dopiero lat 46, należał on do najpiękniejszych ludzi swego czasu. Piękność rysów twarzy, wzrost średni, powaga w poruszeniach, uprzejmość w mowie, jednały mu odrazu serca. Nic nie wyrównało wspaniałości jego postawy na koniu. I na mnie widok tego rycerza z rycerzów, wielkie uczynił wrażenie. Odebrawszy kilka słów łaskawych z ust jego, powróciłem na miejsce moje u stołu jego; wszyscy bowiem oficerowie, do głównej kwatery należący, raz na zawsze proszeni byli. Po obiedzie, jeżeliśmy nie byli w marszu, rozpoczynała się zwyczajnie gra hazardowa, w której większa część oficerów sztabu nie tylko udział miała, lecz książę naczelny wódz sam stawiał na karty i do podkomendnych swoich po królewsku zwykł był przegrywać. W ogólności panowała wówczas zasada w wojsku naszym, że kto o pieniądź nie stoi, nie oglądnie się na przyszłość i majątek swój na kartę stawiać gotów, również skorym będzie do narażenia życia swojego, kiedy potrzeba tego się okaże. Tak jednak zawsze nie było; owszem uważałem, że prawie wszyscy znaczniejsi bankierzy, faraonowie sztabu, np. Szumlański, Nowicki, Karmenecki i t. d., nie należeli do najodważniejszych rycerzy naszych; owszem z każdej nadarzonej okazji korzystali, aby mieszać i taliować karty po za linią bojową. Przykład głównej kwatery wpływał, samo się rozumie, na inne sztaby i na drobniejsze oddziały wojska; wszędzie grywano: *kiedy August pił, Polska była pijana*.

W Radziminie miałem kwaterę u wieśniaka, którego córka nadzwyczajnej była urody. Jej piękność zwabiała młodych oficerów sztabowych, lecz ja, który świeżo moich klasyków pamiętałem, nie tylko, że w ślady Scypiona poszedłem, co do mojej osoby, lecz od natrętnych nawiedzeń młodych kolegów, a mianowicie Wiktora Ossolińskiego, cnotę mojej nadobnej gosposi obroniłem. W nocy z 2 na 3 maja nastąpił



KSIĄŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI.

(Według współczesnego portretu Baciarellego w Warszawie, rytował F. John).



atak przedmieścia pod Górą, czyli od wsi na prawym brzegu Wisły pod Ostrówkiem. Trzeci batalion szóstego pułku piechoty, pod komendą pułkownika Sierawskiego, szefów batalionu Blumera, Bogusławskiego i Suchodolskiego, zdobyło go bagnem. 1.800 niewolnika z pułku Latour: trzydziestu ośmiu oficerów, jedna chorągiew, trzy działa stały się łupem zwycięzcy. Prócz tego austriacy mieli około pięciu set zabitych i rannych, strata naszych wynosiła trzysta ludzi. Skoro wiadomość ta doszła do głównej kwatery księcia Poniatowskiego w Okuniewie, nasz wódz ruszył zaraz naprzód, ażeby powitać zwyciężkie wojsko i korzystać z położenia nowego rzeczy. Pod Karczewem spotkał jeńców austriackich i pomoc w pieńiędzjach oficerom hojnie ofiarował.

Szef batalionu Mallet wraz zemną dotarł do szanieca przedmostowego i rozporządzenia stosowne porobił, ażeby piechotę naszą, która zajmowała szaniec, zasłonić od nieprzyjacielskiego ognia z tamtej strony. Most już był prawie całkiem zebrany; wiele jeszcze nie pochowanych trupów, ba nawet ranni na placu leżeli. Pierwszy widok cierpień żołnierza mocne wrażenie na niedoświadczonych uczynił, cóż dopiero, gdy usłyszał krzyki kilku rannych: *dobijcie mnie*. Zdobyć szaniec pod Ostrówkiem zniszczyło zamiary austriaków przeprowadzenia się przez Wisłę w pobliżu Warszawy. Arcyksiążę pomyśleć musiał o przeprawie poniżej, około Płocka, lecz gdy i to się nie udało, starał się podchwycić szaniec przedmostowy Torunia i miasto z mostem jednym zamachem zyskać: lecz i to przedsięwzięcie spełzło na niczem. Oddawna miał pod Sandomierzem zapewniony sobie most na Wiśle, który przedmościem utwierdził. W tym celu także Sandomierz w korzystnym położeniu umocnił i garnizonem 4.000 ludzi pod generałem Eggermanem obsadził.

Tymczasem główny korpus księcia Poniatowskiego swobodnie mógł rozpocząć działania zaczepne przeciw nieprzyjacielskim oddziałom, rozproszonym po Galicji i wzmacniać się

coraz bardziej posiłkami w ludziach i koniach, cisnącymi się zewsząd pod nasze chorągwie. Dnia 5 maja główna kwatera księcia Poniatońskiego była w Wiązowni. Dnia 6 maja ogólne poruszenie naprzód nastąpiło. Główna kwatera dnia 7 była w Parczowie, dnia 10 w Kocku, dnia 11 w Lubartowie; a tymczasem przednie straże posuwały się szybko naprzód ku Zamościowi i ujściu Sanu, a 14 maja nasz wódz wszedł do Lublina. Jenerał Sokolnicki dnia 16 maja z przednią strażą zbliżył się pod Sandomierz. W nocy z 16 na 17 maja sam przepawił się przez Wisłę pod Zawichostem, kiedy jenerał Roźniecki, na prawym brzegu zostając, przebywszy San, stanął pod szaniecem przedmostowym Sandomierza. Atak jednocześnie następował na obydwóch brzegach; na lewym Sokolnicki, na prawym Roźniecki, w nocy z dnia 17 na 18 maja. Pierwszy nie powiódł się i straciliśmy w nim księcia Marcelego Lubomirskiego i wielu męźnych ludzi z pułku dwunastego piechoty. Drugi poszedł pomyślniej. Jednym pędem piechota pułku szóstego i ósmego, pod Bogusławskim i Włodzimierzem Potockim, szaniec przedmostowy zdobyła bagnem; sześć dział i około 1.000 ludzi wziętych w tym szybkim ataku zostało. Wskutek tego Sandomierz nazajutrz się poddał. Zamość także wzięty został szturmem przez oddział naszego wojska, pod wodztwem jenerała Pelletier.

W tylu świetnych wypadkach nie miałem niestety żadnego udziału. Przywiązany do osoby pułkownika inżynierii Malleta, za młody, abym mógł być gdziekolwiek użyty na własną odpowiedzialność, starałem się tylko o wypełnienie ścisłe rozkazów danych i powoli rozpatrywałem się w obowiązkach nowego rzemiosła. Po wzięciu Zamościa, udałem się z pułkownikiem Mallet do tej twierdzy, którą zastaliśmy jeszcze w wielkim nieładzie po szturmie i rabunku nocnym.

Zamość, w XVI wieku przez Jana Zamoyskiego zbudowany, przedstawiał raczej widok mia-

Wzięcie  
Sandomierza.

Wzięcie  
Zamościa.

Opis Zamościa.



sta włoskiego aniżeli polskiego. Inżynierowie włoscy sprowadzeni przez hetmana i kanclerza Zamoyskiego, miasto i twierdzę założyli w położeniu z natury obrońnem, wśród bagien, z których rzeka Wieprz wypływa. Część twierdzy dla bagien zupełnie nieprzystępna, część inna zapomocą sztucznego zalewu również niedostępną stać się może. Od strony drogi lubelskiej i lwowskiej, położenie się wznosi i nawet cokolwiek panującym a zatem przystępniejszym się staje. Twierdza narysowana w siedmiobok bastyonowy nieforemny. Zamek Zamoyskich leży pomiędzy bastyonami trzecim a czwartym, od bramy szczeczeskiej do lubelskiej. Część środkowa jego niedokończoną była; reszta miasta zbudowana foremnie. Ulice po kątem prostym, rynek obszerny z pięknym ratuszem; naokoło sklezione arkady, pod którymi w czasie deszczu wygodnie się przechadzało; kilka pięknych kościołów z wysokimi wieżami, ozdobą były miasta. Niedaleko bramy lubelskiej natrafiliśmy na wielki budynek w czworobok zbudowany: *Akademia Zamoyskich*, później do Szczeczeszyna przeniesiona, z której wielu wyszło uczonych w XII i XIII wieku. Naokoło miasta ciągnęły się rozległe przedmieścia z pięknymi ogrodami.

Taki nam obraz Zamość przedstawiał w kilka dni po szturmie. Dodać do tego należy zamieszanie, nieodstępne od takiego dokonanego przedsięwzięcia. Nie ożyło się i bez pożaru od naszych granatów i bez rabunku mieszkańców. Kasy przez żołnierzy złupione zostały, bankocetle workami wynoszono i za bezcen sprzedawano. Oświeceńsi z pomiędzy żołnierzy majątki porobili. Szef batalionu Mallet przepędził parę dni na zarządzeniu robót około umocnienia twierdzy. Dziwnym przypadkiem bowiem, prawe czoło bastyonu czwartego, zapewne wstrząśnięte ogniem ciężkich dział i na bagnie stojące, nazajutrz po szturmie runęło do rowu i przystępny wyłom przedstawiało; trzeba było jak najspieszniej zająć się zamurowaniem otworu, gdyż nieprzyjaciół nie był daleki. Poruczono tę pracę kapitanowi inżynierowi Jodce, który

służbę inżynierską jak najprędzej urządził i pomoc znalazł w kompanii saperów, pod komendą kapitana Sabiejewskiego.

Po tych rozporządzeniach udaliśmy się do głównej kwatery pod Trześnią, obracając drogę na Ulanów, gdzie most był dla nas i dla nadchodzących Rosyan przygotowany na *Sanie*. Wieś Trześnia na prawym brzegu Wisły, o ćwierć mili od mostu na Wiśle, naprzeciw Sandomierza leżąca, przepełniona wówczas była wojskiem, oficerami sztabowymi i bagażami wszelkiego rodzaju. Wojsko polskie, skoncentrowane wówczas naokoło Sandomierza, rozłożone było w samem mieście i we wsiach okolicznych, częścią też stało w obozie pod Trześnią. Oddziały jazdy naszej pod generałami Roźnieckim i Kamińskim podchodziły pod Lwów i pod Jarosław i przecinały główny trakt żwirowy wiedeński. Dnia 25 maja Jarosław ze znacznymi zapasami wszelkiego rodzaju dostał się w nasze ręce. Dnia 28 maja Roźniecki wszedł do Lwowa.

Po przybyciu naszym do Trześni podpułkownik Mallet z generałem Pelletier, w dniu 23 maja rozpoznali szczegółowo Sandomierz z okolicami i roboty około lepszego umocnienia tego tak ważnego punktu zarządzili. Postanowiono bowiem na radzie wojennej Sandomierz utrzymać *jako środek dalszych obrotów*; skądby równie działać można przeciwko zbliżającemu się arcyksięciu Ferdynandowi z głównymi siłami austriackimi, jak przeciwko oddziałom odwodowym, zajmującym Starą Galicyą. Aby dopiąć tego podwójnego celu, należało zachować szaniec przedmostowy, lecz ten z niewypowiedzianą lekkomyślnością z rozkazu generała Roźnieckiego zaraz po wzięciu rozrzucony został; błąd ten, który czas jeszcze było naprawić, a jednak nie naprawiono, wiele się przyczynił później do upadku Sandomierza.

Sandomierz, od wpadającej o milę poniżej do Wisły rzeki Sanu tak nazwany, leży na wysokości Opis  
Sandomierza. urwistej, parowami głębokimi przerywanej i z tych parowów, które nakształt głębokich przekopów, opasują mury, główną obronę odbiera. Przed miastem leży kilka klasztorów



murowanych z mocnymi murami obwodowymi, jako to: Dominikanów, Reformatów, św. Pawła, św. Jakóba, które uważać można było jako dzieła zewnętrzne całej pozycyi i które wreszcie same jak najskuteczniej przystępu do miasta broniły.

Na lewem skrzydle miasta znajdujemy ruiny zamku, za Karola Gustawa króla szwedzkiego wysadzonego w powietrze. Główny obwód składał się z murów i z baszt starożytnych, a przed nimi założono wał z przedpiersiem i rowem. Obronę szyi od strony Wisły stanowił spadek przykry, gdzieniegdzie urwisty, a w miejscach przystępniejszych palisada.

Umocnienie, dopiero co opisane, starano się w jak najkrótszym czasie powiększyć, lub też uzupełnić. Mury obwodowe miasta, mury cmentarzy, na około klasztorów wyniesione, urządzono do obrony, przebijając w nich strzelnice; w miejscach górzystych pozakładano baterye i dzieła zewnętrzne. Szyję od Wisły zupełnie zamknęto palisadami, nareszcie miejsca stosowne po klasztorach na magazyny wybrano.

W użyciu tych środków generał Sokolnicki, któremu dowództwo Sandomierza powierzono i pułkownik Bontemps, dyrektor artylerji, okazali się najczynniejszymi.

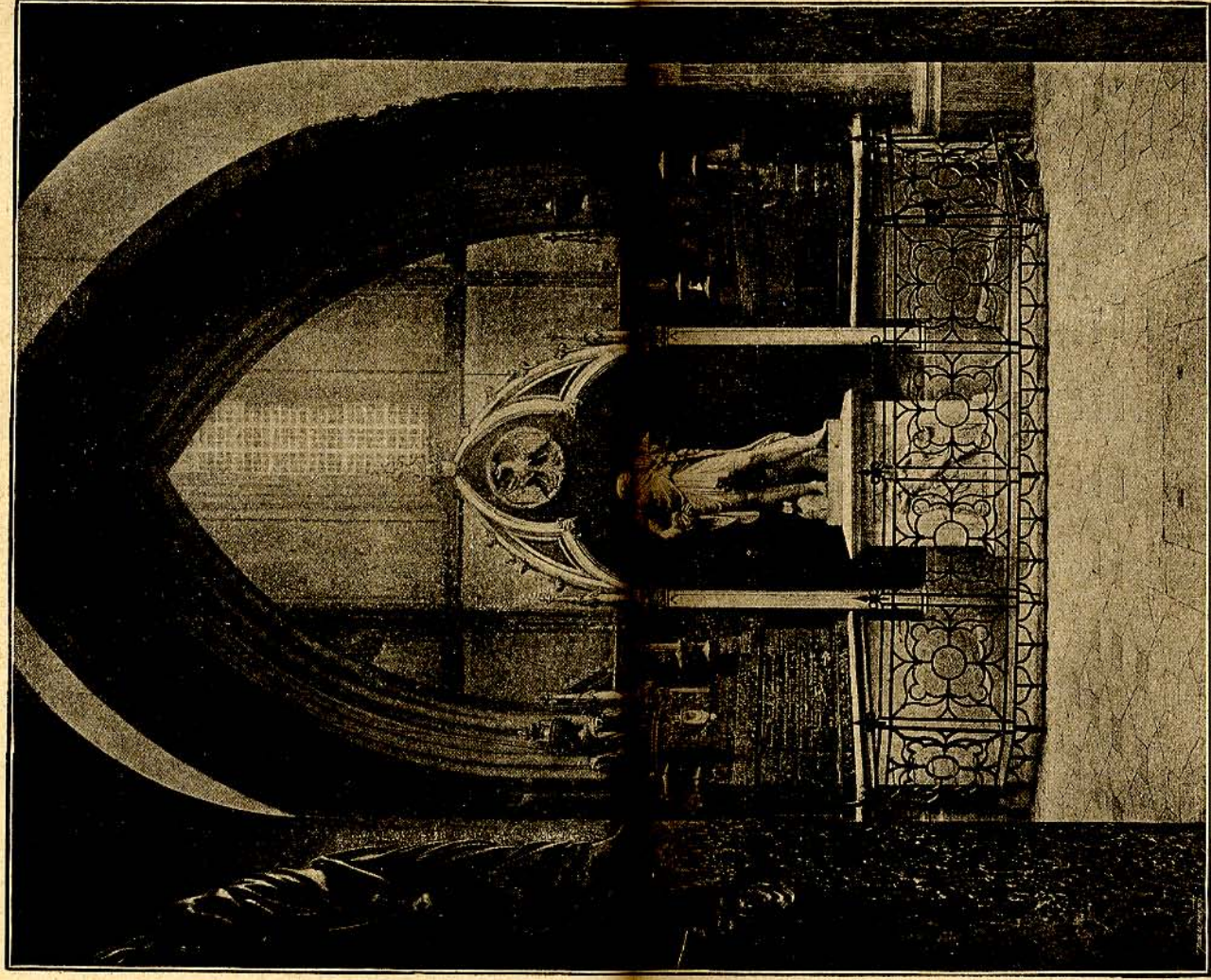
Generał Sokolnicki, rodem z Wielkopolski, rozpoczął swój zawód wojskowy w korpusie inżynierów koronnych i czynnym już był w kampanii roku 1792. Później wstąpił do oddziału strzelców pieszych, i w roku 1794 został pułkownikiem. Wzięty z naczelnikiem Kościuszką pod Maciejowicami do niewoli, zawieziony został do Petersburga i tam w kazamatach cytadeli zamknięty był do końca roku 1796, w którym to czasie śmierć Katarzyny i wstąpienie na tron Pawła I, wszystkich polskich więźniów zwolniły (zob. Pamiętniki Niemcewicza). Sokolnicki niedługo potem pospieszył do legionów, służył pod Dąbrowskim, później pod Kniaziewiczem i w stopniu adjutanta komendanta odbył kampanię roku 1800. Udał się potem do Paryża i tam naukom ścisłym oddany, wszedł w stosunki bliższe z człon-

kami instytutu i kilka dzieł, dotyczących się hydrauliki, wydał. W roku 1806 wstąpił napowrót do wojska i jako generał brygady od początku kampanii roku 1809 dowodził przednią strażą wojska naszego. Był to oficer również uczony, jak odważny i przedsiębiorczy. Żywa wyobraźnia nie dawała mu żadnego spoczynku, plany, projektu najbujniejszych działań wojennych, następowały szybko po sobie, z tych większa część była niepraktyczna. Ambicya jego nie znała granic; czując się wyższym od drugich, dawał im to nieraz uczuć i wiele miał z tego względu nieprzyjaciół. Talent jego stawiał go niezawodnie w pierwszym rzędzie naszych generałów, lecz wyobraźnia zanadto bujna i niespokojność wrodzona, wszelką równowagę w umyśle psuły i rozwinięcie tak wielkich zdolności tamowały.

W Sandomierzu zastałem obraz rzeczywistej wojny; pod czynnym okiem generała Sokolnickiego wykonywano z szybkością nakazane roboty obronne; sypano baterye, zataczano działa i t. d. Służba na forpocztach odbywała się ściśle. Waleczny pułkownik Dziewanowski z pułkiem szóstym ułanów dowodził przednią strażą i dzień i noc czuwał nad bezpieczeństwem dzieł zewnętrznych.

Wcale inny obraz przedstawiała główna kwatera w Trześni. Tam młodzież sztabowa u stołów otwartych naszego wodza, zapominała o trudach wojennych. Hazardowa gra, w której przewodniczyli generałowie nasi i nawet, jakem już wyżej nadmieniał, sam wódz naczelny, zajmowała mocniej wszystkich, aniżeli obowiązek lub potrzeba wykształcenia się w wojennem rzemiośle. Przybycie bogatej młodzieży galicyjskiej, odważnej lecz próżnej, jeszcze bardziej namiętność szaloną gry podniecało. Jakże trudno było oprzeć się takiemu widokowi, kiedy samego naszego wodza widzieliśmy wspaniale przyzującego przy zielonym stoliku. Zdawało się wielu z nas i mnie także, że pogarda złota jest jednym z przymiotów dobrego żołnierza, a kto nie gra, nazwać się godzien *skap-cem*, *egoistą*, który życia swego nigdy na kartę nie stawia.





POMNIK GROBOWY WŁODZIMIERZA POTOCKIEGO W KATEDRZE NA WAWELU.  
(Rzeźba dnia Thorwaldsona)  
(zobacz str. 44).



A więc i mnie grać się podobało. Wnet moje trzydzieści czerwonych złotych przeszły nader prędko w białe, pierścieniami ozdobione ręce, panów Nowickiego i Szumlańskiego i znalazłem się bez złotego w worku moim. Lecz za to w oczach własnych i młodych kolegów zacząłem uchodzić za bardzo walecznego, ponieważ tak wspaniale trzydzieści czerwonych złotych przegrałem.

Wkrótce jednak rozważa lepsza rozpędziła w umyśle moim to mroczne mniemanie. Znalazłem się bez sposobu dopomożenia sobie w czemkolwiek. Jenerała Bronikowskiego w głównej kwaterze już nie było, żołdu nie płacono, cóż więc robić było? Dowiedziawszy się o przybyciu pułkownika Turny, kuzyna matki, udałem się do niego i on to po dobrem napomnieniu i ojcowskich radach, chociaż i sam, ile później widziałem, dość namiętnie grywał, wspomógł mnie kilkunastu dukatami, pod warunkiem, ażebym więcej nie grał nigdy. Warunek ten wiernie dotrzymałem w ciągu życia wojskowego; widziałem gry wielkie przed sobą i nigdy mnie chęć nie brała stawić na kartę. W Paryżu nawet gra *rouge noir* nie potrafiła obudzić namiętności we mnie. Wyleczony byłem odrazu na całe życie.

Na forpocztach pod Sandomierzem odwiedziłem pułkownika szóstego pułku jazdy Dziewanowskiego, dawnego przyjaciela domu naszego, który mnie przyjął jako syna, dobrymi radami wzmocnił i dopomógł do nabycia trzeciego konia od kapitana Leszczyńskiego. Temu to zacnemu pułkownikowi winien pułk szósty ułanów organizacją swoją, karność i reputacją, którą sobie przez tyle chwalebnych czynów zjednał w kampaniach 1809, 1812 i 1813 roku. Ten pułk, w roku 1816 zreorganizowany, stał się pułkiem drugim ułanów i pod tą firmą również odznaczył się we wszystkich bitwach roku 1831. Tak to zaszczerpienie silne ducha i honoru wojskowego w korpusie oficerów i żołnierzy, wpływa na prowadzenie i chwałę pułku przez długie lata.

W Trześni poznałem kilku znakomitych oficerów naszego wojska; najbardziej zwracali na siebie uwagę: jenerał Pelletier, komenderujący artylerią i szef szwadronu, Włodzimierz Potocki.

Jenerał Pelletier ze służby francuskiej, gdzie był pułkownikiem artylerii, przeszedł do służby Jenerał  
Pelletier. Księstwa Warszawskiego na rozkaz cesarza Napoleona, w stopniu jenerała brygady, ażeby uorganizować służbę artylerii. Pelletier miał dopiero lat trzydzieści dwa w czasie wojny 1809, a przecież co do lat służby i wojen odbytych, należał do najstarszych oficerów naszego wojska. W siedemnastym roku wieku swego zaciągnął się do artylerii; odbył pod Rzeczpospolitą wojny 1805, 1806 i 1807. Pelletier, nie tylko jako oficer artylerii, znakomite posiadał wiadomości, lecz łączył w sobie zdanie, roztropność i wzrok bystry jenerała komenderującego. Jego odwaga, spokojność, powaga w ogniu były zadziwiające, jego przytomność umysłu wszystkich zdumiewała; miał przytem dar jednania sobie zaufania u wszystkich i nieraz się przyczynił do pogodzenia lub zbliżenia zdań zupełnie przeciwnych, zazdrości i nienawiści zakorzenionych między naszymi wodzami. Pelletier w przedmiotach służby był wymagający; znał je bowiem jak najlepiej; umiał karać i strofować, dlatego też karność w korpusie artylerii była wielka; wszakże w tak krótkim czasie nie mógł wlać uauki, której jeszcze nie wiele było pomiędzy oficerami, lecz i w tym względzie liczył on na czas i na szkołę aplikacyjną, która ludzi takich, jak Bem i Chrzanowski wydała. W czasie wolnym od służby jenerał Pelletier był najweselszym i najprzyjemniejszym towarzyszem, jego wesołość czasem się nawet do rozpusty posuwała. W wojnie roku 1812 wzięty został do niewoli przez Rosyan, a w roku 1814 powrócił do Francji, gdzie wstąpił powtórnie do artylerii. W roku 1830 Pelletier był komendantem szkoły aplikacyjnej w Metz i zawsze nas z przychylnością wspominał. Kolega



mój Prądyński oraz ja, mieliśmy u niego, pomimo naszej młodości, szczególniejsze względy.

Włodzimierz Potocki, syn Szczęsnego Potockiego (i matki Mniszchówny), jednego z tryumwirów Targowicy, odrodził się zupełnie od niegodnego ojca. Wychowanie jego było najstaranniejsze w domu, na dokończenie nauk wyjechał do Niemiec i na uniwersytet lipski, zdaje mi się, uczęszczał. Powierzchnowość jego była tyle nadobna i ujmująca, przytem grzeczność tak wielka, obok wykształcenia na swój wiek nadwyzwyczajnego, iż wszystkich, tak profesorów jak i uczniów, skłaniał do siebie serca. Nie dorównywało pięknej jego postawie, posąg Apolina Belwederskiego nie był piękniejszy. Pomimo trudności, jakich doświadczył będąc poddanym rosyjskim, wkrótce po naszym odrodzeniu się wstąpił do naszych szeregów i w końcu 1808 roku baterię artylerii konnej kosztem swoim uformował. Świetna jego odwaga pod Raszynem i Sandomierzem w obliczu całego wojska, miejsce mu naznaczyła pomiędzy najwaleczniejszymi. Roztropność jego i spokojność w rozprawie każdej coś więcej jeszcze obiecywały i przyszłego wodza znamionowały.

Lecz wojsko i ojczyzna, której tyle dowodów dał poświęcenia, nie długo się cieszyły tą nadzieją. 8 kwietnia roku 1812, po krótkiej chorobie, zakończył młody swój zawód w Krakowie, nie dożywszy dwudziestu dwu lat, z powszechnym żalem współtowarzyszów broni i żony, która go uwielbiała. Piękny pomnik, w katedralnym kościele krakowskim wystawiony, pamiątkę tego młodego bohatera uwiecznił.

W czasie, gdy książę Poniatowski okolice Sandomierza zajmował i zagony rozpuszczał aż ku Podolowi i Karpatom, generałowie: Dąbrowski i Zajączek z wielką gorliwością wypełniali dane im polecenia. Pierwszy na czele na prędkie sformowanej dywizji ośmiu trzecich batalionów piechoty i dwóch nowych pułków jazdy, wogóle 7,500 ludzi i ośmiu dział, skoncentrował się pod Kutnem ze wszystkimi siłami. Z dru-

giej strony generał Zajączek, zebrawszy w garnizonach twierdz nadwiślańskich i w zakładach na prawym brzegu Wisły 4.900 ludzi i dwanaście dział; zaczął przeprowadzać swoje oddziały przy Wisle pod Oborami i zagroził Warszawie.

Powodowany tymi ruchami arcyksiążę Ferdynand, uznał potrzebę opuszczenia Warszawy i przeniesienia głównych sił swoich ku górnej Wisle pod Sandomierz, zostawiwszy generała Monelet'a z korpusem 13.000 w Księstwie, dla wstrzymania następujących ze wszech stron oddziałów Dąbrowskiego i Zajączka. W nocy z dnia 1 na 2 czerwca, Monelet opuścił także Warszawę, którą generał Zajączek dnia 2 czerwca natychmiast zajął z niewypowiedzianą radością mieszkańców, żyjących w ucisku i trwodze od pięciu tygodni. Wskutku uwolnienia Warszawy teatr wojny zaczął się zbliżać ku Pilicy i wkrótce skoncentrował się w okolicach Sandomierza.

Arcyksiążę Ferdynand, połączywszy się z generałami Schaueroth'em i Geringer'em pod Opatowem, dnia 4 czerwca odbył przegląd sił swoich, które wynosiły 13.000 ludzi. Dnia 5 czerwca generał Sokolnicki wyszedł naprzeciw niemu w 5.000 ludzi dla rozpoznania sił i położenia. Przyszło do żwawej utarczki, która na korzyść naszą się obróciła. Wszakże przed siłą przemagającą nieprzyjaciela ustępując, generał Sokolnicki cofnął się nad wieczorem do Sandomierza. Austriacy żywo następując, natarli wieczorem na niektóre oddzielne posterunki i szanse przed miastem, lecz wszędzie ze stratą odparci zostali. Tu zginął szef batalionu Eisenbach z trzeciego pułku piechoty.

Arcyksiążę przekonany o niepodobieństwie atakowania Sandomierza, tak długo, dopóki książę Poniatowski zajmować będzie pozycję w Trześni, postanowił przeprowadzić się z głównymi siłami na prawy brzeg Wisły. Generał Schaueroth w 9.000 ludzi skutecznie te poruszenia dnia 8 czerwca pod Połancem i zajął stanowisko nad Wisłoką — zostawiwszy na lewym brzegu generała Geringera z 3.000 ludzi, dla zasłony poruszenia swego. Wskutek tego manewru książę Poniatowski,



który obsadziwszy Sandomierz i Zamość i przywoławszy Różnieckiego, liczył tylko sześć batalionów i cztery kompanie piechoty, jedenaście szwadronów i czternaście dział, ogółem 7.300 ludzi, nie czuł się dość mocnym, żeby się mierzyć z arcyksięciem.

Nierozmysłne rozrzucenie szanica przedmostowego sandomirskiego okazało się teraz, gdy tyle zależeć musiało na wolnem działaniu obydwóch brzegów Wisły, nader szkodliwym. Nie naprawiono odrazu tak wielkiego błędu. Dziś już było zapóźno. Nie wypadało więc księciu Poniatowskiemu, jak tylko ze wszystkimi siłami przērzucić się na brzeg lewy Wisły, starając się o podanie ręki Dąbrowskiemu i Zajączkowi, którzy z tamtej strony Pilicy następowali za korpusem generała Menellet'a. Lecz przez takie poruszenie Stara Galicya narażona była na powtórne zajęcie ze strony Austryaków; związek z nią zupełnie się zrywał, a nawet Lublin zagrożonyby został. Poruszenie takie nazwać było można największą klęską. Uznano więc za rzecz stosowniejszą obsadzić mocno Sandomierz i cofnąć się za linię Sanu i w tem położeniu zaczekać na posiłki, prowadzone przez Dąbrowskiego i Zajączka. Tym sposobem nie tracąc z oka Sandomierza, trzymaliśmy arcyksięcia na wodzy; podawaliśmy rękę formacyom galicyjskim, które pomimo oporu ze strony Austryaków, a nawet ze strony sprzymierzonych nam Rosyan, z wielką szybkością powstawały; nareszcie zyskiwaliśmy na czasie.

Mowaby tu być powinna o tem nienaturalnem sprzymierzeniu Rosyi z Francją, które za sobą pociągnęło tak dziwny stosunek pomiędzy wojskiem naszym a wojskiem rosyjskiem, pod komendą generała księcia Galicya; lecz wolę odesłać czytelnika w tym względzie do dzieła Romana Sołtyka. Nadmienię tu tylko, że pozycya nad Sanem pewniejszaby się stawała, gdyby lewe skrzydło nasze rzeczywiście opierało się o dywizyę rosyjską Suwarowa, stojącą pod Radomyślem i Dąbrową; i gdyby działanie ze strony tej dywizyi było tak szczere, jak się po sprzymierzeńcach spodziewać należało.

W tak mocnem stanowisku możnaby było spokojnie czekać ataku arcyksięcia. Lecz przekonano się wkrótce z listów generałów rosyjskich, pisanych do naczelników austriackich a przejętych przez nasze forpocztę, i z całego postępowania tychże generałów, iż niebezpieczniejszymi dla nas byli, jak sam nieprzyjaciel. I to jest pewne, że skoroby się Napoleonowi nad Dunajem nie było powiodło, zrzuciwszy maskę, nasby najprzód przygnietli, a potem podawszy rękę Austriakom, pospieszyliby na główny teatr wojny. Dość powiedzieć na poparcie tego, iż powstanie galicyjskie rozbajali, władze austriackie napowrót przywracali, nasze poruszenia tamowali, i spotkawszy się z wojskiem austriackiem żadnej mu szkody nie wyrządzali, ani jednego strzału nie uczyniwszy. Takimi byli dziwni ci sprzymierzeńcy.

Stanowisko nad Sanem, jakkolwiek z innych względów dobrze wybrane, stało się niebezpiecznem w tak niepewnym stosunku do wojska rosyjskiego. Dla wyjaśnienia tego stosunku wysłany został podpułkownik Mallet do głównej kwatery rosyjskiej i do Ulanowa. Mallet miał posłuchanie u księcia Galicya; lecz nie, prócz pięknych słówek nie przywiózł stamtąd. Rosyane nieporuszeni stali. Wprawdzie generał Suwarow najlepsze zdawał się okazywać chęci i gdyby nie był miał rąk związanych najściślejszymi rozkazami, zapewne czynną byłby nam przyniósł pomoc. Lecz tak, jak rzeczy stały, nie mógł przestąpić instrukcyi i tylko małe demonstracye uczynił na prawym brzegu Sanu, na naszą korzyść. Wojsko polskie z 7.000 ludzi i czternastu armat tylko złożone, zajmowało stanowisko na lewym brzegu po za wsią Gorzyce, zasłonięte groblami i staremi odnogami Sanu przed wsiami Fantazją i Wrzawami; prawe skrzydło oparte o Wisłę, lewe o groblę i stare łożysko Sanu. Stanowisko obronne z natury przedstawiało obraz wielkiego przedmościa; most na Sanie, założony pod Dąbrową — zupełnie nim był zasłonięty. Na lewym skrzydle naszym był bród na Sanie pod Skowierzynem, którego bronił oddział nasz, złożony z sie-



dmiu kompanii piechoty, jednego szwadronu i dwóch dział. Rachowano wprawdzie, pomimo tylu zawodów, na pomoc rosyjską, przynajmniej w obronie tego miejsca; lecz i ta rachuba omyloną została. Wprawdzie punkt ten był najsłabszym, i gdyby Austriacy kilka tysięcy ludzi byli przeznaczyli do ataku Skowierzyna, mogli byli z łatwością obejść nasze lewe skrzydło i ubiedz nas u mostu na Sanie.

Dnia 12 czerwca po obiedzie nastąpił ze strony austriackiej atak na naszą pozycję pod Gorzycami, który z świetną odwagą odparty został przez słaby polski korpus, pod dowództwem bezpośrednim księcia Poniatowskiego. W tej potyczce pierwszy raz znajdowałem się w ogniu armatnim i cokolwiek się z niebezpieczeństwem oswoiłem.

W nocy z dnia 13 na 14 wojsko nasze przeprawiło się przez San i most za sobą zrzuciło. Główna kwatera stanęła w Antonowie. Piechota i artyleria nasza obsadziła brzegi Sanu naprzeciw forpocht austriackich; arcyksiążę Ferdynand przymusiwszy nas do opuszczenia lewego brzegu Sanu, mógł teraz swobodnie pomyśleć o ataku Sandomierza. Jenerał Monet po bitwie Jedlińskiej dnia 11 czerwca, w której pobił Zajączka, zbliżył się pod Sandomierz. Tym sposobem arcyksiążę miał wszystkie siły pod tem miastem skoncentrowane.

W nocy z dnia 15 na 16 czerwca Austriacy przypuścili szturm do Sandomierza. Z pozycji naszej widać było całą potyczkę. Miasto wkrótce płonęło w ogniu. Każdy strzał armatni wyraźnie słychać było. Około godziny w pół do jedenastej rozpoczął się ogień i trwał do białego dnia. Dwie batalionów wyborowych austriackich użytych zostało do szturm, wszystkie z wielką stratą odparte; 689 zabitych i 986 rannych okrywało pobojowisko i prócz tego nieprzyjacieli zostawił w naszym ręku 315 niewolników. Nasza strata wynosiła około 1.000 ludzi. W żadnej potyczce tej kampanii, wojsko nasze tyle wytrzymałości nie okazało. Szturm ten odparty należeć zawsze będzie do najchlubniejszych czynów polskiego oręża.

Dzień 16 czerwca po szturmie, użyty z obydwóch stron dla pogrzebania trupów i zebrania rannych. Po obrachowaniu sił pozostałych jenerał Sokolnicki przekonał się, że ma jeszcze 4.000 ludzi pod bronią; lecz ci prawie już byli bez amunicji; brakowało także ładunków artylerji tak dalece, że obawiać się było można, aby ponowiony szturm nie stał się zgubnym dla załogi. Potrzeba traktowania była konieczną. Jakoż po złożeniu rady wojennej przystąpiono do układu, na mocy którego załoga z bronią, artylerją i bagażami miała wyjść z Sandomierza i udać się etapami za Pilicę, skąd dopiero wolne działanie rozpocząć mogła. Układ ten czyli kapitulacja ratyfikowany został z obydwu stron dnia 18 czerwca. Nazajutrz dnia 19 czerwca Austriacy zajęli Sandomierz.

Kapitulacja Sandomierza źle przyjęta została przez naczelnego wodza; w liście z dnia 20 czerwca wynurzył nawet swoje nieukontentowanie z tego względu jenerałowi Sokolnickiemu; pochwaliwszy jednak waleczność obrońców. W rzeczy samej, później okazało się, iż należało jeszcze parę dni wytrwać.

Austriacy, zniechęceni stratą 2.000 ludzi, nie byliby się odważyli na nowy szturm; lecz spaliwszy miasto granatami byliby odciągnęli w tym samym czasie, w jakim to uczynili. Mieli bowiem wyraźny rozkaz zbliżenia się do głównej armii nad Dunajem.

Po zniszczeniu szanów Sandomierza i zabranii dział ciężkich swoich, arcyksiążę dnia 22 czerwca wyszedł z tego miasta i udał się na Kielce, Małogoszcz, Przedbórz ku Krakowu. W tym samym czasie książę Poniatowski stanowisko swoje pod Pniowem opuścił i udał się do Puław, ażeby się zbliżyć do jenerałów Zajączka i Sokolnickiego, z którymi wkrótce się złączył.

W czasie pobytu mego w Pniowie przy głównej kwaterze, zapadłem na febrę i musiałem się przenieść do Borowa, gdzie stały nasze ambulanse; tam przy spoczynku lepszym i z pomocą doktora Puchalskiego wkrótce powróciłem do



dawnego zdrowia. W Puławach dogoniłem główną kwaterę, która tam stała dnia 24 czerwca.

Miejsce to, równie w Polsce jak i za granicą, znane, wierszami Delilla wślawione, już tylko słaby cień dawnej wielkości i zamożności przedstawiało. Mieszkał w nim wprawdzie jeszcze generał ziem podolskich i feldmarszałek cesarsko-austriacki, książę Adam Czartoryski z żoną Izabelą z hrabiów Flemingów, z rodziną i dworem dość liczny; wszystko przypominało jeszcze dawną wielkość i dawało wierny obraz tego, czem był dawniej dwór naszych magnatów. Lecz z opowiadania starszych sług i domowników sądząc, wiele się tam zmienić musiało, zwłaszcza od czasu, gdy w roku 1794 generał rosyjski Bibikow pałac tamtejszy złupił. Pomimo tego Puławy jeszcze nader przyjemnem musiały być siedliskiem, przy ogromnych dochodach księcia generała, posiadającego liczne dobra na Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie, Galicyi i w Polsce. Pałac z bocznym wielkim pawilonem, ze stajniami i przyległościami, wśród najpiękniejszych ogrodów założony, przedstawiał obraz małego miasta. W parku przyległym rozrzucone były pałacyki osób rodziny, jakoto: księcia Adama, księcia Wirtemberskiego, i t. d., które z osobnym dworem tam mieszkaly: a bardziej opodal, leżały pomieszkania dworskich urzędników, doktorów, koniuszych, metrów, przyjaciół domowych, rezydentów i gości luźnych; każde z nich do angielskiego *cottage* lub małej *villi* włoskiej podobne, otoczone było szpalerami lub też ładnymi ogródkami. Świątynia Sybilli i dom gotycki szczególniejsze zwracały na siebie uwagę; w nich to księżna generałowa z wielkiem staraniem i kosztem zgromadziła wiele polskich pamiątek, z których część większa wraz z piękną biblioteką w roku 1831 stały się łupem wojska rosyjskiego. Najwięcej do tego rabunku przyczynił się książę Adam Wirtemberski, wnuk księcia Czartoryskiego, wówczas generał rosyjski. Sama wieś Puławy i przyległa wieś Włostowice złożone były z ładnych, schludnych chatek, cieszyły oko porządkiem i zamożnością mie-

szkańców. Ruch tak liczego dworu, powiększył napływ obywateli z okolicy i przybycie księcia Poniatowskiego z główną kwaterą w dniu 24 czerwca.

Przyjęcie naczelnego wodza i wojska polskiego przez księcia generała było równie serdeczne jak świetne. Sama księżna przy pomocy pani ordynatowej Zamoyskiej, Zofii z Czartoryskich, księżny Maryi Wirtemberskiej i dam innych przebywających wówczas na dworze księżnej, a należących tak co do urody jak i wychowania do najznakomitszych tego wieku, starało się naszemu wodzowi i oficerom wojska naszego uprzyjemnić krótki ich pobyt w Puławach. Wszyscy podejmowani byli kosztem księcia generała; nawet wojsko przez rozmaite dodatki w żywieniu starano się rozweselić.

Generał Zajacek po przegranej jedlińskiej zwrócił się był ku Wiśle i dnia 15 czerwca prze-  
Połączenie z generałem Zajackim.  
 prawił się pod Puławami, a dnia 19 czerwca już był połączony z księciem Poniatowskim pod Pniowem. Pod Puławami miał przeto naczelną wodzą 12.000 ludzi zebranych. Prócz tych wojsk, stali generał Dąbrowski z 7.000 ludzi i Sokolnicki z 4.000 ludzi garnizonu sandomierskiego nad Pilicą.

Naczelną wodzą postanowił teraz wszystkie swoje siły skoncentrować na prawym brzegu Wisły. W tym celu zbudowano most na łyżwach na Wiśle, o pół mili poniżej Puław naprzeciwko wsi Jaroszyna i szaniec przedmostowy dla zastony jego założono. Roboty około mostu i szaniec powierzono porucznikowi od saperów Potier, prawdziwemu *troupię* wojska francuskiego, przeniesionego do wojska naszego. Mnie i Prądyńskiego dodano mu do pomocy.

Po ośmiodniowym pobycie w Puławach, w czasie którego książę Poniatowski podzielił swój czas pomiędzy organizację nowo przybyłych batalionów, przeglądy wojska, liczne szczegóły służby, korespondencję i zabawy towarzyskie w gronie pięknych dam puławskich, wojsko polskie dnia 2 lipca wyruszyło ku Radomowi i tam połączenie gło-



wnych sił nastąpiło, które do 23,000 ludzi wynosiły *w dniu 4 lipca*.

W czasie pobytu naszego w Puławach, otrzymałem krótki urlop na dni kilka do rodziców. Udałem się więc podwodami do Warszawy, skąd dzień i noc jadąc w domu niespodziewanie stanąłem. Przez rodziców pielęgowany i opatrzony w pieniądze i bieliznę, po rzewnem pożegnaniu z matką i radach zbawiennych ze strony ojca, równie szybko wracałem na Warszawę do Puław; lecz tam już głównej kwatery nie zastałem. Według wiadomości od wojska, korpus nasz główny wyruszył ku Kielcom; obróciłem więc moją drogę na półkę do Kielc, gdzie ostatnie ciągnące nasze kolumny, parki i obłogi zastałem.

Marsz wojska naszego od Radomia do Krakowa podobniejszy był do wygodnego etapowego pochodu, aniżeli do wojennego. Wszędzie mieszkańcy z ochotą nas podejmowali i wszystkiego dostarczali obficie.

Główna kwatera dnia 8 lipca stanęła w Kieleach, po mimo dość trudnego dla rozmaitej broni przechodu przez Święto-Krzyskie i Bodzentyńskie góry.

Odtąd wojsko polskie w trzech kolumnach posuwało się ku Krakowowi. Prawa pod generałem Rosińskim szła na Konięcpol; środkowa pod księciem Poniatowskim na Chęciny, lewa pod Roźnieckim na Pińczów. Wojsko austriackie bez potyczki wszędzie ustępowało.

W dniu 11 lipca przyszło pod Żarnowcem do żwawej rozprawy pomiędzy kolumną prawą a korpusem generała Mohra, który się cofnął do Książa. Dnia 12 lipca główna kwatera była w Wodzisławiu, dnia 13 lipca w Miechowie, a 14 lipca generał Roźniecki stanął naprzeciwko Krakowa.

Arcyksiążę Ferdynand, zdawszy komendę generałowi Monnelletowi pośpieszył sam do Czech dla objęcia dowództwa tej prowincyi. Generał Monnellet zajmował Kraków wszystkimi siłami, które pomimo strat poniesionych w rozmaitych bitwach, wzmocnione odwodowymi oddziałami, jeszcze 24,000

wojska wynosiły. Na traktach od Lwowa do Krakowa rozciągnięte były kolumny rosyjskie, których czoło zajmowało Tarnów. W tych okolicznościach, zwłaszcza, jeżeli pomoc rosyjska uważana być miała jako szczerą, dłuższy pobyt w Krakowie dla korpusu austriackiego stał się niepodobnym. Dnia 14 lipca po południu, po kilku szczęśliwych natarciach jazdy naszej na Austryaków w dolinie Prądnika, generał Mohr, dowodzący tylną strażą austriacką, wysłał parlamentarza z żądaniem zawieszenia broni. Generał Roźniecki przystał na rozejm dnia 12 lipca; w czasie tym Austriacy mieli wyjść z Krakowa, zostawiwszy magazyny i lazarety wojsku polskiemu. Dzień 15 lipca przeznaczony był do zajęcia stolicy, lecz dzień ten przez zdradę Austryaków i Rosyan, o mało co się nie zamienił w krwawe spotkanie z ostatnimi. W nocy bowiem z dnia 14 na 15 lipca, Austriacy w zмовie z księciem Golicynem wpuszcili do miasta kilka oddziałów piechoty i jazdy rosyjskiej, które bramy i place publiczne obsadzili. Pierwsza kolumna nasza spotkała ich *u bramy Floryańskiej*, broniących nam wchodu. Takiego samego oporu doznał książę Poniatowski; trzeba było piechocie naszej nastawić bagnety, ażeby utorować sobie drogę do miasta i do mostu na Wiśle. Przyszło do ostrych wymówek ze strony naszej i za przybyciem dopiero generała Suworowa, komenderującego dywizją rosyjską spokojność przywróconą została; stąd jednak wynikły później pojedynki pomiędzy oficerami naszymi a rosyjskimi, którzy między sobą zwyczajni tylko pięścią zakończyć kłótnie swoje, radzi nie radzi musieli orężem się zastawiać, a najczęściej ofiarą swojej niezręczności padali. Pośród naszych oficerów Dulski od piechoty, sławny rębacz szukał ciągle z nimi okazji i niejednego z nich obciął, albo zastrzelił. Wodzowie jednak między sobą w przyjaźni żyli i wiele grzeczności sobie wyświadczały. Wojsko rosyjskie wówczas jeszcze bardzo niezgrabne było: piechota sztywna, opięta, *nastojaszczą*: oficerowie źle wychowani; tylko między



sztabowymi i generałami natrafić można było na oświeciszcz. Jazda, a zwłaszcza kozacy, lepszy obraz przedstawiali.

W Krakowie znalazłem generała Dąbrowskiego, a w jego korpusie wuja mego, Antoniego Grudzińskiego, na czele oddziału kujawskich strzelców, majora Umińskiego, generała Kosińskiego, pułkownika Kęczyckiego na czele uformowanego przez niego pułku i wielu innych z prowincyi Wielkopolskiej obywateli, zaprzyjaźnionych z domem naszym. Wszysey mnie uprzejmie powitali.

Korpus nasz, tak słaby na początku kampanii, w podwojonej sile gotowy stał się do popierania dalszej wojny około Krakowa; forpocztę naszą na trakcie wiedeńskim postępowały za armią austriacką. Oddziały jazdy naszej, powstańcami z Galicji, Podola i Wołynia wzmocnione, rozpuszczały swoje zagony aż do Karpat, nad Dniestr i do Bukowiny. W tem położeniu rzeczy odeбралиśmy wiadomość o zawieszeniu broni, zawarłem pod Znajmem; wszystkie więc kroki nieprzyjacielskie ustać musiały. Wkrótce też rozpoczęło się traktowanie o pokój, który ostatecznie zawarty został w Schönbrunn dnia 14 października 1809 roku. Wiadome są jego warunki.

Pomimo wszelkich starań ze strony galicyjskich obywateli, tylko zachodnia Galicja, a starej Galicji cyrkuł Zamojski i obwód mały koło Krakowa, z połową dochodów Wieliczki, Księstwu Warszawskiemu się dostały. Nie chciał bowiem cesarz Napoleon przyłączeniem starej Galicji obrażać sprzymierzeńca, którego dwuznaczne postępowanie pozbawiło nas tym sposobem krwią naszą opłaconej zdobyczy.

Dalsze nadzieje do czasu późniejszego odłożyć musieliśmy. Nastąpiła organizacja nowa całego wojska, które się powiększyło o pięć pułków piechoty i 10 pułków jazdy i kilka kompanii artylerji, w następującym składzie:

I. Wojsko Księstwa Warszawskiego: piechota 36 batalionów, 28,367 ludzi; jazda 18 szwadronów, 5,908 koni; artylerja 2,620 ludzi. Ogółem 36,995 ludzi.

II. Wojsko nowej formacji francusko-galicyskiej: piechota 18 batalionów, 16,583 ludzi; jazda 29 szwadronów, 8,618 koni. Ogółem 25,618 ludzi.

Całe więc wojsko polskie po nowej formacji wynosiło: 54 batalionów i 47 szwadronów: ogółem 62,089 ludzi z artylerją i saperami, z tych było 6,265 w Hiszpanii, 3,024 w Gdańsku, 686 w Niemczech. Ogółem 9,975.

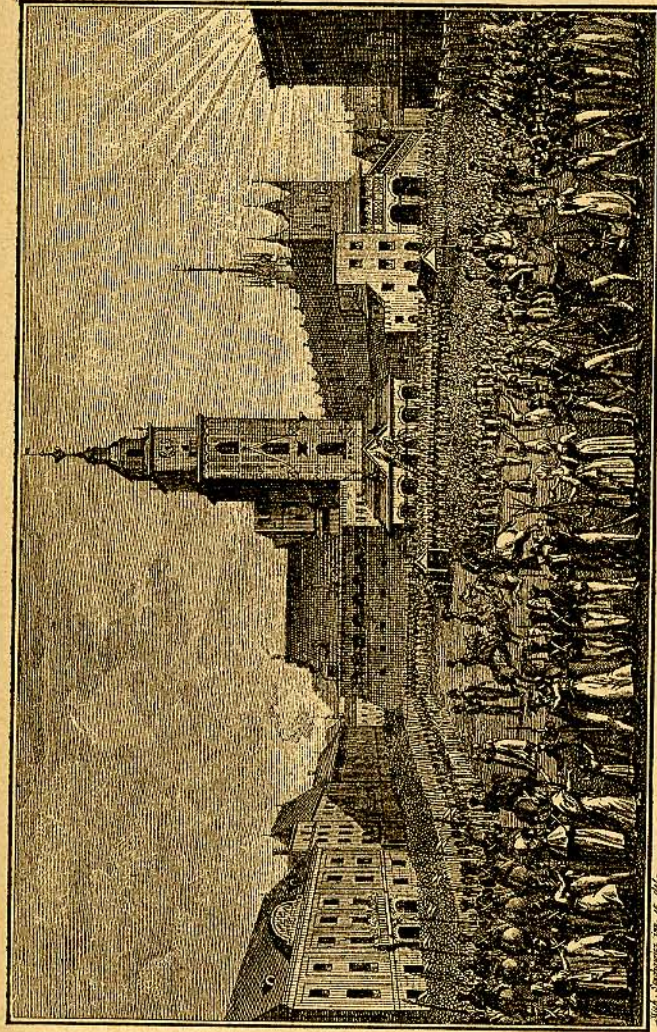
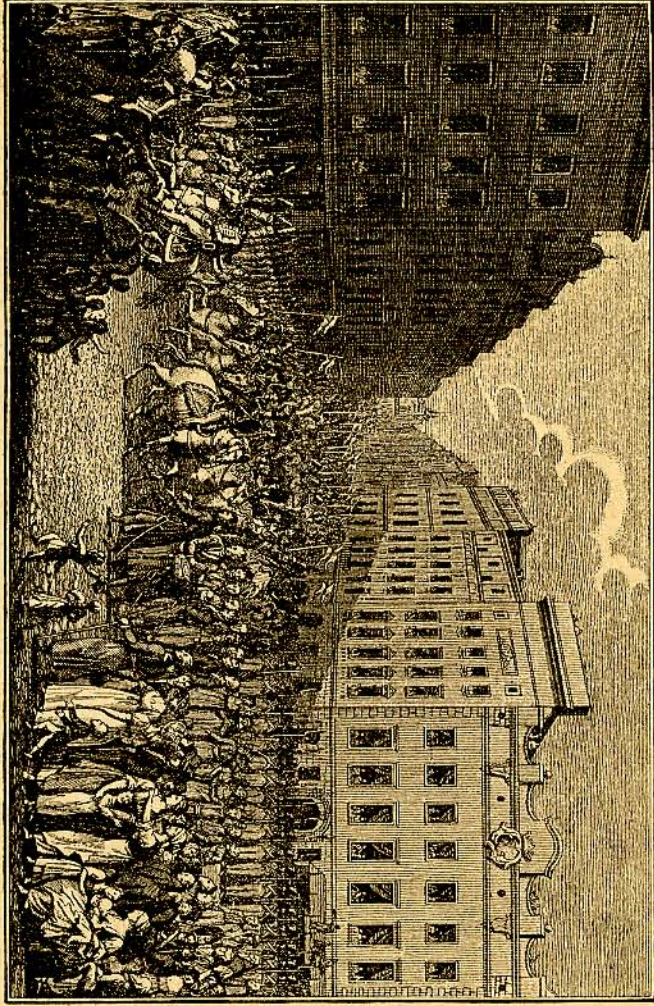
W Księstwie pozostało zatem 52,114 ludzi.

Stolica starożytna Polski, nasz Kraków <sup>Kraków.</sup> kochochany, przedstawiał wówczas szczególny obraz. Radość mieszkańców, widokiem orłów naszych ożywiona, nie znała granic. Oswobodzenie z tak długiej niewoli od roku 1795 do 1809 (lat blisko 14 pod jarzmem niemieckim przepędzonych), uczucia narodowe całego ludu i wszystkich stanów zbudziło; zdawało się, iż wszystkie nasze życzenia spełnić się powinny; i pomimo obecności sprzymierzeńców, których przykry widok radość naszą przytłumił: nikt nie wątpił, aby twórcza ręka wielkiego Napoleona wszystkie przeszkody do przyłączenia reszty oderwanych prowincyj zwyciężyć nie potrafiła. Lecz inaczej chciała Opatrzność! Ten wzgardzony sprzymierzeniec wkrótce miał zwyciężką nogą karki nasze deptać!

Pobyt Austriaków zostawił ślady niezatarte w Krakowie. Ludność miasta bardzo zmniejszona, bo zaledwie 30,000 mieszkańców wtedy liczono; zamek spustoszony, wszystkie pamiątki po królach naszych w zamku wapnem zarzucone. Pokoje królewskie w koszary zamienione, tylko że grobów królów naszych nie tknięto. Zresztą, miasto zawsze piękne i w położeniu przyjemnem położone, tyle jeszcze pamiątek z naszych lepszych czasów przedstawiało, iż znajacemu historję naszą, czas prędko uchodził. Uniwersytet Jagielloński istniał jeszcze, chociaż profesorów i uczniów zbyt mało w nim było. Okolice, jakich żadne miasto polskie nie posiada, tak pięknych, tak powabnych, nęciły każdego. Łobzów, Bielany, Mogiła Krakusa, Mogiła Wandy, kościół Bronisławy, kościół



WELŚCIE WOJSKA POLSKIEGO DO KRAKOWA W ROKU 1809,  
(współczesny obraz M. Stachowicza).



ZAJĘCIE ODWACHU W KRAKOWIE PRZEZ WOJSKO POLSKIE W ROKU 1809,  
(wedle obrazu M. Stachowicza).



na Skałce, dolina Ojcowa, Krzeszowice, Tyniec, Zamek Ten-czyński, Chrzanów, Pieskowa Skała; kto o was zapomni, ten pewnie nieczułym musiałby się nazwać, wobec tak pięknych obrazów przyrodzenia.

Lecz nie długo miało być pobytu mego w Krakowie: wracałem wprawdzie kilka razy w życiu mojem do tego lu-bego miasta, lecz nigdy go już nie widziałem w tak świetnej, w tak uroczej chwili. Podpułkownik Bontemps miał polecenie objechania frabryk broni i młynów prochowych tak w zachodniej, jak i wschodniej Galicji. Jeszcze bowiem wtedy, po zawarciu rozejmu znajmskiego, nikt nie przewidywał, aby wschodnia czyli stara Galicja oddaną być miała napowrót Austrii. Jako posiadającego również niemiecki jak i francuski język, przeznaczono mnie na adjutanta podpułkownikowi Bontemps w tej podróży. Podpułkownik Bontemps, dyrektor artylerji z wojska francuskiego, z jenerałem Pelletier i podpułkownikiem Mallet przeszedł do wojska Księstwa Warszawskiego w stopniu wyższym z rozkazu Napoleona, dla uorganizowania tej części służby. Była to inna zupełnie

Podpułkownik  
Mallet.

natura jak podpułkownik Jan Mallet; tamten choć z Prowancyi rodem, był charakteru łago-dnego, starający się wszystkich sobie ująć pod-komendnych, każdemu potakujący, nie narażający się nikomu, pochlebny i uniżony dla starszych, grzeczny dla młodszych, obiecujący złote góry, lecz nikomu nie dotrzymujący słowa, zgoła egoista w całym znaczeniu słowa tego; to tylko miał na celu, aby szczęście swoje zrobić w Polsce i książniczkę jaką z dobrym posagiem za żonę pojąć; zresztą dość łatwy i przyjemny w pożyciu. Wiadomości swoje inżynierskie bar-dziej praktyce, jak dobrej teorii był winien. Kampanie wło-skie odbył, użyty był do robót w Brescie, w Peschierze, Man-tui, w Juliery i Moguncyi. W roku 1807 dostał się w niewolę rosyjską, skąd uwolniony do nas się przeniósł. Tę miał je-dnak nad wielu francuskimi przybyszami cnotę, że fundu-

szami powierzonymi sumiennie zarządzał. Później w ciągu tych pamiętników, więcej będzie o nim mowy.

Podpułkownik  
Bontemps.

Piotr Bontemps przeciwnie, rodem z Paryża, dawny uczeń szkoły politechnicznej w pierwszym jej zawiązku, gdy Monge nią kierował, był nierównie bar-dziej wykształcony od Malleta, lecz charakteru tak żywego, że popędlliwość jego w wojsku w przysłowie weszła. Odwaga jego nie znała granic; ile żywy w pożyciu i w służbie, tyle przytomny i spokojny przy swoich armatach. Nieraz podko-mędnych swoich zbytnią porywcznością obraził, lecz wkrótce serce jego dobre przemagało i starał się błąd swój poprawić. Na jego słowie i uczynności święcie było można polegać, dla-tego też pomimo tej niesłychanej żywości, zachował przyja-ciół w wojsku do końca służby swojej. Nieraz i ja przy nim cierpiałem, przecież sobie przyjaźni dochowaliśmy do roku 1831 i chętnie wyznaję, że wiele mu zostałem winien; szczegól-niej dał mi dowody przychylności swojej w roku 1812, gdy o przyjaciół dość trudno było, w powszechnej katastrofie, która nas wszystkich pochłonęła. Bontemps, jako oficer arty-leryi, był pełen zalet i wszystkie gałęzie tej broni znał jak najdokładniej. Jemu winniśmy organizację naszych arsena-łów, uzbrojenie fortu, prochownie, warsztaty rzemieślnicze, fabryki pocisków i broni, urządzenie szkół artylerji, race kon-growskie, i t. d., i t. d. I o nim następnie nieraz okolicznie wspomnę.

Podróż naszą obróciliśmy najprzód do Suchedniowa i Samsonowa w okolice Kielc, gdzie istniały już dawniej wielkie fryszerki, stamtąd do Zamościa i w cyrkuł przyległy złoczowski, nareszcie do *Brodów*, miasta na pograniczu Wołynia i w oko-lice, gdzie były młyny prochowe. Po tej objazdce wróciliśmy do Krakowa na początku sierpnia, gdzie napowrót służbę przy podpułkowniku Mallecie objąłem.

Po krótkim wypoczynku udałem się z Malletem w nową podróż do Warszawy, Modlina, Sierocka, Broku, ku Włodawie, skąd obróciliśmy się do Puław, gdzie Malletowi chciało się



koniecznie przypodobać pięknym puławskim damom. W Broku po odbytym przeglądzie szanścu przedmostowego z kapitanem Żołądkiewiczem, udaliśmy się na kwaterę do miejscowego proboszcza, lecz tam zastaliśmy zaduch tak wielki, że biedny Mallet w czasie obiadu nagle zemdlął i padł bez zmysłów; długo go cucilem z pomocą proboszcza, który oniemiał że mu uszów, ratując, nie oberwał; nareszcie przyszedł do siebie, lecz długo potem narzekał na zbyt gorliwe ratowanie z naszej strony, które potem stało się przedmiotem wielu żartów ze strony księżnej jenerałowej Czartoryskiej i jej towarzyszy. W Puławach przedstawiony, byłem księciu Adamowi w jego gabinecie, w czasie ubierania się. Był to już starzec siedmdziesięcioletni, wzrostu średniego, rysów twarzy jeszcze wydatnych i pięknych, lecz już oko bez żywości, zmarszczek wiele na twarzy, chód osłabiony, pamięć przytępiona, jednakże wrodzona grzeczność z uprzejmością nadzwyczajną połączona, miłe na każdym czyniły wrażenie. Któż, widząc tego szanownego starca, mógł zapomnąć o jego dla kraju przysługach i poświęceniu. Jemu to winna Polska urządzenie korpusu kadetów, z których tylu znakomitych obywateli i wojskowych wyszło; udział, który miał w pracach czteroletniego sejmu, protekcyja hojna uczonym i artystom; wychowanie wielu młodzieży na jego dworze, obeznanie nas z cywilizacją zachodnią; wszystkie te ofiary i prace zapewniają księciu Adamowi znamienite miejsce między mężami, którzy się dobrze ojczyźnie zasłużyli. Tego samego dnia, zaproszony do stołu księcia i posadzony naprzeciw niego, odpowiadać musiałem na pytania, które mi on sam i księżna czyniły. Młodość moja zapewne ich interesowała, a nieznajomość tak wielkiego świata i jego zwyczajów bawić musiała. Powróciwszy do Warszawy, odebrałem nominacyę na porucznika drugiej klasy w kompanii rzemieślniczej artyleryi, przy boku podpułkownika Bontempsa dnia 4 listopada 1809 roku i od-tąd zajęty byłem służbą w arsenale budowniczym, jak i w biurze dyrektora artyleryi.

Mieszkanie Bontempsa było w pałacu białym na Ry-marskiej ulicy, niedaleko arsenału i Tłomackiego. Tam pozna-łem młodego Kosińskiego, syna malarza, który niedawno wstą-pił do korpusu i jako podoficer służbę przy pułkowniku Bontemps pełnił. Był to młodzieniec z gruntu zepsuty, któ-rego przykład mógł być jak najszkodliwszy i mieć wpływ na moją przyszłość, gdyby nie zasady moralności i religii, za-szczepione przez księdza Tisserand i przez rodziców. Im to winienem obronę od złego przykładu i niegodziwych postęp-ków tego bezczelnego człowieka, który w dalszej karierze nie stał się lepszym, owszem, co się tyczy charakteru i obyczajów do najzepsutszych należał zawsze oficerów wojska naszego— chociaż zdatności niepospolitej nikt nie mógł mu odmówić. W czasie rewolucyi 1830 roku tak nisko upadł w opinii ko-legów swoich, że dymisyą wziąć był zmuszony i nieczynny był w czasie kampanii. Ta kara ze strony korpusu oficerów i kolegów, policzona mu została za zasługę przy cesarzu Mi-kołaju, bo po wojnie 1831 roku wstąpił do służby rosyjskiej w stopniu podpułkownika, a dzisiaj zasiada w komitecie arty-le-ryi państwa w stopniu jenerał-majora.

W końcu roku 1809 połączyłem się z Ignacym Prą-dzyńskim, który został adjutantem przy dyrektorze inżynie-rów Mallecie i razem mieszkając, zaczęliśmy poznawać potrzebę dalszego wykształcenia w naszym zawodzie. Zajęci gorliwie naszą służbą, nie mogliśmy na kursa szkoły aplikacyjnej, od kilku miesięcy otwarte, uczęszczać. Trzeba więc było szukać innych sposobów wykształcenia się.

Podał nam do tego sposobność pan Livet, były korepetytor szkoły politechnicznej paryskiej, <sup>Lekcyje pry-watne.</sup> który sprowadzony przez rodziców Romana Soł-tyka do Polski, pełnił zarazem obowiązki profesora jeometrii wykreslnej i matematyki wyższej w szkole aplikacyjnej. Uło-żywszy się z nim, wieczorami chodziliśmy do niego na lekcyje prywatne w tychże przedmiotach. Wykład jego był tak pię-kny, tak jasny, iż wkrótce znaczne postępy uczuliśmy. Wró-



ciwszy od niego, resztę wieczorów i nawet noce przepędzaliśmy na powtarzaniu kursów i rysowaniu rycin jeometrii wykresłej i fortyfikacyi. Pamiętam, żeśmy się z Prądzyńskim w tej mierze ubiegali i wiele nocy, trzeźwiąc się kawą czarną, przepędzali na pracy. Tak dzieląc nasz czas pomiędzy obowiązki i prywatną pracę wkrótce wyprzedziliśmy kolegów naszych i zaczęliśmy zwracać na siebie uwagę naszych dowódców.

Służba w arsenale budowniczym nie bardzo mi do myśli przypadła. Starałem się więc o translokacyę do korpusu inżynierów, do którego zawsze czułem w sobie pociąg. Dnia 1 kwietnia 1810 roku odebrałem nominacyę na porucznika 1 klasy. Adjutanta w korpusie inżynierów i podpułkownika Bontempsa pożegnałem. Pod okiem podpułkownika Malleta, który też ze swojej strony postąpił na pułkownika, zacząłem służbę przyjemniejszą pełnić w dyrekcji inżynierów, wyrabiając rozmaite projekta dyrektora, nie opuszczając jednakże prywatnych lekcji u Liveta, wspólnie z Prądzyńskim.

Talent pana Liveta w wykładaniu najtrudniejszych przedmiotów był nadzwyczajny. Nic nie wyrówna jasności i jedności jego wymowy. Najzawilszy przedmiot po jego wykładzie zdawał się jasny jak słońce, dopiero trudności się spostrzegało przy powtarzaniu. Jakaż szkoda, że tak wielki talent dla nas stracony zbyt rychło został. Na nieszczęście Livet, mający dopiero około trzydziestu lat, połączony z ładną i nader przyjemną paryżanką, był namiętym pijakiem i co dzień był prawie pijany. Musieliśmy chwytać okazyj lekcye, kiedy był trzeźwy i niejedną odebraliśmy po pijanemu. Lecz i wtenczas jeszcze był jasny, chociaż nieraz na krzeselku zasnął. Czekaliśmy spokojnie natenczas przebudzenia i skoro to nastąpiło wracał do przedmiotu i kończył z równą łatwością. *Où en sommes nous restés?* Takie bywało pierwsze jego słowo.

Dnia 14 kwietnia 1812 roku z prawdziwym żalem do wiedziałem się o śmierci biednego Liveta, która nastąpiła

skutkiem nieszczęsnego nałogu. Czy go z Francyi przywiózł, czy u nas się nauczył, nie wiadomo mi dotąd. Ostatnie podobniejsze.

W czasie wolniejszym od pracy, zwłaszcza w dniach świątecznych, rozrywałem się wizytami w Zamku Królewskim u marszałka dworu Brońca, którego pasierbice, panny Grudzińskie: Joanna, Józefa i Antonina, moje ciotecznie rodzone siostry już wtedy zaczynały jaśnieć na horyzoncie warszawskiego towarzystwa.

Wkrótce po mojej nominacyi na porucznika pułkownik Mallet wysłany został przez księcia Poniatowskiego do Częstochowy, dla powitania króla Saskiego, księcia warszawskiego, odbywającego z królową, królowną Augustą i licznym dworem, podróż w przyłączonych napowrót prowincjach. Dnia 5 maja, o godzinie piątej po południu najjaśniejszy pan przybył pod mury twierdzy i przyjąty został przez władze miejscowe, gwardyę narodową i batalion trzeci pułku piątego piechoty. Działą ustawione na wałach stokrotnem wystrzałem powitały monarchę. Po danej audyencyi władzom, do której pułkownik Mallet wraz zenną należał, najjaśniejszy pan udał się do kościoła, gdzie pomogliwszy się, w asystencyi pułkownika Malleta i jenerała Piotrowskiego wyszedł dla obejrzenia wałów dotąd dziewiczej twierdzy i arsenału, w którym prezentowane były dwie chorągwie, jedna zdobyta na Turkach pod Wiedniem, druga zachowana na pamiątkę po Puławskim. Nazajutrz najjaśniejsi królestwo o godzinie siódmej zrana zwiedzili skarbiec i niektóre osobliwości starożytne; potem udali się do kaplicy Matki Boskiej i tam słuchali wotywy, klęcząc przez cały czas, nareszcie po obejrzeniu biblioteki udali się w dalszą drogę do Krakowa. Najjaśniejszy pan, podobnie królowa bardzo łaskawi byli na pułkownika Malleta, który pobożną swoją jezuicką powierzchownością, dobre na nich uczynił wrażenie i zaufanie wzbudzić potrafił. Król około sześćdziesiąt lat wtedy liczący, był średniego wzrostu, poważny, łagodnej twa-

Podróż króla  
Saskiego.



rzy; nie wiele, lecz przyjemnie mówił, a wyślowienie jego w języku polskim było wolne, lecz wyraźne i bezbłędne. Na tej znacznej twarzy istniała ta cnota, ten rozum wysoki i ta wytrwałość, której później tyle dał dowodów w nieszczęściu. Był to wówczas nestor królów europejskich; sam Napoleon z uszanowaniem tylko zbliżał się do niego. Ile w krótkim czasie dla nas uczynił, każdy z współczesnych przyznać powinien; ile dla Saksonii, jako elektor po śmierci Agusta III. dźwigając finanse i przemysł zrujnowany po długim panowaniu Bryła, niech wdzięczni powiedzą Sasi. Więcej może uczynił, gdy po rozszarpaniu Saksonii w roku 1815, potrafił kraj ciągłymi pochodami i długimi pobytami wojsk obcych, wojną i kontrybucjami zniszczony i o trzecią część zmniejszony, przez oszczędność swoją przywrócić wkrótce do dawniej kwitnącego stanu.

Król Saski był bardzo nabożny i pod kierunkiem nieodstępnego spowiednika swego sumiennie wypełniał wszystkie obrządki kościoła naszego, a jednak nigdy nie okazał się nie-tolerantnym względem innych wyznań. Tę sprawiedliwość wobec innych wyznań obywatele Saksonii, jak wiadomo protestanci, odwdzięczali przez uszanowanie bez granic i miłość dla jego osoby.

Osoba królowej nie tyle godnością jak dobrocią podobiała się; była to sobie bardzo poczciwa Niemka, lubiąca towarzystwo i bajeczki domowe i nie mająca żadnego wpływu na publiczne sprawy.

Przeciwnie królowna Augusta, infantka polska, jak ją nazywano, wprawdzie powabami nie bardzo jaśniała, była bowiem już nie młoda, dość czerwona i otyła; lecz pełna nauki i rozumu.

Dwór, otaczający najjaśniejsze królestwo, był staroświecki, od spowiednika do szambelana i lauffra, wszystko wypudrowane, a kolor jasno-żółty liberyi dworskiej nie wiele przyskładał blasku do jego świetności.

Twierdza Częstochowa składała się wówczas z czterech bastyonowych frontów w kwadrat o stu sążniach i z małego półksiężyca przed bramą; wały odziane były murem na dwadzieścia pięć stóp wysokości; rów był głęboki i dość szeroki, lecz naprzeciw skarpa nie murowana. Sklepy klasztorne i niektóre mniejsze kazamaty pod wałami służyły do przechowania żywności i amunicji. Twierdza, obejmująca klasztor Jasno-Górski, leży na wzgórzu, panującym nad całą okolicą. Wieża klasztorna o cztery mile widzieć się daje. W stronie wschodniej leży stare miasto Częstochowa nad Wartą, o pół mili od fortecy, a w stronie południowej, klasztor Świętej Barbary; naokoło twierdzy są ślady oszańcowanego obozu Puławskiego.

Częstochowa odbyła trzy oblężenia: za Jana Kazimierza przez Szwedów w roku 1656, za Puławskiego i Konfederacyi Barskiej przez Drewicza i Suworowa w roku 1809, nareszcie przez Austryaków. Roku 1813 po krótkim oblężeniu poddała się Rosyanom prawie bez wystrzału.

W czasie podróży króla do Krakowa, pułkownik Malle towarzyszący mu, często miał jeszcze sposobność zbliżyć się do jego osoby. Droga szła przez Żarki, majątność Męcińskich, gdzie ciężkie kolasy dworskie o mało co w piaskach nie utonęły; na Pilicę w pięknym położeniu nad rzeką tego nazwiska i Bronowice, zapomocą przepręgów, rozstawionych przez obywateli na wszystkich stacyach. Wrażenie, jakie osoba królewska czyniła na wszystkich, było wszędzie jednakowe. Obywatele, i ludność wiejska, żydzi, wszystko się cisnęło dla widzenia i powitania kochanego monarchy; wszędzie pamiątkę synowskiej swojej dobroci zostawiał w sercach poddanych swoich. Dnia 7 maja wieczorem najjaśniejszy pan stanął w Krakowie i tam u bramy Floryańskiej powitany został przez księcia Poniatowskiego, władze Krakowa, znakomitszych obywateli i ludność całą krakowską. Nie mógł król stanąć w zamku przodków swoich, gdyż ten nosił jeszcze zbyt wy-



rażne ślady spustoszenia od rąk nieprzyjaciół naszych, lecz zajął mieszkanie w Rynku, w pałacu pod Baranami.

Król bawił w Krakowie od 7 do 12 maja. W tych pięciu dniach zajęty był ciągle przyjmowaniem władz i osób różnego stanu, zwiedzaniem kościołów, zamku, grobów królów polskich, Uniwersytetu Jagiellońskiego, obserwatorium i innych pomników starożytnej stolicy. Dnia 9 maja król odwiedził Wielickę. Dnia 10 był na balu w Sukiennicach gmachu, z którego pyszni się ze słuszością Kraków, a 12 maja w dalszą drogę wyruszył na Rachów, Puław, Mniszew, gdzie przez dzień 16 maja zabawił, a dnia 17 maja nastąpił wjazd króla do Warszawy.

W czasie pobytu króla w Krakowie znajdowałem się na balu w Sukiennicach, na rozmaitych obchodach uroczystych i towarzyszyłem dworowi w czasie podróży do Wieliczki. Po jego wyjeździe ruszyliśmy z pułkownikiem Malletem w drogę do Warszawy, którą obróciliśmy na Sandomierz, Puławę i Mniszew.

Pobytu króla saskiego w Warszawie opisywać nie będę, szczegóły o tem znaleźć można w korespondencji warszawskiej.

W miesiącu lipcu 1810 roku wysłany zosta-  
Wysłanie do  
Zamościa.łem do twierdzy Zamościa, ażeby w praktycznych robotach fortyfikacyjnych odebrać naukę. Zostałem tam komendantem inżynierów, kapitana Jodkę, któremu dodany był z wojska austriackiego do naszej służby przeniesiony kapitan inżynierów Męciszewski. Kompanią saperów dowodził kapitan Buławecki; kapitan Jodko był dawniej oficerem w korpusie inżynierów litewskich. Pod względem naukowym nie bardzo wykształcony, lecz zący i pocziwy człowiek pełniący sumiennie swoją służbę. Nierównie więcej nauki i wykształcenia miał kapitan Męciszewski, który skończywszy akademię inżynierską w Wiedniu, później fortyfikacye w Sandomierzu zakładał i w szturmie do tego miasta kolumny austriackie prowadził. Poznawszy jego naukowe usposobienie,

starłem się zbliżyć do niego i jemu najbardziej winienem pierwsze praktyczne wykształcenie moje. Dowódcą twierdzy był generał brygady Hauke, człowiek światły i dobry żołnierz, któremu inżynierska nauka wcale nie była obcą; wstąpił się później obroną Zamościa w roku 1813; za rządów Konstantego został w roku 1820 komendantem korpusu inżynierów, artylerji i kwatermistrzostwa, później ministrem wojny, a w roku 1830 pierwszy zginął z rąk podchorążych, czyniąc powinność swoją; żona jego, córka lekarza Lafontaine'a, była osobą bardzo przyjemną i dobrze wychowaną, posiadała dobrze muzykę. Na kobietę dość dziwny lecz piękny talent miała gry na skrzypcach. Znajomość moja muzyki i zażyłość dawna generała Hauke z rodzicami memi, dały mi wstęp do jej domu i niejedną przyjemną chwilę temu stosunkowi winienem. Garnizonem trzynastego pułku piechoty dowodził pułkownik Schneyder, stary oficer, legionista; pod nim był major Zakrzewski, również z legionów pochodzący, oficer pełen charakteru i odwagi; innych sztabs-oficerów nie pamiętam. Z kapitanów odznaczali się Łukasiewicz, później tak nieszcześliwa ofiara polityczna wielkiego księcia i Machnicki, dawny adwokat lwowski, również skompromitowany w towarzystwach tajnych, męczennik wielkiego księcia. Pułk trzynasty piechoty z rozmaitych pierwiastków złożony, a szczególnie z jeńców i dezertów austriackich, różnił się ubiorem od całej piechoty, miał bowiem mundury białe z granatowymi wyłogami z austriackich przerobione.

Roboty około umocnienia twierdzy Zamościa już zastałem rozpoczęte; używano do nich żołnierzy i chłopów okolicznych.

Roboty te wszystkie razem wzięte do 100,000 złp. kosztować musiały.

Mnie dostało się dzieło przed lwowską bramą, które w ciągu roku 1810 do stanu obronnego doprowadziłem. Na początku zimy roku 1810 na 1811 powróciłem do Warszawy i prace moje w biurze inżynierskim dyrekcji na nowo rozpo-



cząłem. Połączywszy się z Prądzyńskim, mieszkaliśmy na Danielewiczowskiej ulicy na kwaterze u pana Hattowa, starozakonnego; biuro inżynierskie było na Lesznie. Czas nasz prawie tym samym trybem został rozdzielony, co i przeszłej zimy; tylko żeśmy prywatnych lekcji u Liveta nie brali; ale w domu, szczególnie wieczorami, prywatnie pracowali.

Nauki, dawane w szkole artyleryjskiej księstwa Warszawskiego, nie były tak obszerne, jak później za mego dyrektorstwa nauk; ograniczały się na kursie geometrii wykresłej z odpowiedniami rycinami, rachunku różniczkowym i całkowitym bardzo krótko, do tego cokolwiek mechaniki; rysunkach architektury i na kursie fortyfikacji polowej i stałej z odpowiednimi rysunkami, lecz to wszystko bez najmniejszego zastosowania nie odpowiadało celowi, lecz też czas był zanadto krótki; rok bowiem tylko dozwolony na całkowity kurs. Profesorami byli pp. Livet, któremu Koriot dodany za adjutanta, kapitan inżynierii Ronget i Vogel do architektury.

Księstwo Warszawskie miało prócz tego dwie szkoły kadetów, jedną w Chełmie, a drugą w Warszawie; w obydwóch kształcili się młodzi ludzie, których wybierano zdutniejszych na oficerów do wojska. Warszawską szkołą dowodził kapitan i dyrektor Gutkowski, człowiek z niewielką zdutnością i dla wielu śmieszności tak w powierzchowności, jak i w obejściu się, zupełnie niezdolny dowodzić trzystu młodymi, swawolnymi ludźmi. Do rzędu ostatnich należał także mój brat młodszy Adam, który, gdy po moim odejździe nie nie korzystał w Wrocławiu, umieszczony został w roku 1810 w korpusie kadetów. Nie wiele i tu się nauczył, pomimo zdutności swojej, a że był bardzo psotnym i niesfornym, więcej w kozie jak w szkole przesiedział. Ale też jakich mizernych posiadała ta szkoła profesorów! Najzdutniejszym był Konkowski, profesor matematyki, lecz i ten na podrzędny stopień zasługiwał.

Szkoła  
artyleryjska.

Szkoła kadetów.

Gutkowski  
dyrektor.

W zimie roku 1810 na 1811 matka z siostrą starszą Albercią dla kupienia wyprawy przybyła do Warszawy; bawiła parę tygodni i w towarzystwa uczęszczała, szczególnie w Zamku u pani Brońcowej, co dało mi powód częstego bawienia na wieczorkach.

W czasie tym jeszcze nieśmiały byłem w towarzystwie; czułem moją niezręczność w porównaniu z inną młodzieżą; nie jeszcze we mnie dowcipu nie budziło, grzeczność świata nudziła mnie i jeszcze obojętniejszym czyniła na każdą zabawę, — zgoła byłem dzikim i odludkiem wśród wesołości świata, ponieważ żadnego udziału w niej brać nie mogłem, bo nawet nie tańczyłem. Piękne moje kuzynki, panny Grudzińskie, pomimo pracy, jaką sobie ze mną zadawały, pomimo prześladowań i dowcipnych przemawiań, nie potrafiły mnie ożywić; byłem i zostałem długo jeszcze ponurym odludkiem.

Tej samej zimy miałem pierwsze honorowe spotkanie z porucznikiem od inżynierii Tegerem, sążnistym Niemcem, z którym pozwoliłem sobie w biurze nieprzyjemnych żartów. Biliśmy się na pałasze w ogrodzie naszym. Po złożeniu się kilkakrotnem zraniłem go lekko w rękę, sam odebrawszy płaskie uderzenie w udo. Lecz co też za nierówne siły? Dość dla mnie słabego Dawida, że się potężnego Goliata nie zląkłem i obronnie z walki wyszedłem.

W tym czasie książę Stanisław Jabłonowski, rozwiedziony z żoną, Walewską z domu, zaczął się starać o rękę siostry mojej ciotecznej, Józji Grudzińskiej. On był w wieku podeszłym, znany z zazdrości i przykrego pożycia z pierwszą żoną, do tego nie piękny i choć słodziutki w towarzystwie kobiet, nie bardzo od nich lubiany. Przeciwnie, Józja Grudzińska należała do najpiękniejszych osób swego wieku. Łączyła wszystko to w sobie, co urok Józja Grudzińska. sprawia, co zachwycę i uszanowanie wzbudza między ludźmi. Wzrostu wysokiego, kibici wysmukłej

Pierwszy  
pojedynek.

Józja  
Grudzińska.



i pełnej gracyi, twarzy do Madonny Rafaela podobnej, miała rysy greckie najdelikatniejsze, usta Afrodyty, płeć nadzwyczajnie białą i przezroczystą, oczy modre, oprawne w hebanowych więzach; brew wąską, foremnie wyrysowaną jak u wschodnich kobiet, włosy nareszcie ciemne; cały układ lekki, choć ruchy nie bez powagi; jednym słowem Józia Grudzińska przedstawiała wzór najnadobniejszy kobiecej urody. Lecz te wszystkie powierzchowne ozdoby nie ujmowały nie przymiotom duszy; zupełna harmonia panowała między niemi: słodycz uśmiechu, który u aniołów nie mógł być piękniejszy, wiernie malował, co się w sercu działo; a wyraz spojrzenia czystego jak kryształ, czystość duszy oddawał. Była to, jeśli śmiem powiedzieć, lilia od boku archanioła Gabryela! Wychowanie Józii Grudzińskiej było także bardzo staranne. Prócz ojczyzkiego języka, posiadała francuski i angielski doskonale i ładny talent miała do rysunku. Umysł jej wykształcony nad wiek (wtedy liczyła lat ośmnaście) dowcipna i ujmująca rozmowa, obok organu dźwięcznego, naznaczały jej miejsce znamienite w gronie dam ówczesnych.

Nie zasługiwał na taką nagrodę książę Stanisław Jabłonowski. Jakoż pomimo adoracyi, którą otaczał Józję Grudzińską, żadnego wrażenia nie zrobił na jej sercu, a nalegania nierozważnej matki, której się chciało dla córki książęcej mitry, wstręt jej powiększyły. Józia stanowczo odmówiła księciu swej ręki, a w kilka lat później roku 1816, idąc za natchnieniem własnego serca, zaślubioną została panu Wacławowi Gutakowskiemu.

Joanna, starsza z Grudzińskich, później pod nazwiskiem księżnej Łowickiej powszechnie znana, innemi zupełnie zaletami zajaśniała i może bardziej w towarzystwie się podobała. Liczyła w tym czasie dopiero lat dziewiętnaście. Miała wzrost niski, kibić szczupłą i nadobną — oczy jasnego, niebieskiego koloru, zasłonięte pięknymi złotymi rzęsami, pełne wyrazu i dowcipu; przy mrużeniu pewnymi czasami kazała zgadywać myśl,

Joanna  
Grudzińska.

która się w nich tak żywo zwyczajnie malowała. Twarz okrągła, nos ładnie zarysowany, cokolwiek zadarty; usta może za wielkie, lecz w przyjemny uśmiech łatwo się układały. Włosy ciemno-złotego koloru, gęstością swoją i jedwabną barwą wiele uroku tej twarzy dodawały, zwłaszcza gdy w gęstych puklach spadały na lica. Płeć mniej biała i przezroczysta. Lecz nie wyrównało lekkości jej chodu, gracyi w poruszeniach i w całym układzie w towarzyskich kołach. Wtedy była prawdziwie nieporównaną. Do tego uroku wiele się przyczyniał talent, jakim się nad wszystkie damy warszawskie odznaczała, talent do tańca. W gronach towarzyskich prócz tanców narodowych, mianowicie mazurka, tańczyła francuskie, jako to: gawota, kontredansa, szal i inne tańce tak doskonałe, że Dupart i inni sławni baletnicy tego wieku z chciwością chwyтали każde jej poruszenie, ażeby sobie które z nich przywłaszczyć. Lecz i w tem miarę trzymała i potrzeba było prośb bardzo poważnych, lub też natrętnych, ażeby ją skłonić do tańców, tak zwanych charakterystycznych, w większych kołach warszawskich. Wszakże nie tylko w tańcu zajmowała wszystkich; rozmowa jej dowcipna, igrająca z przedmiotami, pełna niespodziewanych zwrotów, czasem mistyczna, czasem żartobliwa i znowu poważna, najozięblejszych poruszała i serca najtwardsze kruszyła.

Taki to urok miała Joanna, czyli Żaneta Grudzińska, później księżna Łowicka.

Któż się po tym wiernym opisie zadziwi, jeżeli wielki książę rosyjski mógł dla niej poświęcić koronę ogromnego państwa!

Trzecia i najmłodsza z trzech sióstr, nazywała się Antonina; w tym czasie miała dopiero lat siedemnaście, była zupełnie jednego ze mną wieku.

Antonia  
Grudzińska.

Po odmalowaniu dwóch starszych sióstr, zda się, iż żaden rys, żaden wyraz już nie pozostał dla opisanja młodszej, i że wszystko w dwóch pierwszych obrazach wyczerpa-



łem. Tak jednak nie jest. Antosia Grudzińska, od dnia 28 września 1821 roku generałowa Chłapowska, matka licznej rodziny, szczęśliwa żona i przez wszystkich, którzy ją otaczają, dla rzadkich przymiotów serca uwielbiana, nie należała wprawdzie na ten czas do rzędu tych osób, których ukazanie się w świecie towarzyskim podziwienie od razu wzbudza i epokę stanowi, lecz bardziej stworzona do podobania się w małym dobranem kółku. Skromnością i nadobnością razem, a osobliwie szczerością i czystością wyobrażeń swoich przyciągała i przywiązywała na zawsze. Porównanie, choć bardzo zwyczajne, do niej się stosowało; róży i fiołka przymioty w sobie łączyła. Urodą nie tyle wprawdzie błyszczała, co siostra Józia, wszakże zawsze jeszcze do rzędu ładnych kobiet należeć mogła. Oko ciemno-modre nakształt zwierciadła malowało każde wewnętrzne uczucie; w nim zaraz wyczytałeś, że dusza czysta Antosi nawet złego u nikogo nie przypuszcza, dla niej nie było złego; nie pojmowała go, i dziś go jeszcze po tylu doświadczeniach nie pojmuje. Widok upadku moralnego jeszcze ją bardziej martwi aniżeli nędza fizyczna; ubolewa nad nimi, nie ma spoczynku, dopokąd utajonego nieprzyjaciela duszy nie odkryje i balsamu na ranę nie naleje. Nie będę zalet zewnętrznych dalej opisywał, gdyż wyraz dobroci i czystości, rozpostarty na całą osobę, wszystko u niej stanowi i o piękności każe zapominać.

Los tych trzech osób, które równie z siostrami kochałem, tak ściśle był z moim złączony, iż nieraz przyjdzie mi o nich wspomnieć.

Zima 1810 na 1811 rok swobodnie przeszła na pożytecznej pracy i miłych zabawach; towarzystwo Prądyńskiego, którego sposób myślenia był wzniosły, który ciągle pracował nad wykształceniem swoim, dobrym był przykładem dla mnie młodszego. Przyjaźń, którąśmy ze sobą w tym roku zawarli, trwała do roku 1831 — często nas okoliczności rozdzielały, lecz zawsze, czy w szczęściu, czy w nieszczęściu, wracaliśmy do siebie z równą uciechą.

Tej zimy pułkownik Mallet wyjechał do Paryża, dla zdania sprawy komitetowi inżynierskiemu o stanie fortec w Polsce. Horyzont polityczny na północy chmurą się zakrywał. Czas było myśleć o lepszym zabezpieczeniu linii Wiśły, ażeby nas wojna nie zastała tak źle przygotowanych, jak w roku 1809. Pomimo tego, żeśmy adjutantami jego byli, żadnego z nas jednak nie zabrał ze sobą, lecz pana Józefa Kwileckiego, adjutanta generała Fiszerę, człowieka dowcipnie złośliwego i wygadanego w języku francuskim, obrał za towarzysza. Pułkownik Mallet z rozmaitymi nowymi projektami powrócił, osobliwie co się tyczy twierdzy Modlina, którą cesarz Napoleon na wielki warowny obóz zamienić zamyslał. Nie przepomniął i siebie przy tej okazji, i krzyż oficerski legii honorowej dla siebie przywiózł.

Z początkiem roku 1811 rozpoczęły się roboty wielkie około wzmocnienia twierdzy Modlina. Przeznaczony do nich zostałem i znaczny wydział powierzony miałem.

Rok 1811.

Zatwierdzony przez cesarza projekt nadawał wielką rozległość dziełom.

Roboty około  
Modlina.

Komendantem placu był pułkownik Hilary Krasieński. Roboty rozległe wymagały wielkiego rozwinięcia sił, i ogromnych nakładów — kilka milionów złotych polskich i dywizję wojska polskiego przeznaczono do ich wykonania. Prócz tego zgromadzono kilkuset murarzy i cieśli do budowy murów, palisad, ścian drzewnych, blockhausów i t. d., tak, iż z początku wychodziło około 6,000 żołnierzy do sypania wałów, którzy płatni byli na wydział od sążnia sześciennego ziemi, do pewnej wysokości wywiezionego; murarzy 300 i tyleż cieśli. Później drugą dywizję piechoty sprowadzono, a z całego kraju w roku następnym ściągnięto chłopów.

Na moim wydziale pracowało w tym roku około 1,000 żołnierzy, 100 cieśli i tyleż murarzy. Dozorowanie tylu ludzi, wyznaczanie wydziałów, odbiór wymiaru, budowa wjazdów,



rozmiary i równoważenie, wytykanie i stawianie profilów, ścisły dozór nad murarzami i cieślami; nareszcie wygotowanie raportów dziennych, sprawdzanie rachunków i asygnowanie wypłat do płatnika, zajmowały wszystkie godziny dnia długiego, tak, że ledwie na kilka godzin, do spoczynku wolnych, rachować było można. Tak wielkie wytężenie przechodziło pewnie siły osmnastoletniego młodzieńca, lecz uczucie honoru, które nie dozwalało nikomu w wykonaniu obowiązku dać się wyprzedzić, współzawodnictwo kolegów przemagało wszelkie inne względy, nawet i zdrowia. Stołowaliśmy się wszyscy razem u pani kapitanowej Cieciszewskiej i tam wesołe chwile w towarzystwie młodych kolegów się przepędzało. W dniu świątecznym wyjeżdżaliśmy za urlopem do Warszawy, gdzie zabawiwszy do późnego wieczora, po teatrze wracaliśmy w pogodnych nocach konno do pracy, która się rozpoczynała o trzeciej godzinie zrana z wystraszonym armatnim.

Zaraz na początku robót, przy stawianiu profilów na froncie 5—6, miałem przypadkiem palec wskazujący u prawej ręki zupełnie zgnieciony obuchem od siekiery, przez nierozwagę sapers Jelonka. Po pierwszym opatrzeniu zdawało się, iż palec postradam, lecz po kilku dniach za staraniem dobrego chirurga sprostowany został i w kilkanaście dni wygoił się zupełnie.

W tym roku gorąco było dokuczające; wojsko w barakach stojące nad Wisłą, zaczęło chorować; epidemia gorączki zaczęła się szerzyć i do obozów i do fortecy się dostała.

Choroba moja. Po wyjeździe generała Haxo, który z Gdańska przybył do nas na inspekcję w miesiącu sierpniu, zacząłem uczuwać pewne osłabienie w nogach i zawroty w głowie, które przypisywałem zbyt wielkim upałam; lecz wkrótce siły zaczęły mnie opuszczać i znalazłem się tak słaby, iż doktora Wernery przywołać musiano. Zdeklarowała się wkrótce nerwowa febra, najniebezpieczniejszego rodzaju. Pomimo wszelkich starań zacnego lekarza, już o mnie zaczęto powątpiewać. Jednak młoda natura przemogła. Po przesileniu

się choroby nastąpiło osłabienie nadzwyczajne i wielka drażliwość nerwów. Doktor Wernery podał radę, aby mnie zawieźć do Warszawy, gdzie większych starań doznawać mogłem, aniżeli w twierdzy, pozbawionej wszelkich wygod, i sam mnie tam zawiózł; w drodze parę razy z wycieńczenia sił zemdlałem. Nareszcie dojechawszy, złożył mnie u Rosengarta na Tłomackiem i staraniom doktora Czekierskiego powierzył.

Wkrótce po mojem przybyciu odwiedził mnie kapitan inżynier Minter, który widząc mój stan i niewygodę mego pomieszkania w oberży, oświadczył życzenie, abym się przeniósł do jego pomieszkania na Długiej ulicy, w domu Pijarów, gdzie wszelkich starań obiecywał dołożyć, aby mnie przyprowadzić do zdrowia. Przyjąłem z wdzięcznością zaproszenie i znalazłem w jego domu tę pieczołowitość, jakiej tylko w domu rodzicielskim spodziewać się można. Umieścił mnie we własnym pokoju i tam pod jego okiem i opieką godnej żony w parę miesięcy przyszedłem do sił dawnych. Przysługa tak wielka dziś jeszcze najżywszem uczuciem wdzięczności przejmuję mnie dla pamięci tego czeigodnego męża, który później w roku 1830 tak niegodziwego doznał prześladowania od oficerów korpusu inżynierów.

Do tak niebezpiecznej choroby przyczyniła się także wiadomość, którą odebrałem z domu <sup>Upadek majątkowy ojca</sup> o upadku majątkowym zupełnym mego ojca. <sup>w roku 1811.</sup> Od dawna już stan interesów jego został zachwiany. Administracya dóbr Chodzieża i Strzelec, którą po ojcu matki mojej Zygmuncie Grudzińskim, wspólnie z bratem matki, pułkownikiem Antonim Grudzińskim prowadził na rzecz wierzycieli, jeszcze go głębiej pograżyła w odpowiedzialność. Nie był już w stanie zadość uczynić i wierzycielom chodziskim i swoim własnym. Pan Grudziński najpierwszy przekonał się o stanie wątpliwym interesów ojca, a będąc sam wpłątany w odpowiedzialność administracyi Chodzieża i obawiając się stąd szkodliwych skutków dla własnego majątku i dla sum posagowych matki, na Wojnowie zapewnionych, zaczął nalegać na



ojca, aby koniec położył takiemu stanowi rzeczy i wierzytelom upadek interesów swoich otwarcie odkrył. Nie chciał ojciec tego uczynić, mając zawsze nadzieję, choć bardzo niepewną wybrnąć z tej toni, sprzedając części dóbr lub inną jaką spekulacją. Lecz gdy wszystkie podobne nadzieje omyliły, gdy pan Grudziński zasłaniając siebie samego, zaczął głosić publicznie o bliskim upadku, zagniony został mój ojciec do publicznego oświadczenia, iż obowiązkom, przyjętym względem wierzycieli swoich, nie był więcej w możności zadość uczynić.

Dotąd w prowincyi naszej, ojciec mój policzony był do rzędu obywateli najlepiej prowadzących swoje interesa i kredyt jego stał niezachwiany. Dlatego też wrażenie, jakie uczyniła deklaracya ojca mego, było najsmutniejsze. Tyle osób z ufnością powierzyły mu swoje fundusze, a dziś na straty mieliżby być wystawieni?

Rozpacz ojca mego była bez grafic. Nieszczęście swoje nie własnej winie lub zaślepieniu, albo też nieprzyjaznemu zbiegowi okoliczności, lecz nieszczęsnemu względem niego postępowaniu mego wuja, pana Grudzińskiego, chciał przypisywać. Stąd nastąpiły gorzkie względem niego wyrzuty i nareszcie zupełne poróżnienie. Pojedynkowi między nimi zapobiegł generał Kosiński, przyjaciel wspólny. Lecz odtąd nienawiść trwała w sercu ojca naszego, która się dopiero w kilka lat później w zupełną zamieniła obojętność. Ile biedna matka na tym majątkowym upadku i poróżnieniu z bratem cierpieć musiała, nie trudno sobie wystawić.

Ustało od tego czasu wsparcie miesięczne, jakie odbierałem od rodziców, a które w czasie, kiedy nas żołąd, dla ogromnych ciężarów kraju, nieregularnie dochodził, nieodzowne było do mego utrzymania. Starał się ojciec zaradzić temu, przekazując mi mały procent od 2,000 talarów, które mu był winien z dawnych czasów marszałek pałacu Broniec, ojczym panien Grudzińskich. Lecz kasa jego była zawsze dziurawa jak naczynie Danaidów i stąd więc nie wiele było

pomocy; do tego doznawając uprzejmego przyjęcia w ich domu, czy podobna było natrętnie nalegać o pomoc pieniężną?

Odkrycie stanu majątkowego ojca tem było przykrejsze dla niego, iż w tym właśnie czasie <sup>Ślub siostry</sup> los mojej starszej siostry Alberci <sup>Alberty w 1811</sup> miał być stanowczo rozstrzygnięty. Ujęty jej przymiotami i starannem wychowaniem, pan Melchior Szoldrski, jeden z najmajetniejszych obywateli Wielkopolski, dziedzic dóbr Popowa i Gołębina, starał się pozyskać jej serce, i na kilka tygodni przed Świętym Janem roku 1811, otrzymał zezwolenie rodzicielskie. Człowiek innego sposobu myślenia byłby może po tem odkryciu zerwał wszelkie z familią naszą stosunki, lecz Melchior Szoldrski zawiele posiadał honoru i uczciwości, aby słowo ze swojej strony sumiennie wyrzeczone, miał zależnem uczynić od zmiany w stanie majątkowym rodziców. Nietylko że wytrwał w swoim zamiarze, lecz przyspieszenia ślubu żądał, a nawet pomoc swoją ofiarował dla ułożenia interesów ojca naszego.

Postępowanie tak godne i bezinteresowne zjednać musiało jemu szacunek nieograniczony i przywiązanie z naszej strony. Jakoż i później dał częste dowody swojej przychylności dla mego ojca i dla nas wszystkich i dziś jeszcze matka nasza w wieku podeszłym znajduje u swojej córki przytułek i utrzymanie, szanowana zawsze jak pierwiej przez czcigodnego zięcia.

W czasie mojej choroby król Saski przybył do Warszawy; dnia 13 października nastąpił z jego strony przegląd twierdzy Modlina, któremu dla trwającej jeszcze słabości nie mogłem być przytomny.

Na początku tej zimy otrzymałem urlop do rodziców których zastałem bardzo zmartwionych. Brat naszej matki starania dokładał, ażeby uratować i zabezpieczyć dla niej sumy posagowe, przeciwnie ojciec od niej żądał, ażeby sumami swemi pisała się na rzecz wierzycieli. Stąd ciągle w domu niepokoje i nieporozumienia. Korzystałem także



z bliskości Popowa, dla odwiedzenia siostry Alberci, teraz zamężnej Szoldrskiej. Przyjęty zostałem jak najuprzejmiej przez szwagra i jak teraz, tak i później doznawałem jego przyjaźni i ciągłe dowody tejże odbieram.

Roboty około Modlina nie ustawały w zimie; rozkazano mi powrócić do swego wydziału i pomimo tęgich mrozów, zatrudnić musiałem kilkuset robotników, na sypanie korony utrackiej. Lecz wkrótce spostrzeżono nieodosowność podobnej pracy, daremność kosztów i pozwolono mi wrócić do Warszawy, gdzie jak zwyczajnie dzieliłem mój czas pomiędzy pracę w biurze inżynierskim i prywatne zatrudnienie. Mieszkiałem na Miodowej ulicy w domu Pijarów, w samym narożniku; w tym samym domu mieszkał pułkownik Mallet, kapitan Sałacki, szef naszej rachunkowości, kapitan Minter i kilku innych oficerów. Tam także znajdowało się biuro inżynierii.

Rok 1812.

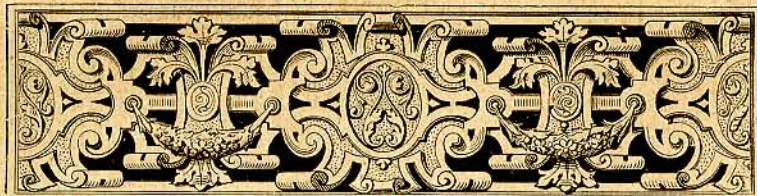
Dnia 12 stycznia 1812 roku dostałem nominację na adjutanta majora w batalionie saperów, a 20 marca na kapitana drugiej klasy w korpusie inżynierskim. Miałem wtedy lat pełna osiemnaście (które skończyłem dopiero dnia 9 października 1811 roku).

Roboty modlińskie rozpoczęły się z ukazaniem wiosny z większym nierównie natężeniem i rozwinięciem większym środków, aniżeli w roku przeszłym. Dostał mi się ten sam wydział, lecz dodano mi do pomocy porucznika saperów Zakrzewskiego i konduktora Hermana do robót murarskich i cieślarskich. Wojna 1812 roku zdawała się pewna; dlatego też z wielkim pośpiechem, skoro tylko mrozy puściły, wzięto się do robót. Dwie dywizye piechoty przeznaczone na ten cel zostały. Pierwsza z czterech pułków pod komendą generała Dąbrowskiego rozłożyła swoje obozy na prawem skrzydle twierdzy, od korony modlińskiej ku Pomiechowu i porządnie wystawiła szalasy. Druga z trzech pułków pod komendą generała Kamienieckiego stanęła obozem około Nowego Dworu. Obydwie dywizye dostarczały dziennie około 6,000 ludzi.

Prócz tej znacznej ilości zebrano z departamentów najbliższych około 10,000 wieśniaków, którzy pod wyznaczonymi z każdego powiatu komisarzami zalegli w obozach, również od utrackiej do modlińskiej korony pod lasem. Zaopatrzenie tak wielkiej ilości ludzi w chleb, krupy, okrasę i wódkę wymagało wielkich starań i zachodów; niemniej środki około ich zdrowia, a nareszcie regularna zapłata dziennych robotników, których do 12,000 wraz z żołnierzami, prócz cieśli i murarzy codziennie wychodziło. Strzał działowy równo ze wschodem słońca oznaczał początek roboty, podobnie i koniec tychże z zachodem słońca. Żołnierze, na czele mając swoich oficerów i podoficerów, chłopci zaś prowadzeni przez swoich komisarzy i dozorców, a wszyscy w żywność na południową godzinę opatrzeni, przychodzili na wydział. Nie małą to pracą być musiało 4,000 takich robotników rozdzielić i nimi kierować; tyle ich bowiem na mój wydział przychodziło, lecz już i wprawę miałem większą i dobrą pomoc w poruczniku Zakrzewskim i konduktorze Hermanie.

Wiosna tym sposobem w zatrudnieniu ciąglem mi przeszła, nabrałem też więcej doświadczenia, i siły fizyczne po przebytej tak ciężkiej chorobie lepiej wydołały.





## II.

### Rok 1812.

Tymczasem oznaki wojny z Rosją coraz groźniejsze się stawały. Z obydwóch stron ogromne przygotowania do niej robiono. Wojska francuskie pod marszałkiem Davoustem, Neyem, Oudinotem, St. Cyr i t. d., wojsko włoskie pod wice-królem Eugenim Beauharnais; posiłki bawarskie pod jenerałem Wrede; wirtemburskie, badenśkie, saskie, warszawskie i t. d. zaczynały się ściągać ku Wiśle. Już i gwardye cesarskie wyruszyły z Paryża. Pierwsze pułkowe wojska, które się u nas pokazały, były to westfalskie pod komendą króla Hieronima, który sam swoją osobą stanął w Warszawie dnia 2 maja.

Pułki nasze w Hiszpanii służące, a mianowicie: 4, 7, 9 piechoty Księstwa Warszawskiego; 1, 2, 3, 4 piechoty nadwisiańskie i 7 pułk ułanów zaczęły w miesiącu marcu przechodzić Pirenejskie góry.

Wojsko Księstwa Warszawskiego otrzymało w tym czasie organizację na stopie wojennej. Z wojska tego uformowano piąty korpus wielkiej armii z trzech dywizyj piechoty i jednej dywizyi jazdy złożony, pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego.

Korpus ten składał się z 30 batalionów piechoty po 800 ludzi, razem 24,000 ludzi; z 20 szwadronów po 200 koni, ra-

zem 4,000 ludzi; artyleryi 54 dział i artyleryi pułkowej 20 dział, razem 800 ludzi; dwie kompanie saperów 300 ludzi; park artyleryi i pół kompanii rzemieślników, 300 ludzi. Ogółem 29,400 ludzi.

Ilość tę wojska prędzej za nisko, jak za wysoko podałem. Bataliony śmiało do 850 ludzi przypuścić można. Dodać do tej liczby należy służących, ciurów, markietanów, posługaczy i t. d., wreszcie całą służbę zdrowia, służbę żywności, żandarmów, które są tu także opuszczone. Śmiało więc można stan ten podwyższyć do 32,000 ludzi.

Pułkownik Chambray, w swoim dziele *Histoire de l'expédition de Russie* podaje liczbę ludzi z korpusu piątego, którzy przeszli dnia 24 czerwca 1812 roku rosyjską granicę, jak następuje: oficerów i żołnierzy piechoty, artyleryi pieszej, inżynierów 32,159; jazdy z artylerją konną 4,152; koni wszystkich 9,438.

Prócz piątego korpusu cesarz Napoleon rozkazał rozdzielić po rozmaitych korpusach wielkiej armii: 30 batalionów piechoty po 800 ludzi, razem 24,000; 11 pułków Księstwa Warszawskiego t. j. 44 szwadrony po 250 koni, razem 11,000 jazdy; 2 pułki w służbie francuskiej 1,500 jazdy; gwardję konną Krasieńskiego, 800 jazdy. Ogółem 37,300. Między temi przeszło 10,000 koni, 2 baterye piesze po 6 dział, 3 baterye konne po 6 dział, razem 30 dział.

Zebrawszy te wszystkie pułki i oddziały okazuje się, że Księstwo Warszawskie mające 4,000,000 mieszkańców, wystąpiło na wojnę w 1812 roku z 48,000 piechoty, 17,200 jazdy i 104 dział z 1,500 artylerzystami. Ogółem 66,700 ludzi, prócz pociągów, parków, wojska inżynierskiego i ludzi luznych. Wysilenie, prawie tak wielkie jak w roku 1831; z tą tylko różnicą, iż połowa tego wojska stała na żołdzie francuskim.

Nie policzyłem do tego ogółu pułku 13. piechoty pod komendą pułkownika Żymirskiego, stanowiącego załogę twier-



dzy Zamościa o trzech mocnych batalionach, t. j. 2,400 ludzi, które sumę powyższą do 69,000 ludzi doprowadzają.

Nie liczymy tu zakładów innych w księstwie, ani garnizonów Modlina, Torunia, Sierocka i Warszawy, które z artylerją i saperami przynależącymi kilka tysięcy ludzi wynosiły.

W końcu maja wiecokról włoski przybył do Modlina dla przeglądu dzieł i drugiej dywizji piechoty, rozłożonych w obozach pod twierdzą. Piękna powierzchowność Eugeniusza Beauharnais'ego i pamięć tylu dzieł wojennych, dokonanych w tak młodym wieku (bitwy pod Saeiles, pod Raab, pod Wagram) wszystkich nas najżywiej zajęły. Pochwały, jakich nie szczędził wojsku, obietnice lepszej przyszłości i pochlebne słowa dla naszych dowódców, zniewoliły mu wszystkie serca. Komendę nad inżynierami korpusu piątego powierzył cesarz pułkownikowi inżynierowi Bron'owi, który niedługo odwołany został, a w jego miejsce, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pułkownika Phillipon posłano. Pułkownik Mallet miał pozostać w Modlinie dla prowadzenia dalszego robót; mnie i Prądyńskiego, pomimo naszej niechęci, przy sobie zatrzymał. Lecz nie długo przy tem zostało. Na żądanie księcia Poniatowskiego pułkownik Phillipon otrzymał inne przeznaczenie. Pułkownika Malleta przeznaczono na komendanta inżynierii piątego korpusu, zaraz nam też oświadczył życzenie, abyśmy mu towarzyszyli. Z największym więc pośpiechem urządziłem sobie ekwipaż kampaniczny, który się składał z dwóch koni tylko, podemną i pod służącym. Nie dochodząc do Grodna, dokupiłem od kapitana sztabu jenerałnego Gołuchowskiego trzeciego konia pod rzeczy. Lecz ani konie, ani służący do nich, dobrze nie byli wybrani na tak wielki pochód.

Wkrótce też wojsko w marsz wyruszyło na Sierock, Pułtusk, Łomżę do Augustowa. Przeznaczono mnie do wybierania i wytykania obozów dla wojska, które w masie maszerowało w pozycjach wybranych, jakby przed nieprzyjacielem. Już wtedy spostrzegać się dało złe rozporządzenie w marszach, które się odbywały jedną tylko drogą, w jednej

nieprzejranej kolumnie i w pochodzie swoim z obłogami i parkami blisko dwie mile zajmowało. Znać było, że i wodzowie niedoświadczeni w marszach i młode wojsko niewprawne do pochodów. Gdy czoło kolumny już ognisko zakładało, ogon jeszcze włókł się po drodze przez trzy godziny, nim doszedł na stanowisko. Zaczęło już wtedy ludzi w szeregach ubywać, a do Niemna dochodząc, bataliony nasze bardzo się przerzedziły. Winę tak złego rozporządzenia kładziono na karb szefa sztabu Fischera; dywizjonerzy, między nimi najbardziej jenerał Dąbrowski, nieprzyuczony do tak bliskiej nad sobą opieki i lubiący na swoją rękę prowadzić wojnę, cierpiał na widok zdyszanego zawsze i źle żywionego żołnierza, którego był ojcem, i mocno na taki stan rzeczy się uskarżał. Czemuż nie było maszerować dywizjami w odstępach dwugodzinnych za sobą, albo też trzema równoległymi drogami, zostawiając największą dla głównego parku artylerji i dla pociągów. Jeszcze dziś nie pojmuję takiego opaczego, przeciw wszelkim prawdom, sposobu maszerowania, i wielką część winy na księcia Poniatowskiego składam, który na czele kolumny swobodnie sobie jechał, nie dbając o to, co się w tyle dzieje. Przez całą kampanię maszerowano następującym sposobem. Zrana pobudka, po zakąsce chleba i wódki wojsko pod bronią stawało; dywizya pierwsza wyruszała ze stanowiska swojego i rozciągnęła się na drodze, następnie wszystkie inne. To trwało dwie godziny przynajmniej. Czoło kolumn szło pośpiesznie, ostatnie plutony zadysane doganiały; wśród marszu miały spoczynek, w czasie którego żołnierze jak niegdyś Gedeona, rzucali się do najbliższej wody dla ugaszenia pragnienia; potem dalej maszerowano aż do noclegu, gdzie rozkładano się w pozycyi jak przed nieprzyjacielem, z placówkami, wedetami i t. d. Dopieroż budowanie szałasów, rozpalanie ognisk, posyłki za wodą, żywnością, drzewem, tak że nawet w miesiącu czerwcu, gdzie dzień tak długi, żołnierz zgłodniały ledwie o godzinie 10 wieczorem doczekał się strawy; a najczęściej zmęczony rzucał się na ziemię i nie



przebudzał się jak zrana, ażeby resztą z kociołków posilić się do następnego pochodu. Stąd choroby w wojsku, włóczęgi, oderwańce (maruderzy), a później ucisk biednych mieszkańców, a końcem końców ogromny ubytek w szeregach. Według Chambray'a piąty korpus księcia Poniatowskiego wynosił dnia 30 czerwca w czasie przechodu granicy, piechoty 32,159, jazdy 4,152, razem 36,311 ludzi; koni, jazdy i pociągu 9,438. Dnia 26 główna kwatera była pod Rajgrodem i tam odczytano nam odezwę Napoleona do wojska z dnia 22 czerwca.

Pod Augustowem generał Allix, szef sztabu króla westfalskiego, pod którego komendę cesarz oddał nasz korpus, piąty westfalski, ósmy z dwóch dywizyj piechoty, saski siódmy pod komendą generała Regnier i generała Latour-Maubourga i czwarty rezerwowy jazdy (*które to wszystkie cztery korpusy według Chambray'a wynosiły 63,047 piechoty i 16,382 jazdy, ogółem około 80,000 ludzi*), otrzymał polecenie od króla, ażeby na czele przedniej straży naszej starał się ubiedz przeprawę pod Grodnem. Przeznaczeniem tej masy, stanowiącej prawie skrzydło wielkiej armii, było przeszkodzić połączeniu się generała Bagrationa (którego główna kwatera była w Wołkowysku) z główną armią rosyjską, pod dow. Barclay'a de Tolly stojącą w okolicach Wilna, i pobicia jej, gdyby się sposobność do tego podała.

Odległość od Augustowa do Grodna wynosi siedm do ośmiu mil. Droga prowadzi lasami i bagnami około Lipska. Oddział, przeznaczony do tej wyprawy, składał się z pułku pierwszego piechoty o 3 batalionach, pod komendą pułkownika Małachowskiego, z dwoma armatami pułkowemi, dwóch kompanii saperów z narzędziami do stawiania mostów; pułku pierwszego strzelców konnych Przebendowskiego i pułku dwunastego ułanów Ryszczewskiego, czyli 2,700 piechoty i 1,500 jazdy. O nieprzyjacielu dokładnej nie było wiadomości, ponieważ brzegi Niemna jak najpilniej strzeżone były. To tylko pamiętam, iż nieświadomi rzeczy główną kwaterę generała

Bagrationa w Białymstoku przypuszczali, kiedy ta znajdowała się w Wołkowysku. O kozakach Płatowa wiadano, że się pod Grodnem znajdują. Oddział ten był oczywiście za mały, ażeby przeprawę pod Grodnem w przytomność Płatowa, stanowiącego przednią straż drugiej armii rosyjskiej, skutecznie.

Wyruszyliśmy dnia 28 czerwca z Augustowa i tegoż dnia około Lipska stanęliśmy obozem. Dnia 29 czerwca około godziny 5 wieczorem odkryliśmy brzegi Niemna i wieże Grodna. Pułk pierwszy strzelców konnych szedł brzegiem Niemna, dwunasty pułk ułanów zwrócił się na trakt od Nowego Dworu, piechota o jedną milę była jeszcze za nami. Piękna to była okazyja dla Płatowa zniesienia nas zupełnie; miał bowiem 7,000 koni pod swoją komendą. Lecz rozkazy jego inaczej brzmieć musiały, zachował bowiem tylko kilkaset kozaków przed Grodnem, którzy się z ułanami Ryszczewskiego żwawo ucierali, a uczyniwszy przygotowania do spalania mostu, nad wieczorem, przed nadciągnięciem naszej piechoty, ogień pod nim podłożyli. Sam Płatow cofnął się ku głównemu korpusowi (dnia 29 czerwca i tego dnia obozował pod Miechowszczyzną o 41 wiorst od Grodna). Nasza piechota w nocy przybyła, sapery most naprawili, a wojsko nasze dnia 30 czerwca weszło zrana do Grodna. Tu pierwsze strzały armatnie ze strony rosyjskiej przeciwko nam się odezwały. Siły nasze główne tegoż samego dnia zaczęły pod Grodnem ściągać, mianowicie: korpus Latour-Maubourga, do którego pierwszy pułk strzelców konnych Przebendowskiego w tym czasie przeszedł, nasz korpus piąty i ósmy westfalski (korpus siódmy Regnier szedł na Białystok).

W tym czasie, gdy prawe skrzydło wielkiej armii przechodziło Niemen, Napoleon już się znajdował dnia 28 czerwca w Wilnie. Wielka armia pod Aleksotą i Poniemieniem, w nocy z dnia 23 na 24 czerwca rzuciwszy trzy mosty na Niemnie, bez żadnego oporu ze strony rosyjskiej już tej samej nocy przeprawiać się zaczęła. Tu zgromadzone były: pierwszy korpus Dawusta, drugi Oudi-

Grodno  
30 czerwca.



nota, trzeci korpus Ney, jazda pod dowództwem Murata i gwardya cesarska w sile: 182,850 piechoty, 49,227 jazdy i 79,447 koni.

Ta masa ogromna wojska, w dniu 24 czerwca zgromadzona w bliskości Niemna, przechodziła przez mosty pod Aleksotą.

Dalej dwa korpusy pod komendą wicekróla włoskiego w sile: 65,658 piechoty, 4,274 jazdy, 13,756 koni, przeszły Niemen powyżej pod Pielonami dnia 30 czerwca.

Nareszcie marszałek Macdonald z korpusem, złożonym z pruskiego posiłkowego wojska i polskiej dywizji piechoty, w ilości: 30,023 piechoty, 2,474 jazdy i 6,285 koni dnia 24 czerwca przeszedł Niemen pod Iłżą.

Na ostatniem prawem skrzydle książę Schwarzenberg z posiłkowym korpusem austriackim w ilości 26,830 piechoty, 7,318 jazdy i 13,126 koni przeszedł granicę (rzekę Bug) pod Drohiczynem dnia 1 lipca.

Spóźnienie przeprawy prawego skrzydła pod komendą króla westfalskiego, w dni sześć po przeprawie wielkiej armii pod Aleksotą, która 24 czerwca zaczęła przechodzić; nie miało nic innego na celu, jak tylko ubezpieczenie i oszukanie jenerała Bagrationa, który z korpusem 40,000 stał około Wołkowyska na południe, o 70 wiorst czyli 10 mil od Grodna, gdy tymczasem korpus marszałka Davoust'a szybkimi pochodami poruszał się ku Mińskowi, dla odcięcia go od pierwszej armii rosyjskiej pod Barclay'em de Tolly.

Manewr ten, który dla Bagrationa fatalne mógł przynieść skutki, ze strony króla westfalskiego tak niedbale i z taką nieznanomością wojny poparty został, iż błędem tu popełnionym, większą część dalszych niepomyślności przypisać można.

Król westfalski, mając 80,000 ludzi pod ręką, nie powinien był zatrzymywać się dłużej jak czas potrzebny do przeprawy Niemna, to jest jeden dzień 30 czerwca, w Grodnie. Należało mu wyruszyć dnia 1 lipca, mając o pół marszu

przed sobą korpus piąty księcia Poniatowskiego, jazdę Latour-Maubourga, czyli 32,159 piechoty i 12,146 jazdy w jednej kolumnie i stanąć w Nieświeżu w odległości 188 wiorst, czyli 27 mil, dnia 7 lipca.

Tymczasem, nie wiedzieć dla jakich powodów, korpus Latour-Maubourga dopiero dnia 4 lipca wyruszył z okolic Grodna ku Nowogródkowi, a korpus księcia Poniatowskiego 5 lipca. Czoło kolumny ostatniego korpusu stanęło pod Nieświeżem 13 lipca, potrzebowało zatem dni ośm, ażeby 27 mil przebiec.

Ta to niesłychana gnuśność w prowadzeniu operacji tak ważnej uratowała Bagrationa. Dnia 28 czerwca wyruszał z Wołkowyska, i maszerując na Żelwę dnia 1 lipca miał główną kwaterę w Słonimie, 2 lipca w Dworcu, 3 lipca w Nowogródku o 115 wiorst, czyli 16 mil, cztery pospieszne marsze od Grodna; a dnia 4 lipca cały swój korpus miał zebrany w Mikołajewie, z tamtej strony Niemna. Przednia straż jego pod Płatowem szła na Miłkowszczyznę dnia 29 czerwca, Jezolnę dnia 30 czerwca, Lidę, gdzie stanął 1 lipca, w Iwie 3 lipca.

W tem miejscu Płatow dowiedział się o marszu marszałka Davoust'a, którego przednie straże dnia 3 lipca w Wyszniewie stanęły, a sam z 40,000 korpusem dnia 4 lipca już się tam znajdował. Bagration w skutku tych wiadomości zwrócił się z Mikołajewa do Korelicza, dnia 6 lipca zajął stanowisko pod Mirem.

Tego samego dnia piechota piątego korpusu obozowała pod Skidłem o 5 mil od Grodna, na drodze do Nowogródka i do Miru, lecz jeszcze o 18 mil od nieprzyjaciela.

Tu mi się nastroczają słowa Napoleona: *la guerre c'est un calcul d'heures!* prawidło to wodzowie nasi w tym czasie zupełnie w niepamięć puścili. Każdy, kto tylko zechce kartę Litwy wziąć do ręki i obrachować odległości, przekona się, iż nie łatwiejszego nie było, jak stanąć z czołem naszych kolumn dnia 6 lipca pod Mirem w odległości 23 mil, siedm



średnich marszów od Grodna; tyle też dni było od 30 czerwca do 6 lipca. Jenerał Bagration dnia 6 lipca byłby już przymuszony stawieć nam pole; byłoby zapewne 7 lipca do decydującej bitwy przyszło, do której z naszej strony 5. i 8. korpus i 4. jazdy, czyli 48,000 piechoty i 12,000 jazdy użytych być mogło przeciwko jenerałowi Bagrationowi, którego cała siła składała się wówczas z 59,700 ludzi. Między tymi było 11,500 kozaków, którzy w dzień bitwy tylko do dywersyw użyte być mogą, lecz nigdy w szyku wojennym walczyć nie przyuczeni. Usługa armat nie jest policzona. Albo Bagration przyjmował bitwę przeciwko naszym 60,000, mając na prawem skrzydle swoim w odległości 10 mil, w Wołożynie, marszałka Davoust'a w 40,000 ludzi, której skutek (pochlebając sobie) nie zdawał się być dla nas wątpliwym, albo cofał się dalej w głąb ku Nieświeżowi i Słuckowi, oskrzydłany zawsze przez Dawoust'a. Lecz do prowadzenia tak ważnej operacji innego wodza Napoleon powinien był przeznaczyć; nie należało się Hieronimowi, niedoświadczonemu i gnuśnemu, powierzać tak wielkiej masy, lecz Davoustowi, który tyle, mianowicie pod Auerstadt dał dowodów swojej energii i samodzielności. Sam książę Poniatowski zamało miał doświadczenia w kierowaniu korpusu kilkudziesięciotysięcznego; wojsko nasze po większej części składało się z pułków młodych, nie umiejących maszerować, które w ogniu nigdy nie powstały; pomiędzy pułkownikami jazdy wielu takich było, którzy odrazu do tego stopnia doszli, i tę tylko zasługę mieli, że majątkami swoimi pułki formowali; do tego przydać należy, że nasze dywizye do wielkich manewrów nie były wprawne, i rzadko nawet ściągane bywały w tym celu. I tak pułki jazdy nowej formacji: 7, 11, 12, 15 i 16, znajdujące się z nami, żadnej próby swojej waleczności jeszcze nie złożyły; podobnież w piechocie: 14, 15, 16 i 17, nigdy nieprzyjaciela nie widziały. Korpus westfalski, chociaż na pozór był piękny, lecz duchem niemieckim zarażony, niechętnie służył i nie dawał wielkiej rękojmi za sobą. Jakoż w pierwszej zaraz bitwie

pod Możajskiem czyli pod Borodyną, w dwóch godzinach ognia stopił się jak śnieg wiosenny.

Inny skład i porządek był w wojsku rosyjskiem. Sam książę Bagration z Gruzji rodem, wódz naczelny, wychowany w szkole Suwarowa, w kampaniach włoskich składał dowody swojej zdolności i waleczności: należał on do najznakomitszych jenerałów tego czasu i z Lannem, Neyem, Davoustem mógł iść w porównanie. Posiadał do tego miłość i zaufanie swego wojska. Wojsko to, tak często spotwarzane, w karności, w wytrwałości, w znoszeniu znojów wojennych, przewyższało francuskie nawet, a nasze bardzo w tyle zostawiało za sobą. Co się tyczy inteligencji, zapewne żołnierz rosyjski, prosta machina wykonywująca, o tej nie nie wie, lecz zato fanatyzm religijny i duma narodowa są to dwa bodźce, których wódz nie napróżno używa dla zapalenia umysłów. Żołnierz rosyjski nigdy nie był głuchy na te dwa głosy, i w tem wszystkich innych przewyższa, iż w szczęściu i w nieszczęściu zawsze równy i nie da się łatwo zdemoralizować.

Lecz wróćmy do naszego pobytu w Grodnie. Miasto to, nad brzegiem Niemna ładnie położone, do miast drugiego rzędu w Litwie należy. Ludność jego dawniej większa, nie przechodziła teraz 7,000. — Pamiętne jest Grodno śmiercią Stefana Batorego w roku 1586 i sejmami, które się tu odbywać zwykły co trzeci z porządku na alternatę prowincji litewskiej. August III pałacem sejmowym, Stanisław August wielu budowlami i osadą różnych rzemieślników dla pożytku krain to miasto ozdobił. Staraniom Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego, wiele to miasto winne: on to zabudował część murowaną, zwane Horodnicą, on także fabryki jedwabne pozakładał, których ruiny jeszcze widzieć można. W Grodnie 1793 roku, drugi podział Polski został na królu i sejmie wymuszony. Tu nakoniec dwa lata później 1795 roku ostatni król polski z abdykacją swoją przerwanie bytu politycznego narodu swego podpisał.



Dziś, w roku 1812, odmienna postać rzeczy! Dziś potęga niesłychana w Europie, około 460.000 wojska, z tych 80.000 jazdy, pod pierwszym wodzem nowszych czasów przechodzi Niemen. Wojska rosyjskie wszędzie ścigane ustępują, w Warszawie sejm konfederacyjny oznajmia światu, że Polska przywrócona; dawni nasi nieprzyjaciele w naszych szeregach pomagają naszej sprawie; zdaje się jakoby żadna potęga oprzeć się nam nie potrafiła. A jednak już wtedy byli ludzie, co dalej przewidując, naszej wyprawie losy Karola XII przepowiadali. Ci, znając położenie kraju naszego i jego zasoby, znając klimat rosyjski i wojenne usposobienie przeciwnika, nie dobrze wróżyli. Lecz zapal, który nas ogarniał, nie miał wtedy granic, hasłem naszym było krzyżackie »Bóg tego chce«; na naszych proporcach miała się odrazu rozbić potęga rosyjska! Lecz Bóg tak nie chciał i wiele jeszcze cierpień narodowi naszemu przeznaczył. Pierwsze spotkanie pod Mirem, następne pod Romanowem, wnet urojeniom naszym koniec położyło. Bawiliśmy w Grodnie do dnia 4 lipca, podejmowani jak najgościnniej przez mieszkańców. Pamiętam, że rozdano nam wina najwytworniejsze, z piwnicy gubernatora rosyjskiego na rozkaz naczelnego wodza zabrane. Były tam wina cypryjskie, greckie i likwory wysp. Znajdowałem się także na wystawnym obiedzie, gdzie miejsce miałem wyznaczone obok siostry podpułkownika Suchodolskiego.

Dnia 5-go lipca wyruszyliśmy z Grodna, a 6-go lipca stanęliśmy obozem w Snidle, pięć mil za Grodnem. Odległość z Grodna do Szczuczyna wynosi 56 wiorst, z Szczuczyna do Nowogródka na Bielice 59 wiorst. Przybyliśmy do Nowogródka 9 lipca. Przednia straż pod komendą generała Rożnieckiego w wilię 8 lipca tamże obozowała, a dnia 9 lipca spotkała się z nieprzyjacielską tylną strażą pod Płatowem za Mirem.

Tu przyszło do dwóch potyczek, których opis przez naczelnego świadka, lubo zbyt pochlebnie dla nas wystawiony, załączam:

»Dnia 7 lipca wieczorem, dywizya jazdy, pod dowództwem generała dywizyi Rożnieckiego, przeszła wprawdzie pod Bielice, i stanęła dnia 8 w Nowogródku, skąd udać się miała spieszenie do Nieświeża. Dnia 9 lipca jeden szwadron pułku trzeciego ułanów, spotkawszy mocny posterunek kozaków przed Piaseczną, uderzył na niego i wpędził do miasta Mira; uniesiony zapalem, przeszedłszy miasto nacierał za przedmieściami na tenże sam posterunek, mocno powiększony. Pułkownik Radziwiński wyruszył z resztą pułku dla posiłkowania swego pierwszego szwadronu; gdy wychodził z przedmieścia, pięć pułków kozackich natarło na niego, których liczba powiększała się w miarę odporu, jaki im dawano; naówczas otoczony od przewyższającej siły, przymuszonym był przerywać się dla złączenia się z dwoma szwadronami pułku 16 i jednym pułku 15 ułanów, które mu w posiłek przybywały; potykano się z zaciętością, nieprzyjaciół doznał daleko większej straty niż 29 brygada, składająca się z 3., 15. i 16 pułku ułanów, której pomimo wszelkiej usilności nie mógł w nieład wprowadzić.

»Brygada 28. składająca się z 2., 7. i 11. pułku ułanów, przybyła do Jarczy, gdzie się z 29. złączyła, tam przebyliśmy noc całą naprzeciw nieprzyjaciela i chmary kozaków. Dnia 10 lipca cała dywizya ruszyła do Mira, gdzie wypocząwszy, w południe w dalszą udała się drogę do Nieświeża. Straż przednia spotkała nieprzyjaciela w Sienikowie (mila jedna od Miru) i odparła go żywo w lasy, które odłączają Sienikowo od wsi Horodnicy. Pułk 7. ułanów z 28. brygady przeszedł las, reszta dywizyi została z tej strony onego; rozpoznany nieprzyjaciół był nadto w sile, żeby nań odważono się natrzeć. Siła jego składała się z korpusów kozackich Płatowa i Rłowajskiego, połączonych z dywizjami dragonów i huzarów. Nieprzyjaciół, wiedząc dokładnie o sile dywizyi przez wziętych w niewolę dniem wprzód, rozumiał że ją zniszczy zupełnie wśród lasów i bagnisk; ze wszech stron zaczął posuwać się na nas i sypać ogień karta-

Generał jazdy  
Płatow.  
Generał-major  
Rłowajski.



czowy na najbliższe nasze szwadrony; w mgnieniu oka cała płaszczyzna Sienikowa zajęta była lekką jazdą. Siódmy pułk ułanów, który zajmował tamten brzeg lasu, zmuszony był przebiegać się przez nieprzyjaciela, dla złączenia się z dywizją; wnet przybyły huzary i dragony<sup>1)</sup>, a wtedy silna i krwawa rozpoczęła się walka. Pułki 3. i 16. ułanów najmniej po raz czterdzieści natarły na nieprzyjaciela, i okryły się chwałą, Pułki 7. i 15. ułanów czynnie przyczyniły się do boju, szczególnie zaś 15. Pułki 2. i 11. były w odwodzie, załamując lewe nasze skrzydło. Nieprzyjaciel, zaufany w przewyższającej swej sile, nie umiał korzystać z pozycji naszej; gdyż już była godzina 9 wieczór, kiedy odwód nieprzyjacielski przybył na nasze lewe skrzydło i otoczył aż do ostatniego naszego plutonu w tyle pozostałego, kilka tysięcy kozaków wpadło nawet w odstęp pomiędzy pułki 7. i 11. Lecz cała 29. brygada oraz 7. pułk 28. brygady, nacierając na nieprzyjaciela, cofnęły się w porządku ku Mirowi. Brygada 19. jazdy 5. korpusu, pod dowództwem generała brygady Tyszkiewicza, przybyła właśnie na ten czas do Mira i wysłała zaraz naprzód dwa szwadrony. Kilka wystrzałów działowych z baterii, postępującej za brygadą generała Tyszkiewicza, wstrzymały zapal nieprzyjaciela, który zmuszony do odwrotu, ścigany był aż za las, w bliskości tego miasta znajdujący się.

»Dywizya została na placu boju do świtu, ale nieprzyjaciel zostawił nas spokojnych; sześciogodzinna walka, jedna z najżywszych, jaka być może w nierównie mniejszej liczbie dała poznać nieprzyjacielowi, iż ma do czynienia z żołnierzem, dowodzonym przez wielkiego Napoleona. Pułk dragonów kijowskich i pułk huzarów achtyrskich poniosły wielką stratę. Generał-lejtnant Pahlen, pułkownicy Andreinow i Ilowajski, legli na placu; pobojuwisko zasłane było trupami kozaków, kałmuków, baszkirów i tatarów. Nie straciliśmy żadnego ofi-

<sup>1)</sup> Huzarzy achtyrskie, dragony charkowskie, czernichowskie, kijowskie i nowo-rosyjskie.

cera wyższego stopnia, wszystko to, co się potykało, utrzymało honor wojska naszego; było kilku flankierów od ułanów, którzy ścigając nieprzyjaciela, przedarli się aż do korpusu piechoty Płatowa. Wszystkie nasze pułki mają wielką liczbę krzyżów oficerów nieprzyjacielskich, wiele ubiorów śmiesznych i broni, szczególnie zdobytych na pułkach azjatyckich, które są najgorszymi z żołnierzy nieprzyjacielskich, słowem 3.000 naszej jazdy wytrzymało sześciogodzinna walkę przeciw 8.000 kozaków, 3.000 jazdy regularnej, dwóm pułkom strzeleckim i trzydziestu działom polowym.

»Dnia 14 lipca pierwszy pułk jazdy (Przebendowskiego) ścigał uchodzącego nieprzyjaciela; we wsi Czarnołuby spędził posterunek kozacki z znaczną jego stratą, i posunął się z zapalem aż na wysokość Romanowa, na drodze od Nieświeża do Słucka; zastał tam cały obóz nieprzyjacielski, z którego kilka pułków kozackich i liniowych wyruszywszy, otoczyły go zewsząd, lecz przebił się walecznie przez nieprzyjaciela, położwszy wielu trupem na placu, lubo z niemałą stratą swoich i okrył się chwałą. Major Montrezor ranny, pojmany został w niewolę, wraz z kilku innymi oficerami. Strata całego pułku tego wynosić ma do 240 ludzi, tak w zabitych, rannych, obłąkanych, jak w niewolę wziętych.

Opowiadanie naoczego świadka dość dobre wyobrażenie daje o tych trzech wypadkach. W pierwszej potyczce pułk 3. ułanów najwięcej ucierpiał; sam pułkownik Radziwiński został ranny. Pułk stracił do 200 ludzi, zabitych, rannych i wziętych w niewolę. Nieszczęśliwym tym wypadkiem nauczony komendant dywizyi, generał dragonów Rożniecki, powinien był z większą ostrożnością rozporządzenia swoje porobić, znając zwłaszcza nieprzyjacielską siłę. Nietylko, że tego nie uczynił, lecz niektóre swoje pułki w jednej linii uszykował, myśląc przeto omamić nieprzyjaciela, natomiast bardziej się sam osłabił i łatwiej przewrócony został. W tem jednak nie jego wina, iż ani artylerji konnej, ani piechoty nie miał sobie przydanej. Naczelný wódz, król Hieronim, powinien był



zupełnie inaczej swoją straż przednią urządzić, ażeby nieprzyjacielską straż tylną zawsze mieć na oku, i rugować ją z każdego stanowiska. Należało z kompanij wołyżerskich całego korpusu 5. i z 30 kompanij uformować dywizyą: 4.500 piechoty lekkiej, przydać jeszcze pułk jeden starej wyborowej piechoty, 2.400 ludzi, i jedną kompanię saperów, trzy baterie artylerji konnej i ośmnaście dział. Taki korpus, pod rozsądnym i przedsiębiorczym dowódcą, lecz nie takim, jakim był na nieszczęście generał Rożniecki, nie byłby wystawiony na podobne straty i pewnie w jego przytomności generał Bagration albo spieszniej uchodzić, albo też może i bitwę przyjąłby musiał. W bitwie pod Mirem' pułki nasze młode nie wiele obrotności, a komendanci ich jeszcze mniej dowiedli doświadczenia wojennego. Strata całej dywizyi 500 przeszło ludzi wyniosła.

Bitwa pod Mirem jeszcze nie nauczyła generała Latour-Maubourga, jak należy jazdę w przytomności nieprzyjaciela prowadzić. Pod Romanowem błędy dwa pierwsze powtórzone zostały. Pułk pierwszy strzelców konnych, o dwie mile przed korpusem wysłany na rozpoznanie bez żadnego wsparcia, ujrzał się nagle napadniętym przez nieprzyjacielską jazdę; musiał się przez nią przebijać, i pędzony był półtora mili drogi bez wypoczynku; kto miał dobrego konia, ten uszedł śmierci. Pułk ten, tak piękny, liczący przeszło 700 koni, stracił połowę ludzi i nie był już czynny w całej kampanii. Formował się na nowo w Smoleńsku, i w czasie odwrotu wielkiej armii, wszedł znowu na linię bojową w liczbie 500 koni.

Dodać tu jednak należy, lecz tą razą na pochwałę jazdy naszej pod Mirem, iż nieprzyjacielska jazda składała się z 14 pułków kozackich Płatowa, 7.000 koni; 1.000 kozaków z Bagrationa korpusu, 3 pułków regularnych, achtyrskiego huzarów o ośmiu szwadronach, kijowskiego i nowo-rosyjskiego dragonów o czterech szwadronach, i 2 batalionów piechoty; do tego 6 dział kozackich i 16 dział artylerji konnej — w ogóle 10.000 jazdy, 1.400 piechoty i 22 dział.

Rzecz zastanowienia godna, iż nasza 4.000 dywizya, bez armat i piechoty, o dwie mile od korpusu swego, z taką chmarą jazdy potykając się, ciągle oskrzydłona, i mając ciężką przeprawę przez groblę i trzy mosty, nareszcie przez miasto Mir, nie uległa zupełnemu zniszczeniu! Moralnie bardzo ucierpiała.

Korpus piąty zatrzymał się w Nowogródku przez noc z 9. na 10. lipca. Dywizye nasze stanęły obozem przed miastem na traktach, prowadzących do Miru, zakryte strumykiem Radziwiłówką; 16. dywizya na prawem skrzydle oparta o drogę do Miru, mając wieś Klebankę przed frontem, 17. dywizya w środku, 18. dywizya na lewem skrzydle. Przeciwny brzeg Radziwiłówki okrywał las tak, iż widok przed frontem obozu zupełnie był zakryty. Główna kwatera w Nowogródku; 4. pułk strzelców konnych na lewem skrzydle pozycyi; reszta jazdy na trakcie ku Mirowi.

Nowogródek, jak świadczy Święcki, stołeczne miasto województwa, z zamkiem niegdyś na wzgórzu leżącym po lewej stronie drogi do Miru, na początku XIII wieku przy napadzie Tatarów spalone, wkrótce przez Litwę opanowane zostało. Mendog, książę litewski, w roku 1252 tu był koronowanym, mówią dziejopisarze; odprawił się tu też trybunał główny wielkiego księstwa litewskiego: gmach, niegdyś kolegium jezuickiego, kościół farny, wiele innych kościołów, klasztorów i cerkiew zdobiły to miasto. Roku 1314 Kszyżacy to miasto spalili; roku 1390 tegoż samego losu od nich doznało.

Dnia 10 lipca, 5 korpus maszerował dalej ku Mirowi i nocował w Koreluży, 22 wiorst od Nowogródka. Dnia 11 lipca stanęliśmy w Mirze, 23 wiorst, gdzie ślady potyczki, dnia 9. lipca stoczonej, dość były widoczne.

Dywizye nasze obozowały przed Mirem na traktach do Nieświeża i do Mińska prowadzących. Dywizya 16. w jednej linii na prawem skrzydle, 17. i 18. w dwóch liniach ku Mińskowi na lewem, mając zamek w tyle, a wieś Zamir na prawem skrzydle. Jazda ze 16. dywizyą.



Z dziennika mego wypada, że korpus przez dzień 12. lipca nieczynnie stał obozem pod Mirem. Zamek, którego szczątki jeszcze trwały, budowany był przez księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła, Sierotką zwanego.

Dnia 13. wyszliśmy z Miru i stanęli tegoż dnia obozem pod Nieświeżem, o 28 wiorst czyli mil 4 od Miru.

Dnia 8. tegoż miesiąca Bagration z całym swoim korpu-sem obozował pod Nieświeżem i zatrzymał się tam dni trzy; dnia 11. dopiero wyruszył ku Ciemkowicom; miał więc dwa dni marszu przed nami.

Nieśwież jest punktem pod względem operacji wojen-nych bardzo ważnym, leży bowiem w zbiegu wielu dróg; tu schodzą się trakty od Grodna, Słonimia, Pińska, Mińska i Słucka. Miasto leży w równinie. Od strony Słucka i od północy przypiera do jeziora, przez które prowadzą dwie długie groble z mostami, jedna do przedmieścia na trakcie Słuckim, druga do zamku obronnego Radziwiłłowskiego. Od strony Klecka i Miru miasto opasane wałem i rowem, w któ-rym widoczne są ślady kurtyn i czterech małych bastyo-nów. Miasto jest dość obszerne i ma kilka kościołów: Ber-nardynów, Benedyktynów i Dominikanów i dawny Pojezuicki, przez księcia Radziwiłła Sierotkę wraz z zamkiem obron-nym wystawiony.

W Nieświeżu król westfalski odebrał widoczne dowody nieukontentowania od potężnego brata z powodu opieszałego prowadzenia armii. Po gorzkich wyrzutach, które księcia Po-niatowskiego także dotknęły, odebrał mu dowództwo, i oddał pod komendę marszałka Davoust'a. Obrażony tak lekcewa-żeniem swojej świętej osoby, król Hieronim dnia 16. opuścił nagle wojsko i na Warszawę powrócił do swojej stolicy; od-dawszy księciu Poniatowskiemu komendę nad korpusami 5. 8. i 4. jazdy.

Dnia 15 wyruszyliśmy z Nieświeża do Tymkowie czyli Ciemkowic (27 wiorst): 5 korpus stanął na noc w pozycji pomiędzy lasem a wsią Skiepiejowo, 16. i 17. dywizya w pierw-

szej linii, 18. dywizya w drugiej. Przed frontem, i na lewym skrzydle rzeczka Maża; z tamtej strony Maży od Słucka le-żało miasteczko Ciemkowice; przed niem obozował pułk 4-ty jazdy — reszta na trakcie Romanowskim.

W wilię, t. j. 14. przypadła potyczka pod Romanowem, w której pułk pierwszy strzelców konnych tyle ucierpiał.

Dnia 16. marsz do Romanowa, 17 wiorst; 5-ty korpus obozował na wzgórzach na trakcie od Nieświeża do Roma-nowa prowadzącym, w tym samym porządku, jak dnia po-przedzającego. Rzeczka Moraza i miasteczko Romanów leżały przed frontem pozycji; pułk 4. jazdy przed Romanowem na trakcie do Słucka. Na drodze od Ciemkowic pełno śladów porażki naszej jazdy spotykaliśmy.

Dnia 17. zaszliśmy do Słucka, 24 wiorst drogi, i tam przez dzień następny spoczywaliśmy.

Miasto Słuck do najdawniejszych Litwy należące, nie-gdyś było stołecznem, i dziedzictwem ksząt udzielnych słu-ckich; leży nad rzeką Słucz, wpadającą do Prypeci, w oko-licy równej i bagnistej. Rzeka Słucz jednym ramieniem dzieli miasto na dwie części, drugim okrąża wielkiem półkołem przedmieście od strony Bobrujska. Słuck opasany jest oko-pami z 13 frontów bastyonowych. Przed bramą Romanow-ską, Ostrowską, Mińską i Bobrujską, są jeszcze ślady nie-wielkich półksiężyców. Na lewym brzegu głównego ramienia rzeki Słuczy, od strony północnej miasta, jest cytadela w czwo-rogran bastyonowy, foremny, z małym rogowem dziełem (ro-galem), teraz opuszczona. Miasto po większej części drewniane, jest dość obszerne; ma 2 kościoły katolickie, cztery unickie, jeden luterski, jeden kalwiński, tudzież szkołę protestancką. Sławne z rękodzieł, osobliwie jedwabnych; tu się wyrabiały sławne niegdyś u szlachty pasy słuuckie.

Wojsko nasze obozowało w następującym szyku: 16-sta i 17-sta dywizya na drodze od Romanowa, prawem skrzydłem o Słucz, lewym o wieś Brodownia, mając przedmieście przed frontem; 18-sta dywizya na trakcie bobrujskim z tamtej



strony miasta, skrzydła o dwa lasy oparte, przed frontem zakryta odnogą Słuczy.

Jazda nasza posunęła się na trakt ku Głuchowi, dokąd także 4-ty korpus rezerwowy jazdy dążył.

Bory bobrujskie zaczynają się od Słucka; gdyby się wojsko nasze było w nie zapuściło, zabrakłoby zapewne żywności. Wreszcie po kierunku marszu generała Bagrationa z pewnością wnosić było można, iż pod Bobrujskiem przejdzie Berezynę: był wtedy wolny od każdej napaści naszej. Książę Poniatowski postanowił zwrócić się szybkimi marszami ku Mohilewu, dla połączenia się jak najprędzszego z Davoustem, wzmocnienia go i podania sposobności do stoczenia bitwy z Bagrationem wprzód, nimby ostatniemu udało się przeprawa Dniepru. Lecz i te poruszenia i nagłe marsze przez kraj pusty i dziki, które naszą piechotę do reszty zrujnowały, nie potrafiły dawnej opieszałości wynagrodzić.

Dnia 19. wyruszyliśmy ze Słucka; 5-ty korpus opuścił główny trakt głucki i zwrócił się na północ, w stronę Ihumienia, leżącego o 101 wiorst, czyli 15 mil od Słucka. Latour-Maubourg poszedł ku Głuchowi: generał Chaveau z korpusem westfalskim dnia 16. lipca przez Ihumeń, Mińsk dążył ku Orszy.

Stanęliśmy na noc w Przewozie przy ujściu Łoszy i Winni, gdzie obozowano w szyku zwyczajnym.

Dnia 20. marsz do Dołhymowa, wioski wśród nieprzerwanych lasów i bagien. Brak żywności i furazu zaczął dolegać, drogi złe; mosty potrzebowały częstej naprawy; marodery mnożyć się zaczęły, ztąd ucisk i narzekania ludu wiejskiego, który raczej nieprzyjaznem, jak radosnem okiem nas witał, widząc straty dobytku szczególnie od oderwańców ponoszone. Wreszcie lud w takim poniżeniu i obojętności dla sprawy naszej znaleźliśmy w Litwie, iż żadnego wyobrażenia o tem mieć nie może, kto temi odludnemi stronami nie przechodził. Była to wprawdzie część najdziksza Litwy. Lecz i gdzieindziej wiele lepiej nie było. Niektórzy nawet obywatele od nas stro-

nili, porzucali domy swoje; a jeżeli przyjmowali, to z widoczną obawą lub obojętnością. Często nawet krupniku i barszczu nam szczydzili.

Wojsko nasze wlekło się wąską kolumną po drogach piaszczystych między borami i bagnami, w czasie lipcowych upałów; ludzie padali z pragnienia lub umęczenia. Szeregi się mocno przerzedzać zaczynały, a wioski i miasteczka za nami napelniały się chorymi i znużonymi. Lecz trudna była rada, tyle dni strawiwszy na próżno w Grodnie, w Nieświeżu i Słucku, chciano błąd naprawić, a książę Poniatowski, zmartwiony wyrzutami cesarza, wspólnie z szefem sztabu Fiszerem pędził naszą piechotę, ażeby jak najprędzej dostać się do Dniepru.

Dnia 21. stanęliśmy w Duczycy, miasteczku nad Czyczą; dnia 22. w Turcu, także nad Czyczą, wsią między borami; dnia 23. w Ihumeniu, miasteczku położonemu także wśród borów; 16. dywizya na lewo drogi do Mohilewa stanęła obozem; 17. dywizya w szalasach, po piechocie Davoust'a, na prawo drogi od Słucka; 18. dywizya na samej drodze, z prawem skrzydłem, opartem o wieś Chwojniki.

Pamiętam, że w Ihumeniu powitani zostaliśmy przez obywatela litewskiego w czerwonym maltańskim mundurze, którego wytworna powierzchowność dziwnie odbijała od czarnego stroju żydowstwa, witającego nas nieszczerem okrzykiem.

Marsz ten 15-milowy odbyliśmy w pięciu dniach.

Dnia 24. lipca przybyliśmy po mocnym marszu czterech mil do Jakszyc, nad rzekę Berezynę, której nie mieliśmy oglądać wpierw, jak dopiero w odwrocie pamiętnym, i stanęliśmy obozem wśród borów, na prawym brzegu, obsadziwszy most 5. i 13. pułkiem naszej jazdy.

Dnia 25. stanęliśmy obozem po nieforsownym marszu pod miasteczkiem Pohostem, o 6 mil od Ihumienia, nad rzeczką Kłową.

Dnia 26. postępowaliśmy dalej do Białenic, miasteczka nad rzeką Druczą, w gubernii mohilewskiej, o 35 wiorst, czyli 5 mil od Pohostu. Marsz ten mocno dał się nam we znaki,



i ruiny naszej piechoty dokonał. Tu połączyliśmy się z jazdą francuską, 6. i 21. pułkiem strzelców konnych, należących do korpusu Davoust'a.

Dnia 27. wyruszone z Białenicy do Kniażyc, 33 wiorst. Nareszcie dnia 28. lipca czoło naszej kolumny stanęło w Mohylewie, po krótkim 15-wiorstowym marszu, w stanie znużenia, trudnym do opisu. Dywizye 16. i 18. piechoty, o dziewięciu batalionach, wchodząc do miasta, miały po 2.000 ludzi tylko w szeregach, 17. i 12. batalion ledwie 400 ludzi; reszta piechoty wlekła się po drodze, jedni bezsilni lub chorzy, nie mogli żadną miarą wydażyć za kolumną, drudzy zdrowi, lecz jarzmo karności niechętnie dźwigający, korzystali ze sposobności dla opuszczenia szeregów i starania się o żywność po bokach drogi. Były to owe marodery czyli oderwańce, plaga każdego wojska a osobliwie francuskiego, w dalekich wojnach żywionego sposobem rekwizycyjnym.

Lecz taki ubytek w szeregach nie tylko niedoświadczeniu lub złej chęci żołnierza przypisać należy; winę tę ponosili w większej części podoficerowie, z których niewielu kampanie odbywało, i młodszy nasi oficerowie, którym się zdawało, że powinnością ich tylko być się i przywodzić żołnierzowi w boju. Zapominali oni, iż na tem zależy najbardziej, ażeby licznymi i pełnymi rotami stanąć wobec nieprzyjaciela, z niegłównym żołądkiem, z rynsztunkiem i bronią w porządku. To wszystko, co się tyczyło obozowania, ognisk, żywności, rozdzielania obowiązków i służby obozowej i t. d., nie wiele ich obchodziło. Każdy znużony, o sobie tylko myślał i byle mógł wypocząć, o resztę nie dbał. Tu dopiero różnica pomiędzy starym a młodym żołnierzem spostrzegać się daje. Że wiele na oficerach polega: mogę tu za przykład podać kompanię 15-go pułku kapitana Macieja Rybińskiego, później w roku 1831 naczelnego wodza wojska polskiego, która bez żadnego ubytku znalazła się po wyjściu z Księstwa. Za tę pieczołowitość około żołnierza naczelnego wódz mianował Rybińskiego szefem batalionu. Lecz i wódz naczelnym i szefem sztabu

słusznym tu zarzutom ulegają, a to przez niestósowne wybieranie godzin marszu, nieporządek w pochodzie, odległość dywizyj zbyt małą, wypoczynki nieodpowiednie i t. d. Jakaż różnica między naszym korpusem a pierwszym Davoust'a? — Widziałem pułki 57, 61, 111, 85. i 108. piechoty francuskiej, przechodzące nazajutrz po naszym przybyciu, przez Mohylew; wracali z bitwy pod Sałtanówką, o dwie mile od Mohylewa, stoczonej 23. lipca z korpusem generała Bagrationa. Postać ich marsowa, mundury i zbroje w najlepszym porządku dźwigali, żywność na kilka dni, podwójna ilość naboju, podwójne obuwie, narzędzia pionierskie; z całym tym ciężarem zdawali się lekko i ochoczo, jakby do tańca postępować. W szeregach nikogo, prócz zabitych i rannych, nie brakło, batalion po 800 ludzi: nielitościwy bowiem marszałek maroderów nie cierpiał i krótką miał z nimi rozprawę. Wstyd nas ogarnął, porównując jego żołnierzy z naszymi; dlatego też twierdziłem i dziś jeszcze twierdzę, iż nam potrzeba żelaznej ręki, ażeby z nas dobrych zrobić żołnierzy i w karbach nas utrzymać.

Powoli zaczęli się oderwańce nasze ściągać; szeregi się zapełniały, wkrótce bataliony liczyły 500 ludzi, a wychodząc z Mohilewa 600 ludzi; kilka przykładów podanych wojsku przez rozstrzelanie występnych, przyprowadziły rabusiów do porządku; ubytek jednakże około 200 ludzi na batalion wynosił, z których później marszowe bataliony uformowano. Wielu wcale się nie stawiało, wielu nieprzyjacieli rozprószonych zastał i do niewoli zabrał.

W czasie pobytu naszego w Mohylewie wojsko obozowało w szałasach, lub po wsiach okolicznych w kwaterach spoczywało. Oficerowie inżynierów zatrudnili się wystawieniem szańcu przedmostowego i mostów na Dnieprze. Przednie strażę stały na drodze mściśławskiej. Po bitwie pod Sałtanówką dnia 23. lipca, generał Bagration, nie mogąc przebić się do pierwszej armii przez Mohilew i Orszę, cofnął się do starego Bychowa i tam Dniepr przeszedłszy, dnia 26. lipca stanął w Pro-



polsku nad Sozą; stamtąd szedł na Czerychów. Dnia 27. lipca na Kryczew, 28. do Mściławia, dokąd nazajutrz przybył.

Dnia 28. korpus 5. stanął w Mohylewie. Gdyby marszałek Davoust miał być go pod ręką dnia 23, w czasie bitwy Sałtanowskiej, albo by zgniótł zapewne Bagrationa i zapędził go ku Rohaczewu, skąd połączenie się z pierwszą armią stało się niepodobnem; albo też obracając na swoją korzyść linie odśrodkowe, mógł z dwoma korpusami połączonymi iść prosto do Mściławia (94 wiorst) i tam Bagrationowi drogę do Smoleńska zabiedz.

I tu fatalny błąd bawienia w Grodnie jeszcze dał się uczuć. Z tego powodu ks. Poniatowski od Davoust'a, a szczególnie od Napoleona, srogich doznawał wyrzutów. *Votre prince est un traître*; mówił Napoleon do adjutanta księcia, Kiekiego, wysłanego z raportem z drogi do Mohilewa.

Dnia 3. sierpnia Bagration bez żadnej przeszkody stanął w Smoleńsku i tam połączenie jego z pierwszą armią nastąpiło. Wszystkie więc obroty od Wilna, zmierzające ku jego zgubie, na niczem spełzły!

Dnia 6. sierpnia 4. korpus jazdy pod Latour-Maubourgiem, wzmocniony dywizją Dąbrowskiego, wyruszył z Mohilewa do Rohaczewa, dla obserwacji Bobrujska i korpusu Hertela, zajmującego Mozyr.

Dnia 11. sierpnia 5-ty korpus wyruszył z Mohilewa do Szklowa, dnia 12. do Orszy, dnia 13. do Romanowa. Składał się tylko z 16. i 18. dywizji piechoty i dywizji jazdy, z pięciu pułków i jednego strzelców konnych; Dąbrowski z 17. dywizją pod Rohaczewem pozostał.

Według piśmiennego rozkazu dnia 3. sierpnia, gdzie maroderów już połączonych z korpusami przypuszczam, siła 5-go korpusu wynosiła 22.738 ludzi, a ponieważ w dniu 24. czerwca korpus ten 36.311 ludzi pod bronią miał, co jako z autentycznych źródeł czerpane za dokładne poczytać można, stracił więc 5-ty korpus w pochodach tylko, prawie bez wystrzału, (wyjawszy potyczkę pod Romanowem, gdzie pułk

Wymarsz  
z Mohilewa.

1-szy strzelców konnych stracił 300 ludzi), 13.573 ludzi, to jest przeszło trzecią część od chwili przejścia Niemna. — Po odciągnięciu dywizji Dąbrowskiego, leżącej z 8.000 piechoty pod Rohaczewem, 5-ty korpus z Mohilewa wychodząc, liczył już tylko około 14.000 ludzi, z tych 11.000 piechoty i 3.200 jazdy.

W Orszy poniósł dotkliwą stratę; służący odebrawszy z magazynu żyto dla koni moich, zbyt skwapliwie poddawał tymże, a potem nagle napoił; jeden koń padł natychmiast, drugiemu krew puszczono, lecz tak mocno z powodu tego osłabł, iż już podemnie się nie zdał. Zostałem więc przy jednym zdrowym i jednym chorym koniu, przezco służba moja niezmiernie utrudnioną została.

Po przejściu Dniepru pod Orszą postępował 5-ty korpus, który od tej chwili prawe skrzydło wielkiej armii stanowił, na Romanowo ku Krasnemu. Dnia 14. między Ladami i Krasnem wojsko nasze złączyło się na chwilę z wielką armią dążącą pod Smoleńsk.

Tu zdarzyła się dla mnie pierwszy raz sposobność oglądania Napoleona. Zatrzymał się przez chwilę na głównym trakcie do Krasnego, wysadzonym po obu stronach podwójnym rzędem niebotycznych brzoź, odbierając z rozmaitych stron raporty.

Spotkanie  
z Napoleonem  
d. 14. sierpnia.

Otoczony był świetnym sztabem, przed nim i za nim postępowały konne gwardye. On sam siedział na bułanym arabskim koniu i odznaczał się kapeluszem trójkątnym, bez żadnej ozdoby, i sławną kapotą popielatą, pod którą nosił mundur strzelców konnych gwardyi. Napoleon miał wówczas lat 43, wzrostu był małego, miał wysokie ramiona, szyję krótką, głowę wielką, był otyły; chód jego ciężki, twarz szeroka, piękną wydawała się z profilu; nos był grecki, cera blada, włosy czarne, krótkie, gładko zaczesane na czoło, oczy szare, piękne, ocienione brwią gęstą, ciemną, których przenikliwość nie każdy mógł znieść. Cały wyraz twarzy był jakby głazu, nadzwyczaj spokojny i nawet ponury; dwie tylko na-



miętności się na niej malowały, gniew i radość. Mówił mało i tylko przerywanemi słowami. Takie wrażenie na mnie osoba Napoleona sprawiła. Widziałem go później kilka razy w ciągu kampanii, lecz zawsze to samo wrażenie po sobie zostawił.

Lady, ostatnie polskie miasto na granicy dawnej Polski przed rokiem 1772, odznaczało się bytnością żydów, którzy w czarnem swoim odzieniu dziwnie odbijali od ludności wiejskiej około Krasnego i Smoleńska mieszkającej, która pochodzenia swego dawnego już nie pamięta.

Dnia 14. zaczęła się potyczka przedniej straży, pod królem neapolitańskim, z dywizją rosyjską jenerała Newerowskoja, która złe prowadzonej jeździe francuskiej nie dała się rozerwać, i z stratą pięciu dział i 1.500 ludzi cofnęła się do Smoleńska.

Dnia 16-go sierpnia nastąpiło zupełne połączenie nasze z wielką armią pod murami Smoleńska, do którego doszliśmy mściławskim traktem.

Smoleńsk  
d. 16. sierpnia. Miasto Smoleńsk, stolica niegdyś księstwa tego imienia, a potem województwa, na wzgórzu, przy lewym brzegu rzeki Dniepru położone. W połowie XVII wieku, jak świadczą Starowolski i Cellariusz, miało domów około 4.000, oprócz dworów szlacheckich; w mieście tem także znajdowało się kolegium jezuickie, przez Zygmunta III. fundowane, oraz wiele innych greckiego i łacińskiego wyznania kościołów; katedra biskupa łacińskiego przez Władysława IV. fundowana. Miasto to murem, 25 stóp wysokim i 32 wieżami czyli basztami obwiedzione, miało jeszcze twierdzę na najwyższym pagórku, w środku miasta wzniesioną. Posada więc i sztuka mocnem je zawsze czyniły. Około roku 1386, w czasie koronacji Władysława Jagiełły na króla polskiego w Krakowie, Świętosław, książę smoleński, podniósł oręż i okolicę Orszy, Witebska i Mściławia niszczyć zaczął. Skirgajło i Witold, bracia Jagiełły, wyprawili się z rozkazu króla na buntowniczego księcia, zniesli go, i Świętosław śmiałość swoją śmiercią na placu przypłacił, a Jerzy, syn jego, dostał się w nie-

wolę; z dobroci jednak Władysława miał sobie władanie księstwem przywrócone. Lecz niewierny ślubom swym Rusin, wkrótce, bo w roku 1403, bunt podniósł; zbity i wygnany z księstwa, schronienia w Węgrzech szukać musiał, a Witold odtąd smoleńską prowincję już bezpośrednio do Litwy przyłączył; wtenczas to waleczni Smoleńszczanie w bitwie pod Tanenbergiem z Krzyżakami 1411 roku, ustępujące hufce Litwinów i Tatarów wstrzymali i wiele do wygranej Polakom dopomogli, jak świadczy Kromer na karcie 451. edycyi warszawskiej.

Od tego czasu Smoleńsk z okolicą składał jedno z najpiękniejszych województw Litwy. Dopiero w roku 1514, zdrada i przejście Michała Glinńskiego na stronę cara moskiewskiego Iwana Bazylewicza, poddały Smoleńsk w ręce Moskwy, tak iż lat 97 w rękę onych, podstępem zdobyty, zostawał. Jak tylko Moskale zdobyli Smoleńsk, tak zaraz kusili się o dalszy postęp w Litwie, i gdyby nie dzielne ramię Zygmunta I, Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, oraz wielkich wojowników, pod tymi królami żyjących, byłiby już zapewne wtenczas księstwo to pochłonęli.

Około roku 1611. osłabiona Moskwa, zaburzeniami przez samozwańców Dymitrych wzniesionemi, nadarzyła Zygmuntovi III. sposobność nietylko odzyskania ważnej tej twierdzy, ale nawet podbicia całego państwa. Wyprawił się więc na wojnę, król ten w towarzystwie wielkiego owych czasów bohatera Żółkiewskiego, hetmana. Oblęł Smoleńsk i po dwuletnim blisko oblężeniu, wśród najprzykreszszego klimatu wziął go szturmem dnia 14. czerwca 1611 roku; przy tem oblężeniu obywatele z Mazowsza, zręcznością i wytrzymałością nad innymi celowali. Tu się szczególnie do zwycięstwa przyczynił kawaler maltański, Nowodworski, wysadzając części murów prochem. Nie mogli strawić Moskale utraty tak wielkiego grodu; jakoż w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III., w sto tysięcy ludzi, pod dowództwem Szechina, mając z sobą 30.000 Szwedów i Anglików, najwyborniejszą ar-



tyleryą opatrzonych, pod Smoleńsk podstąpili; jak świadczy Wassenberg na karcie 56. w dziele *Gestorum Vladislai*.

Oprócz tego mnogie hordy Tatarów i Czeremisów mieli z sobą, tak, iż tenże Wassenberg na karcie 55. mówi, iż podobnie przysposobiona armia na zawojowanie Europy zdawała się być zebraną. Stałość jednak i męstwo Palaków potrafiły piersiami swemi odwrócić tę grożącą burzę.

Dowodził pod ten czas szczupłemu garnizonowi, bo ledwo z kilku tysięcy złożonemu w tem mieście, nieśmiertelnej pamięci godzien Stanisław Wojewódzki, polasianin, a jak mówi Wassenberg, cnotą swą i walecznością Rzymianinowi dorównywujący; ten z rzadką nieustraszoną przez dziewięć miesięcy szturmy tak liczego nieprzyjaciela wytrzymywał i do obrony odwagą swą oblężników zachęcał, dopóki Władysław IV., ów wielki wojownik i król, po koronacji swej z 30.000 wojska na odsiecz miastu nie pokazał się, i po wielu walkach Szechina zbił, a całą jego wielką armię do złożenia broni zmusił. Po otrzymanem zwycięstwie stał król Władysław, otoczony rycerstwem polskiem, na górze przy drodze do Moskwy idącej, a Szechin ów hardy, tak wielkiej dopiero armii dowódzca, z przymierzeńcami, dumnymi Anglikami oraz Szwedami, broń i chorągwie, schylając głowy, pod zwycięzcy nogi składali; opisuje ten tryumf chlubny dla Polaków, Wassenberg na karcie 118. Zwycięstwo to i oswobodzenie Smoleńska zmusiło Moskalów, iż zawarli traktat w Dywilnie roku 1634, zrzekając się na zawsze Smoleńska, Siewierza i Czernichowa.

Spokój Europy potrzebował, aby te granice były Moskwie zakreślone; męstwo i przezorność Władysława IV. tu je naznaczyły, lecz nieszczęśliwe wojny za Jana Kazimierza otworzyły Moskwie pole odnowienia swych dumnych zamysłów; roku więc 1654. związał się Aleksy Michałowicz, car mohilewski z buntowniczymi kozakami, wkroczył w granice Polski i obległ Smoleńsk. Dowodził pod ten czas Obuchowicz wojewoda, jeden z możnych panów tamecznego województwa, lecz nie tej cnoty i odwagi, co nieśmiertelny Wojewódzki. —

Korf był dowódcą zamku, a Piotr Świacki, ziemianin tameczny, dowódcą szlachty; po niejakiach lekkich utarczkach podał Obuchowicz pomimo sprzeciwiania się szlachty, miasto carowi, nie bez domysłu podłej sprzedajności. Car albowiem przy odchodzeniu garnizonu ze wzdargą go pożegnał, a odwróciwszy się od niego, do swoich wyrzekł, jak świadczy Kochowski, *Climacter* I. na karcie 437. te słowa: »Gdyby który z was tego człowieka odważył się naśladować, na pal wbity zostanie«.

Po zdobyciu Smoleńska rozpuścili Moskale swe zagony włąb Litwy aż do Wilna, ten był albowiem skutek zdobycia tego ważnego miejsca, iż kiedy Polacy byli panami onego, nietylko drżała stolica Moskwy, ale ich i w murach swych oglądała. Kiedy zaś moskale posiedli Smoleńsk, byt i całość Litwy, a nawet i całość Poski, chwiać się zaczęły.

Smoleńsk odległy o 386 wiorst, czyli 55 mil od Moskwy, i o 704 wiorst, czyli 97 mil i 5 wiorst od Petersburga nie tyle ważny co do liczby ludności, która w roku 1812. tylko 12.000 dusz wynosiła, zato pod względem wojennym wielki wpływ na nasze działania wywierał. Miasto, jak się wyżej mówiło, leży na spadku góry, na lewym brzegu Dniepru. Głębokie dwa parowy, od przedmieścia Krasnojskiego ku Mściśławskiemu i od Raczeńskiego ku Nikolskiemu ciągnące się, a do Dniepru spuszczone, utrudniają niezmiernie przystęp po obydwóch skrzydłach. Miasto samo, otoczone jest wysokim murem, na 25 do 30 stóp wysokim, a 18 stóp grubym przy podstawie, którego rozwinięcie około 3.000 sążni wynosi. W narożniku lewym od mostu był wyłom bardzo szeroki w murze, który drzewem w stosach był zatarasowany. Dwie bramy tylko prowadzą w środek; pierwsza, przy której łączą się trakty od Krasnoi, Mściśławia i Jelni, leży na środku półkola i zowie się Małachowska; druga prowadzi do mostu na Dnieprze, ze strony przeciwnej. Trzydzieści wież rozmaitego kształtu, do muru przypierających, jedne kwadratowe, drugie okrągłe, wznoszą się równo z murami, a rozłożone są w nie-



równych odstępach na całym obwodzie. Część górna muru jakby w zęby wycięta, przedstawiała szerokie strzelnice dla piechoty. Po za murem znajdował się rów z drogą krytą i stokiem, lecz w stanie nieobronnym. Od strony Dniepru ani rowu ani stoku nie było, lecz mur podobny do reszty obwodu. Dla wycieczek wojska, broniącego drogi krytej, wykuto w murze w kilku miejscach niewielkie otwory.

Niewielki półksiężyc, z ziemi usypany, zakrywał bramę od Krasnoi, i ostrzelany był od starego bastionu, również z ziemi usypanego, w odległości krótkiego armatniego strzału. W prawo o 400 sążni leży cytadela, zwana u naszych historyków Zygmuntofską twierdzą, przerywającą ciągłość muru. Składała się z foremnej wielokąta o pięciu bastyonach, zbudowanego z ziemi. Wały tego szaniecu nie były opatrzone palisadami, od tej więc strony Smoleńsk nie był wolnym od szturmów. Pole otaczające miasto jest nierówne, poprzerywane parowami i zaroślami, w odległości ćwierci mili zakryte. Wieże wydrążone nie dopuszczały użycia artylerii, wreszcie twierdza innych dział nie posiadała prócz 50, i te były bez łoż. Nieprzyjaciół artylerią połową uzbroił półksiężyc przed bramą Małachowską, bastyon przyległy i cytadelę. Na prawym brzegu Dniepru znajdowało się przedmieście ludne, obszerne i handlowe, które niższym miastem przeważać można. Most drewniany łączył oba brzegi. Przed nim, nie dochodząc do niższego miasta, były zwałiska szaniecu przedmostowego w kształcie korony, budowle w przedmieściach wszystkie drewniane; w mieście samem znajduje się kilka pięknych kościołów, ozdobionych na sposób grecki, z pięciu kopułkami, każda z nich malowana jasnym kolorem, najczęściej zielonym, lub połączana. Prócz kościołów wiele innych pięknych murowanych gmachów zawierał Smoleńsk, pomiędzy niemi leżące ogrody i drzewa nadawały piękną malowniczą postać całemu miastu. Mieszkańcy prawie wszyscy opuścili swoje domy i z duchowieństwem i obrazami świętych, mia-

nowicie obrazem Matki Boskiej cudownej Smoleńskiej, schronili się do Wiazmy i Moskwy.

Dnia 16 sierpnia doszedłszy na wzgórze, skąd widok na Smoleńsk zupełnie otwarty, spotkaliśmy cesarza, który się przy nas zatrzymał i przepuścił przed sobą. Wojsko defilowało plutonami z okrzykiem »Niech żyje cesarz«, i zajęło stanowisko na prawym skrzydle o pół mili od miasta. Jazda lekka francuska wielkiem półkołem opasywała miasto w odstępach pułkowych: dwie dywizye kirasyerów i karabinierów francuskich z innymi pułkami tworzyły rezerwę. Od lewego skrzydła słychać było pojedyncze strzały piechoty francuskiej, ucierającej się z przednimi posterunkami nieprzyjaciela. Była czwarta godzina po południu. Lecz ten dzień nie był przeznaczony do ataku. Napoleon spodziewał się, iż Barclay po złączeniu z Bagrationem zaniecha cofania dalszego i spróbuje szczęścia przed murami Smoleńska. Dlatego też nie ścisnął zbyt miasta, ażeby nieprzyjacielowi pole zostawić do rozwinięcia się przed miastem. Lecz mylną była ta nadzieja. Jakiż bowiem wódz śmiałby bitwę wydać mocniejszemu wojsku, mając miasto i rzekę za sobą, z jedyną tylko przeprawą.

Nazajutrz z rana, wojsko nasze posiliwszy się stanęło pod bronią w ubiorze paradnym i oczekiwało rozkazu do godziny 9-tej z rana. O tym czasie adjutanci przybyli i oznajmili księciu Poniatowskiemu wolę cesarza.

Korpus piąty ruszył naprzód w ściśniętych kolumnach, jazda na prawym skrzydle zakrywała ten ruch i regulowała nieprzyjacielskie posterunki, rozłożone wzdłuż Dniepru. Spotkaliśmy cesarza, który nas wesoło przywitał i w przytomności swojej nakazał zmianę frontu w ten sposób, aby prawem skrzydłem zbliżyć się ku Dnieprowi. Poruszenie to nie bardzo gładko poszło; Napoleon rozśmiał się na widok pomyłek i rzekł: »To są młode wojska!« Przywoławszy potem księcia Poniatowskiego, wskazał mu punkta do ataku i polecił, aby prawemi kolumnami starał się wyprzeć nieprzyjaciela ze wszyst-

Atak Smoleń-  
ska dnia 17.  
sierpnia.



kich stanowisk w przedmieściu naddnieprowskim i mostom nieprzyjacielskim zagroził.

Poruszenie to wykonane zostało. Jenerał Zajczek z pułkami: 3., 15. i 16. zbliżył się na wystrzał kartaczowy od parowu, prawego i tyralierom swoim rozkazał się spuścić doń. Rozpoczął się nader żywy ogień karabinowy. W tym samym czasie dywizya 18. atak przedmieścia Raczenki od Dniepru rozpoczynała; artylerya korpusu piątego, połączona pod rozkazami jenerała Pelletier w liczbie 42 dział, zajęła stanowisko na wzgórzu na prawem skrzydle dla odkrycia mostów i ostrzeliwania brzegu przeciwnego, na którym w bliskości kościółka zatoczone były baterye rosyjskie pozycyjne. Rozpoczął się w tym miejscu ogień bardzo żywy między przeciwnymi bateriami. Ludzie i konie padali; łoża strzaskane zastępowano, przodki i wozy amunicyjne wylatywały w powietrze. Był to piękny zaiste widok! Na lewem skrzydle naszej baterii stał król neapolitański z księciem Józefem, rozmawiając między sobą jak najswobodniej, tak jak gdyby ich grad kul nie obsypywał. Ogień ten trwał parę godzin i powoli zaczął z obydwóch stron stygnąć. Tymczasem atak naszej piechoty postępował. Spędzono nieprzyjacielskich strzelców z parowu i z przedmieścia Nikolskoje, a pułki szesnastej dywizyi wyparowały go nawet z drogi krytej. Lecz na tem zakończyć się musiały ich usiłowania; w murach trzydziesto-stopowych nie było wylomu, a ogień ręcznej broni nie dozwalał do nich przystępu; artylerya francuska starała się wprawdzie otwory porobić, lecz wszelkie działania przeciwko ośmnasto-stopowym murom były nadaremne. Trzeba było szesnastą dywizyę, która mocno ucierpiała, z ognia wyprowadzić, ukryć się w parowie i w palącym się przedmieściu Nikolskie. W tej akcji utraciliśmy pułkownika Zakrzewskiego, komendanta trzeciego pułku piechoty i podpułkownika Podhańskiego; ze sztabu głównego jenerał dywizyi Zajczek ranny był w nogę od kuli karabinowej. Mielśmy tu do czy-

nienia z korpusem Doktorowa, a mianowicie z pułkiem szóstym jegrów korpusu Rajeskiego.

Drugi atak, wymierzony przeciwko przedmieściu raczyńskiemu, szedł z początku pomyślnie. Jenerał Grabowski na czele ośmnastej dywizyi z trzema pułkami: drugim, ósmym i dwunastym wyparł nieprzyjacielską piechotę z doliny naddnieprskiej i opanował przedmieście; lecz nadeszła pomoc, złożona ze strzelców pieszych gwardyi i brygady dywizyi pod dowództwem księcia Eugeniusza Wirtemberskiego i zatrzymała natarczywość naszej piechoty. Przyszło do żywej walki na przedmieściu samem, które spłonęło w ogniu i strata z obydwu stron stała się wielką, lecz większa po naszej stronie. Zginął jenerał Michał Grabowski, żałowany przez wszystkich. Był to oficer pełen talentu i odwagi; zginął także szef Gavant z drugiego pułku piechoty; pułkownik Krukowiecki z drugiego pułku odebrał postrzał w rękę. Poległo wielu oficerów i żołnierzy, a bolesne to, że wielu rannych spalonych zostało. Po wzajemnem kilkugodzinnem parciu, nie chcąc wystawiać na większe straty piechoty naszej, któraby na żaden przypadek murów kolbami nie była rozbiła, ani mostu, mocno obśadzonego pod ogniem całej linii murów nadbrzeżnych zdobyła, cofnięto się z przedmieścia i ukryto w zagięciach parowu.

Noc zaszła w tem położeniu. Smoleńsk, zapalony granatami naszymi, leżał cały w płomieniach. Bitwa o godzinie 9 wieczorem ucichła. Francuzom nie lepiej jak nam się powiodło. Marszałkowie Davoust i Ney przypuszczali szturm do przedmieścia Krasnojskiego i Mściśławskiego i starali się opanować bramę Małachowską (środkową) i twierdzę Zygmuntowską, lecz za nadejściem księcia Eugeniusza Wirtemberskiego odparci zostali i zaniechać musieli dalszych szturmów. Artylerya tych korpusów daremnie się także siliła zrobić wylom w murach. Twierdza Zygmuntowska była rzeczywiście najsłabszym punktem; przeciwko temu otworowi należało ogień całej artyleryi wymierzyć i potem szturmować dostateczną siłą. Popelniony tu błąd kosztował nas więcej,



aniżeli wielka bitwa. Wielka armia straciła niezawodnie 12,000 ludzi w tej rozprawie, z tych na korpus piąty przypada do 1,000 ludzi.

Część nocy przepędziłem na wzgórzu nad parowem głównym i stamtąd miałem okazały widok palących się wież i kopuł, odbijający się na ciemnym tle nieba. Przez całą noc spokój panował zupełny. Patrole nasze dochodziły do drogi krytej, lecz wszystko w spokoju zastały. Z pierwszym braskiem dnia pojedynczy żołnierze nasi, nie widząc wart nieprzyjacielskich przed sobą, postępowali coraz dalej, przeszli drogi kryte i rowy i dostali się do jednej z wycieczek w murze wykutych. Miasto było puste. W nocy Barclay w największej cichości i porządku kazał wyjść swojemu wojsku, i wyruszył na trakt ku Moskwie, po spaleniu mostów. Tym sposobem dnia 18. weszliśmy do Smoleńska bez wystrzału. Miasto płonęło jeszcze w ogniu i dopiero dnia 19. pożar zupełnie ugaszony został. Połowa domów i kościołów w gruzach leżała. Ulice wypełnione poległymi i rannymi okropny widok przedstawiały. Po obejrzeniu miasta udałem się napowrót do głównej kwatery, dla zdania sprawy o stanie miasta.

Korpus piąty wypoczywał pod Smoleńskiem do dnia 22. sierpnia. Dnia 19. rozpoczęła się bitwa pod Wałutną górą, między tylną strażą Barclay'a a przednią naszą. Ze strony francuskiej zginął generał dywizji Gudin z korpusu Davoust'a.

Dnia 21. około godziny 11. zrana, cesarz odbył przegląd korpusu piątego i rozdał wielką ilość ozdób legii honorowej, w ogóle 88, pomiędzy temi dwa krzyże oficerskie. Przy tej sposobności nie szczędził pochwał i obietnic i rozmawiał z wielu wyższymi oficerami. Dnia 22. sierpnia wyruszyliśmy w dalszy pochód ku Moskwie; przeznaczeniem naszym było zaślaniać prawe skrzydło wielkiej armii.

Zachodzi tu teraz ważne pytanie: dlaczego Napoleon nie zatrzymał się w Smoleńsku, tak jak mu radzono i nie starał się o umocnienie nowej podstawy nad Dnieprem i Dźwiną, skądby na przyszłą wiosnę mógł uderzyć na stolicę. Stodwu-

dziestomilowy pochód od swojej podstawy nad Wisłą nakazany mu był przez okoliczności wojenne. Chcąc bowiem zmusić Barclay'a do stoczenia walnej bitwy przed połączeniem się jego z Bagrationem, i chcąc przeszkodzić połączeniu się temu, musiał szybko postępować, nie oglądając się na swoją podstawę, ani na magazyny, i wojsko swoje żywić z zasobów krajowych. Taki marsz nagły przez wyżej wskazaną opieszałość króla Westfalskiego nie tylko nie przyniósł żadnego skutku, lecz połączony był z niesłychanymi dotąd stratami w ludziach i koniach. Dość porównać stan wojska w czasie przejścia granicy i za przybyciem pod Smoleńsk. Stan ten wykazuje w korpusach zebranych pod Smoleńskiem następującą różnicę:

Nad Niemnem dnia 24 czerwca było . 283.650 ludzi.

Przed bitwą Smoleńską dnia 3 sierpnia 179.770 »

Wielka armia poniosła zatem od 24. czerwca do 2. sierpnia stratę przeszło 100.000 ludzi; ubytek ten szczególnie widocznym się staje przy porównywaniu stanu jazdy. Porównanie sytuacyjne innych korpusów nie mniejsze różnice przedstawiało.

Tym to sposobem największe nikną armie, jeżeli nie są według prawideł wojennych, sankcjonowanych doświadczeniem, prowadzone. Gdyby tak wielką stratą cesarz okupił był stanowczy rezultat odrzucenia armii rosyjskiej z linii operacyjnej, od Moskwy idącej, na zgubny dla niej kierunek petersburskiej drogi, czego się spodziewał dokazać strategicznym, genialnym pochodem z Witebska ku Smoleńskowi; pewnie kampania inna byłaby obrót wzięła. Lecz nie dokonawszy, i mając przed sobą na trakcie moskiewskim nienaruszoną armię rosyjską, wypadało się głębiej zastanowić, czy bez żadnej pewności dalszych korzyści, można się o 55 mil dalej zapuszczać od podstawy, nie zapewniwszy jej wprzód i nie ściągawszy rozrzuconych po całej Litwie oderwańców i nowych posiłków, gromadzących się nad Wisłą i Niemnem.



Drugi ważny przedmiot nasuwa się pod naszą uwagę. Napoleon zajmował wprawdzie całą Litwę, w ścisłym znaczeniu od Bugu i Niemna do Dźwiny i Dniepru, i od morza Bałtyckiego do linii bagien Prypeci, dzielącej Litwę od Wołynia. Lecz kraj ten, wyjąwszy Żmudzi, nie stanowił najżyźniejszych prowincyj zabranego kraju. Wołyń, Podole i Ukraina, w zboże, ludzi i konie nierównie zamożniejsze, nietknięte leżały i w posiadaniu nieprzyjaciela znajdowały się, który w nich organizował nowe swoje siły, i zbyt przedłużonej działań naszych linii zagrażał. Po wojnie tureckiej, pokojem Bukareskim szczęśliwie dla Rosyi zakończonęj, korpus Czyczakowa wolnym się stawał do wszelkich podobnych przedsięwzięć, które im dalej na tyły głównej armii francuskiej wymierzone, tem niebezpieczniejszem dla niej czyniły dalsze zapuszczanie się w kraj nieprzyjacielski.

Ten więc wzgląd, równie jak i pierwszy, powinien był wpływać na postanowienie cesarza.

Na lewem skrzydle równe niebezpieczeństwo zagrażało linii operacyjnej francuskiej. Nad Dźwiną bowiem stał generał Wittgenstein z korpusem 40.000-nym przeciw dwóm połączonym korpusom francuskim: drugiemu i szóstemu, które na początku kampanii liczyły razem 62.273 ludzi, a dnia 2 sierpnia tylko 35.000 ludzi; marszałek Macdonald stał wprawdzie z korpusem 30.000-nym w Kurlandyi, naprzeciwko Rygi i mógł w potrzebie, złączywszy się z drugim i szóstym, działać wspólnie przeciwko Wittgensteinowi; lecz ten wzmocniony rezerwami, przybywającemi z Petersburga, milicjami i korpusem Steinhela, wylądowanym z Finlandyi, przechodził w siłę drugi i szósty korpus, i nie tylko zakrywał Petersburg, lecz równie jak i Czyczaków zagrażał linii operacyjnej.

Wszystkie więc powody przemawiały za tem, aby się zatrzymać w okolicach Smoleńska, umocnić ten punkt, zamieścić Dynaburg, Witebsk i Połock w czasowe twierdze, i starać się o zdobycie Rygi i Bobrujska. Pod zasłoną tych punktów, wielka armia byłaby się rozłożyła w zimowych kwaterach

i wzmocniona posiłkami świeżymi, na wiosnę przyszlą rozpoczęłaby drugą kampanię. Organizacya armii litewskiej stała się łatwą; wreszcie wysłanie silnego korpusu na Mozyr i Kijów byłoby powstanie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie bez wątpienia roznieciło. Lecz Napoleon, zaślepiony niesłychanem powodzeniem, głuchy na przedstawienia marszałków swoich, spodziewał się przed Moskwą zmusić Rosyan do stanowczej bitwy i opanowaniem miasta tego jednym ciosem zakończyć wojnę. Lecz Bóg inny koniec jego dumie przeznaczył i Karola XII. losy dla niego gotował.

Dnia 22. sierpnia nastąpiło więc ogólne ruszenie wielkiej armii ku Moskwie. Składała się, jak wyżej, z gwardyi, z 1., 3., 4., 5. i 8. korpusu piechoty i 1., 2. i 3. jazdy rezerwowej; korpus 4. rezerwowej jazdy Latour-Maubourga, szedł na Mścislaw, Jelnię, zostawiwszy dywizję Dąbrowskiego przed Mohylewem. Doliczywszy i ten 4-ty korpus jazdy, 5.000 ludzi, znajdziemy ogólną siłę wielkiej armii, operującej na Moskwę po odtrąceniu 19.000 ludzi na straty, poniesione pod Smoleńskiem i Walutyną, sumę 165.000 ludzi.

Piąty korpus, przeszedłszy dwa razy Dniepr w odległości półtorej mili od wielkiej armii, postępował bocznemi drogami po prawej stronie traktu do Moskwy. Poprzedzała go dywizya lekkiej jazdy, pod komendą generała Kamińskiego. Wsie, przez które przechodziliśmy, nie zupełnie były opuszczone, a chociaż kozacy mieszkańców zmuszali do porzucania siedzib i ogień podkładali pod sterty i stogi, jednak dostateczną żywność po skończonych żniwach znajdowaliśmy dla ludzi i koni.

Dnia 24. doszła nas wiadomość przez jeńców, że główna armia rosyjska zamierza wydać nam walną bitwę przed Drohobużem. Cesarz ściągnął więc natychmiast gwardye ze Smoleńska. Lecz generał Barclay za radą Bagrationa opuścił niekorzystne stanowisko przy ujściu Uży do Dniepru w nocy z dnia 23. na 24. sierpnia i dalej się cofnął ku Wiazmie w trzech kolumnach. Lewa, za którą postępowaliśmy, złożona



z drugiego korpusu piechoty, pierwszego jazdy i trzech pułków kozackich, szła na Konuszkino.

Dnia 25. sierpnia stanęliśmy obozem pod Wołoskiem, w odległości 20 wiorst od Drogobuża. Marsz dalszy prowadził na Łużki, Pokrowskoje, Stukino i Słobódkę, które to ostatnie miejsce leży prawie na wysokości Carewa Zajmiszcza przed miastem Gzatskiem. W Budajewie piąty korpus dnia 1. września zatrzymał się, i tam odebrał rozkaz sposobienia się do bitwy, której się spodziewać należało.

Dnia 29. sierpnia wieczorem książę Kutuzow objął komendę ogólną nad połączonemi: pierwszą i drugą armią rosyjską w głównej kwaterze w Carewie Zajmiszczem, i rozporządzenia uczynił dla przyjęcia nas w stanowisku pod Boryndem na drodze Możajskiej.

Piąty korpus w pozycji pod Budajewem spoczywał przez 1., 2. i 3. września. Przez te dni każdy dowódca pułku lustrował szczegółowo broń, amunicję i t. d., wiadano bowiem, iż chwila stanowcza nadeszła. Stan piątego korpusu dnia 2. września wynosił przytomnych pod bronią 8.430 piechoty, 1.638 jazdy, 36 dział artylerji, 18 dział pułkowych i 6 dział artylerji konnej; a zatem bataliony piechoty liczyły nie więcej jak około 470 ludzi; pułki zaś jazdy około 400 koni, byliśmy więc zredukowani prawie do połowy.

Sytuacja ogólna wielkiej armii dnia 2. września była: 103.076 piechoty i 30.748 jazdy, licząc w to 6.003 piechoty i 1.318 jazdy nieobecnej, lecz spodziewanej w przeciągu pięciu dni; ogółem 133.819 ludzi i 587 dział.

W dowództwie naszych dywizyj zaszła była zmiana. W miejsce ranionego pod Smoleńskiem generała Zajaczka, objął komendę szesnastej dywizji generał Izidor Krasiniński, odważny i pełen poświęcenia żołnierz; komendę dywizji jazdy otrzymał generał dywizji francuskiej Sebastiani, korsykanin, nielubiony od Napoleona, który mu pamiętał niektóre uchybienia w Hiszpanii popełnione. Komendę naszej dywizji uważał sobie Sebastiani za niełaskę; lecz że Polaków z czasu

wojny hiszpańskiej znał i lubił, i pod komendą swoją miał niejaki czas pułki: 4., 7. i 9. piechoty, przeto starał się tego nie okazywać, i owszem był bardzo łaskaw na swoją dywizję. Wnet spostrzeżono, iż żadnego nie miał doświadczenia w prowadzeniu jazdy.

Dnia 5. września postępowaliśmy starym traktem Smoleńskim przez Jelnę, w jednej kolumnie, jazda na przodzie. Wtem o godzinie drugiej po południu oficer ordynansowy cesarza oznajmił księciu Poniatowskiemu, iż wojsko nieprzyjacielskie stoi w pozycji o kilka wiorst od nas, i bez wątpienia dziś jeszcze przyjdzie do walki; książę Poniatowski natychmiast stosowne uczynił rozporządzenie. Kolumna nasza odstąpiła starej drogi Smoleńskiej i posunęła się na lewo, ukośnie do wielkiej armii, przez małą równinę, przeplataną łaskami i zaroślami. Spotkaliśmy kilka szwadronów jazdy nieprzyjacielskiej, które odebrawszy parę wystrzałów armatnich pierzchły i w biegu przeleciały około naszego frontu. Łaski i krzaki, rozrzucone na pozycji, oddziaływały nas od tylnej straży rosyjskiej i nie dozwalały dokładnie odkrywać jej stanowiska. Widoczne tylko były dwa wzgórki, bliższy zajęty był okopem i liczną artylerją uzbrojony, dalszy lecz niższy, o 500 sążni odległy od pierwszego, opierał się o las, i zdawało się, jakby zasłaniał rezerwę. Stanowisko to o kilkaset sążni przed frontem głównej pozycji rzucone, było na kształt dzieła zewnętrznego tejże pozycji przeznaczone, i miało pierwsze nasze ataki złamać. Wkrótce błysnął ogień z okopu, grad kul obsypał czoło naszej kolumny i nakazał rozwinięcie batalionów. Książę Poniatowski stosownie do miejscowości rozporządził nasze linie. Bataliony 16-tej dywizji, poprzedzone tyralierami, posunęły się naprzód; bataliony zaś 18-tej dywizji w tym samym szyku bojowym zajęły nasze prawe skrzydło, ucierając się z nieprzyjacielskimi jęgrami, którzy w gęstych zaroślach dzielnie się trzymali. Naprzeciw re-duty na wzgórzu zatoczono 24 dział naszych, między temi 12 pozycyjnych, ażeby ostrzeliwać równinę, przed nami le-

Bitwa pod  
Możajskiem  
d. 5 września.



żącą. Jazda pilnowała prawego skrzydła i łączyła nasze lewe z wielką armią.

Najwyższa walka rozpoczęła się w tych wzajemnych pozycjach z widoczną wyższością ze strony artylerii rosyjskiej, która korzystniej od naszej stojąc, gradem kul wydrążonych obsypywała nasze linie. W przeciągu pół godziny stanowisko naszej baterii zasłane zostało końmi i ludźmi. Szef brygady Sowiński stracił prawą nogę. Porucznicy Czajkowski i Łobocki zginęli od kul armatnich; porucznik Chrzanowski ranny od kartacza. Sowiński, tak mocno ranny, z największą spokojnością dał się opatrzyć, i leżąc na ziemi, przy swoich działach, nie przestał wydawać rozkazów kanonierom. Któż nie pamięta w naszej armii szanowną postać tego walecznego męża, który zawód, tak pięknym czynem rozpoczęty pod Możajskiem, miał śmiercią chwalebną pod Wolą uwieńczyć! W tym czasie wielkie masy jazdy rezerwowej francuskiej, pomiędzy lewem skrzydłem naszym a dywizją generała Compens'a z pierwszego korpusu, zaczęły się formować pułkowemi kolumnami w odstępach; dywizja zaś Compens'a ruszyła naprzód dla zdobycia reduty; około tego punktu nastąpiła żywa walka. Reduta kilka razy zdobyta i znów stracona, pozostała o 9. godzinie wieczór w ręku Francuzów. Jazda rosyjska, z kirasyerów i dragonów złożona, nader śmiałe ataki przypuszczała do jazdy francuskiej i przednie pułki przełamała; natarła nawet na kompanię piechoty naszej, wysuniętą przed naszymi kolumnami, dla wsparcia tyralierów. Te w kłębki zwinięte, ogniem rotowym odparły nieprzyjacielską jazdę: osobliwie zimną krew okazywał w tej chwili kapitan Jan Skrzynecki z pułku 16-go piechoty, na czele swojej kompanii. Nareszcie przybycie króla neapolitańskiego, na czele innych pułków jazdy, zatrzymało rosyjską jazdę, która przechodząc blisko artylerii naszej, pożegnanie ostatnie od niej odebrała i z pola ustąpiła. Należały do tego ataku, który do najnatarczywszych policzyć można, pułki kirasyerów: małorosyjski, glonczowski, i jeżeli się nie mylę, ordeński; tudzież dragony charkowskie i czernichow-

skie. Szef brygady Artur Potocki, od kirasyerów napadnięty, kilka cięć odebrał w głowę.

Po spędzeniu jazdy rosyjskiej piechota nasza ruszyła naprzód; 14 kompanij wołyżerskich, zebranych pod komendą szefa brygady Macieja Rybińskiego z pułku 15. piechoty, zasłaniały ten ruch. Atak ten z ostatniem natarciem na redutę dywizji Compans'a skombinowany, zakończył bitwę tego dnia, która do późnego wieczora, t. j. do godziny 9. trwała.

Dzień 6. września przeszedł na rozpoznaniu szczegółów nieprzyjacielskiej pozycji. Cesarz z królem neapolitańskim i całym sztabem przybył do naszego obozu, rozłożonego na zdobytej wczoraj pozycji, i niejaki czas zatrzymawszy się tam, rozpoznawał nieprzyjacielskie stanowisko; rozłożeni w krzakach w bliskości obozu naszego rosyjskie jegry, ograniczali bardzo nasz horyzont. Ze wzgórza zdobytego wilią, widać było tylko jakby morze jakie zarośli, rozciągających się w głąb i na prawo pozycji nieprzyjacielskiej. Droga stara, z Smoleńska na Jelnię do Moskwy prowadząca, i wieś Utitca dość wyraźnie się przedstawiały. W lewo pozycja rosyjska wydawała się jaśniejsza, mniej było zarośli, lecz zato pole poprzerywane głębokimi jarami i parowami. Linie obozów ruskich, przy których mnóstwo ludzi było w poruszeniu, jak na dłoni przez perspektywę się wydawały. Rozpatrzywszy się w tym punkcie cesarz instrukcje swoje dał księciu Poniatowskiemu, które na tem zależały, aby korpusem naszym zwrócić się ukośnie napowrót na trakt smoleński, lewe skrzydło nieprzyjacielskie wyrugować ze stanowiska, które zajmowało za Utitcą, na wzgórzu (t. zw. Mamelonie) i starać się nieprzyjacielskiej armii zająć, z boku i z tyłu. Zadanie to widocznie było za wielkie w porównaniu z siłami naszymi, które nie przechodziły 10 000 ludzi pod bronią.

Rzeczywiście korpus Tuczkowa zajmował tę pozycję dwoma dywizjami piechoty, t. j. pierwszą grenadyerską generała Strogonowa z 12 batalionów, i trzecią generała Kononieczyna z 11 batalionów piechoty, 24 dział pozycyjnych,



32 dział lekkich; pierwsza dywizya grenadyerów w dwóch liniach uszykowana była pomiędzy Uticą i Mamelonem; trzecia dywizya podobnież w dwóch liniach, stanowiła za nią drugi zastęp. Na lewem skrzydle było sześć pułków kozackich pod jenerałem Karpowem, z jedną baterią konną. Po za Mamelonem w rezerwie milicye moskiewskie, 7.000 ludzi pod jenerałem L. Markowem. Przed prawem skrzydłem od Uticy poczynając, rozłożone były w zaroślach 20. i 21. pułki strzelców z dywizyi trzeciej, z gęstemi tyralierami, które związek utrzymywały z dywizyami Woroncowa i Newerowskiego.

Ta siła, jeżeli bataliony równe naszym przypuścimy, wynosiła około 13.000 piechoty liniowej, 7.000 milicyi, 1.800 kozaków i 62 dział.

Siła ta przewyższała w dwójnasób naszą siłę. Pomimo więc wszelkich natężeń zadanie stało się trudnem do rozwiązania, jeżeliby inne okoliczności nie sprzyjały. Tu 30.000 ludzi nie było nadto, wyparowawszy bowiem korpus Tuczkowa jeszcze byłibyśmy trafili na silne rezerwy, gotowe do odparcia tak stanowczego ruchu.

Dnia 7. września, o godzinie 6. z rana, woj-  
Bitwa dnia 7. września. sku stojącemu pod bronią odczytano rozkaz dzienny cesarski, następującej osnowy: »Żołnierze! zbliża się teraz bitwa, której tak mocno pragnęliście! Od was zależy zwyciężyć! Zwycięstwo jest nam potrzebne; da nam podstawkiem wszystkiego i dobre leże zimowe; pozwoli oraz na prędki powrót do ojczyzny. Sprawcie się tak, jak pod Austerlitz, Friedlandem, Witebskiem; niech najpóźniejsi potomkowie z chlubą o waszem sprawowaniu się w tym dniu wspominają: byli oni w owej wielkiej bitwie pod murami Moskwy! W obozie cesarskim na wzgórzach Borodyna dnia 7. września o godzinie 2-giej z rana.«

Po odczytaniu tej odezwy piąty korpus wyruszył na stanowisko, które mu było naznaczone na prawem skrzydle linii bojowej, i zajął stary trakt smoleński. O godzinie 7-mej z rana baterye francuskie, naprzeciw Borodyna zatoczone, dały

znak do bitwy. Wnet grzmoty artyleryi na całej linii odpowiedziały temu hasłu. W miarę, jak się nieprzyjacielscy strzelcy, w krzakach rozrzućeni usuwali, kolumny nasze, poprzedzane tyralierami, postępowały naprzód i wieś Uticę zajmowały. Bateria z dwunastu dział pozycyjnych, pod bezpośrednim kierunkiem pułkownika artyleryi, Górskiego, w lewo Uticy na wzgórzu ustawiona, popierała ogniem swym ten ruch. Dywizya zaś lekkiej jazdy, pod komendą jenerała Sebastianiego, zakrywała go od prawego skrzydła, broniąc od napadów nieprzyjacielskiej jazdy.

W takim szyku atak postępował coraz gwałtowniej. Wkrótce na całej naszej linii rozpoczął się nader żywy ogień broni ręcznej pomiędzy tyralierami z obydwóch stron, któremu wtórowały baterye pozycyjne nieprzyjacielskie z Mamelonu i nasze pod Uticą.

Dywizya 16-ta pod jenerałem Krasieńskim, wspierając swoich tyralierów, rozdrobniła się na małe oddziały i wprowadziła do boju dwie trzecie części całkowitej siły; a jednak wcale nie postępowała. Nieprzyjacielscy strzelcy, doszedłszy do swoich kolumn, przestali się cofać i wstępny bojem uporczywie się potykali. Trudno było ściągać do kupy rozpięchniętą po zaroślach i chrustach piechotę naszą, dla uformowania z niej kolumn do ataku, w przytomności i pod ogniem nieprzyjacielskich jęgrów. Ogień wzmagał się coraz bardziej. W przedłużeniu linii naszej bojowej wznosił się w białych kłębach dym baterij francuskich, oznaczający widocznie postęp naszego środka. A jednak dla słabej siły nic stanowczego nie można było na naszej stronie przedsiębrać. Korpus ósmy westfalski, znajdujący się na lewem skrzydle naszym już mocno ucierpiał od jazdy i artyleryi rosyjskiej i w stanie bliskim rozsypki się znajdował. Żadnej więc pomocy z jego strony nie można się było spodziewać.

W tej ważnej chwili, książę Poniatowski, chcąc się ze swojej strony przyczynić do zwycięstwa, nakazał atak piechoty na Mamelon, stanowiący oparcie nieprzyjacielskiego kor-



pusu generała Tuczkowa. Szef brygady Maciej Rybiński, na czele jednego batalionu piętnastego pułku liniowego, zaszedł od prawego skrzydła i szybkim natarciem opanował go, spędziwszy nieprzyjacielską piechotę, mianowicie pawłowskich grenadyerów i 13 dział zdobywszy, utrzymał się na wzgórzu blisko przez kwadrans. Stąd jak na dłoni wszystkie pozycje nieprzyjaciela jasno się wydawały. Gdy jednak druga linia nasza, pod generałem Kniaziewiczem, żadnego kroku nie uczyniła dla wsparcia tego ataku; szef batalionu Rybiński, nie zdołając się z jednym osłabionym batalionem dłużej opierać nacierającym zewsząd rezerwom rosyjskim, mianowicie pułkom grenadyerskim, petersburskiemu, ikaterynosławskiemu Krakcejewa i leibgrenadyerskiemu, i pułkom muszkieterskim, Willmanstrand i Biełozersk, prowadzonym osobiście przez generała korpuśnego I. Tuczkowa, wziął sam orła w ręce, i uformowawszy kolumnę, przedarł się przez nieprzyjacielskie bataliony, utraciwszy 300 walczących. W tej to walce generał Tuczkow śmiertelnie został raniony. Tym sposobem ruch ten stanowczy, że tylko jednym batalionem wykonany, bez wsparcia rezerwy, nie mógł się udać. Wykonany przez całą dywizję 16-tą i wsparty 18-stą, byłby za sobą inne pociągnął skutki.

Ile razy zdarzyło mi się widzieć księcia Poniatowskiego, zawsze wprowadzał bataliony pojedynczo w ogień, gdzie sam rycerską swoją piękną postawą odznaczał się od wszystkich; nigdy nie pamiętam jednak, aby kilka batalionów od razu wysłał z rezerwą, albo z drugą linią w odwodzie. Był to błędny zwyczaj, z austriackiej szkoły przyjęty, który nie wiele dokazawszy, tępił naszą piechotę.

Nieprzyjaciel spędziwszy Rybińskiego zajął napowrót Mamelon i uwięciwszy go sześcioma działami pozycyjnymi, wytrwał w tej pozycji do godziny 3-ciej po południu. Ogień artylerii i tyralierów z obydwóch stron rozpoczął się na nowo, tak jak przed tym atakiem, bez widocznej korzyści z naszej strony.

Około godziny 3-ciej dopiero księżę Poniatowski, naglony rozkazami cesarza, postanowił wszystkimi siłami ponowić odparty atak. Uformowawszy obydwie dywizje w ściśniętych kolumnach, prowadził je sam na Mamelon, i wsparty z boku jazdą, szybkim uderzeniem zdobył go po raz drugi i artylerję uwięcizył. Dowodzący po Tuczkowie, generał Baggowuth, na próżno się starał odzyskać utracone stanowisko. Wreszcie ruch wsteczny głównej armii jemu także nakazywał odwrót. Wykonał go porządnie, nie wiele party od naszej piechoty, i zajął nową pozycję, o dwa wystrzały armatnie od pierwszej. Dywizje nasze przepędziły noc w zdobytej pozycji, nie zaniedbując wszelkich ostrożności, jakie nakazywała bliskość nieprzyjaciela, spodziewano się bowiem nazajutrz odnowienia bitwy. Lecz wojsko rosyjskie zatrzymawszy się do wieczora w pozycji odwodowej, cofnęło się w nocy pod sam Mołajsk.

Strata nasza w dniu 5. września wynosiła około 2.000 ludzi w zabitych i rannych. Piechota nasza o 6.000 ludzi pod bronią zmniejszoną została. Jazda nie wiele ucierpiała. Z oficerów wyższych pułkownik 8-go pułku piechoty, Stuart, utracił nogę; szef brygady artylerji, Daret, waleczny żołnierz, ugodzony kulą armatnią w nogę, po odbytej amputacji, w klasztorze kotolskim życie chwalebne zakończył.

W czasie bitwy, znajdując się w sztabie księcia Poniatowskiego, wysłany byłem z rozkazami po kilka razy do naszej piechoty i do baterji pozycyjnej, i równo z innymi podzielałem niebezpieczeństwo tego pamiętnego dnia. W czasie, gdy ogień zdawał się wolnieć, z ołówkiem w ręku rysowałem pozycję naszą, a w miarę postępu naszego i nieprzyjacielską.

Nazajutrz, to jest 8. września, około godziny 10. z rana dokończywszy planu bitwy z naszej strony, ciekawy byłem rozpoznać pole bitwy wielkiej armii; przechodząc od prawego skrzydła ku środkowi, znalazłem w miejscu, zajętem przez ósmy korpus westfalski, ślady niepowodzenia wczorajszego; leżało po krzakach wiele trupów westfalskich z rozmaitych pułków. Wstąpiwszy na pole, tam gdzie wysypały trzy szanice



oznaczały środek rosyjski, przedstawiał się zdziwionym oczom moim widok, którego okropność przeszła oczekiwanie. Na przestrzeni tylko 1500 sążni wzdłuż i tyleż wszcz, leżały trupy ludzi i koni pobitych, strzaskane łoża, wozy amunicyjne i broń ręczna tak gęsto, jak mi się później nigdy nie zdarzyło widzieć, nawet w bitwie lipskiej. Śmierć tu odbyła okropne żniwo swoje. Leżeli tu zmieszani Francuzi z Rosyanami; świeże ich rany szczególnie od kul armatnich, w rozmaitych postaciach, przerażały umysł nie dość zahartowany na takie widoki. Osobliwie w bliskości szaniec powyższych i wielkiej baterii zamkniętej na lewo Borodyna, widoczne były ślady najzaciętszej walki. Rowy literalnie wypełnione były poległymi, a przystęp do nich zasłany również trupami tak, iż po nich sądzić było można o kierunku nacierających kolumn. Przy borodyńskiej baterii, której przedpiersia od kul i granatów zatarte i od kopyt nacierającej jazdy zdeptane były, widać było olbrzymie postacie kirasyerów francuskich, saskich i polskich, którzy niesłychanem w dziejach jazdy natarciem, szaniec ten zdobyli. Jakiś dziwny wyraz namiętności i odwagi jaśniał jeszcze na tych, ranami zoranych i skurczonych twarzach. Tu zginęli generałowie Montbrun i Caulinwurt na czele swoich żelaznych hufców. Oznaczały się także ogromnością ciała pobitej gwardyi i jazdy rosyjskiej, leżącej na linii bojowej.

Na tem to poboju stąły zwycięskie bataliony francuskie, kurzem wczorajszym jeszcze okryte, z ustami poczerwonionymi od prochu, z bagnietami gdzieniegdzie od kul skręconymi, w znacznie przerzedzonych rotach. W niektórych naliczyłem ledwie po 200 ludzi obecnych koło orła, lecz orzeł świetny po takim zwycięstwie, wśród takiego spustoszenia pięknie odbijał nad temi ogorzałemi twarzami. Jeszcze wiele rannych nie opatrzonych leżało pomiędzy poległymi. Tych wyszukiwano i odnoszono w tył batalionów. — Również i jazda w słabych szwadronach po kilkadziesiąt ludzi tylko, uszykowana stała na polu bitwy. Straty, jakie poniosła, dotkliwi-

szemi jeszcze były aniżeli piechoty. I tak na przykład brygada ciężka generała Theilmana, z dwóch pułków kirasyerów saskich i 14-ego polskich kirasyerów złożona, straciła tegoż dnia 41 oficerów i 500 żołnierzy w zabitych i rannych.

Wedle wiadomości powziętych na miejscu, nie zaś podług kłamliwego 18. buletynu, strata z francuskiej strony doszła do 40.000 ludzi zabitych i rannych; pomiędzy ostatnimi było 30 generałów. Zginęli generałowie: Montbrun, Caulinwurt, Plauzonne, Huart, Compère, Marion, Lanabère i hr. Lepel. Między rannymi znajdował się marszałek Davoust.

Ze strony rosyjskiej przyznano 50.000 ludzi całej straty (ob. Buturlina). Zginęli lub z ran umarli: generałowie Bagration i Tuczok I, Kutaisow i Tuczok IV.; prócz tych mieli 9 generałów rannych. Pod tym więc względem porównując stratę jazdy, Francuzi więcej ucierpieli; ostatnia bowiem nie łatwo dała się powetować.

W tak krótkim czasie i na tak małej przestrzeni najstarsi wojskowi nie pamiętali tak wielkiego pogromu, a nawet bitwa pod Ellau w żadne z Mołajską nie może iść porównanie; ta bitwa za najkrwawszą od czasu wynalezienia prochu uważaną być może.

Piechota rosyjska nazajutrz znajdowała się w zupełnej dezorganizacyi i wedle wszelkich wiarogodnych podań prawie wszystkie bataliony były rozprężone i pomieszane, i gdyby nie karność nadzwyczajna tego wojska i pomoc kozaków, najokropniejsze stąd skutki dla Rosyi wynikać mogły. Francuskie wojsko tak ciężkiej próby nie byłoby wytrzymało; dowodem przegrana Waterloo. Kilka dni po bitwie piechota rosyjska, nie będąc pogonią parta, przyszła do należytego porządku; i wszędzie, gdzie nam stawiała czoło, z równą jak pierwiej potykała się stałością, żadnego chorego, ani marudera nie zostawiając za sobą.

W piechocie francuskiej uskarżano się na straty od szrapneli, gatunku kul wydrążonych, które nabite prochem, pękając rozrzucają ołowiane kule na podobieństwo kartaczy.



Ten nowy rodzaj pocisków udzielony był Rosyanom przez Anglików.

Dnia 8. września około południa, furazery nasze, szukając strawy dla koni w pobliskich wioskach, napadnięci zostali od kozaków, którzy ich spłoszyli i do obozu zapędzili. Powstał stąd zgiełk i wołanie do broni, które się powtórzyło na linii francuskiej; lecz wkrótce dowiedziano się o przyczynę tego alarmu i wszystko do spokojności wróciło.

Wrażenie, jakie bitwa możajska po sobie żołnierzowi zostawiła, nie było wcale pocieszające; po tylu stratach w pochodach i w bitwie, jakież to były odniesione korzyści, gdzież chorągwie, gdzie działa zdobyte, gdzie niewolnicy? Podobnych trofeów armia prawie żadnych nie zdobyła, prócz kilkadziesiątu dział zdemontowanych, zostawionych w szańcach. Na tem cała korzyść! Wojsko rosyjskie na pozór nienaruszone, nie straciwszy ani jednego polowego działą, zniknęło z naszych oczów pod zasłoną lekkiej jazdy, zostawiając Napoleona w niepewności, czy nie raczej ku Kałudze aniżeli ku Moskwie obróciło się. Zamiast więc radości pewien rodzaj osłupienia ogarnął umysły wojska. Odtąd przestano o powodzeniach myśleć, i tylko nowe trudy i przyszłe klęski zaczęły się marzyć.

Dnia 8. września przed wieczorem zaczęliśmy posuwać się zwolna za cofającym się nieprzyjacielem i wkrótce wynużywszy się z zarośli na otwarte pole, ujrzelśmy jego straży tylną na pochyłości pod miastem Możajskiem, ucierającą się z francuską jazdą. Ze stanowiska naszego widziałem dokładnie uszykowane linie jazdy rosyjskiej, zakryte chmurą kozaków, a w dolinie po za Możajskiem tłumy piechoty, szybko ustępujące z liczną artyleryą i powózkami. O pół mili od Możajska, 5. korpus rozpałił swoje ognie i urządził się na noc. Nam szczęśliwym trafem dostała się pieczeń barania, dość rzadki specyał podówczas, kiedy wojsko na pobojuwisku zabite konie już piekło.

Następnych dni książę Poniatowski, zajmując zawsze prawe skrzydło wielkiej armii, posuwał się ku Moskwie, nie

spotykając nigdzie innych większych oddziałów prócz natrętnych zawsze kozaków, na Fomińskie dnia 9-go września, gdzie dostaliśmy się na trakt, z Kaługi przez Borowsk prowadzący ku Moskwie.

Na tej drodze zwolna postępując nie doznaliśmy żadnego oporu i z większą aniżeli wprzód łatwością, potrzeby nasze z kraju wybieraliśmy. Z Fomińskie szliśmy na Burtowo, Charopowo i dnia 13. obozowaliśmy pod Łyhową o 22 wiorst od stolicy. Wielka armia postępowała jak zwykle, w jednej kolumnie głównym traktem smoleńskim. Wicekról włoski ze swoim korpusem siedł na Rouzę i Zwenigród.

Zdawało się wszystkim, iż Kutuzow bez stoczenia drugiej bitwy nie wpuści nas do stolicy. Jakoż w rzeczy samej przygotowania do niej porobił w obozie, który mocnymi szancami obwarował. Lecz to była tylko zręczna demonstracya dla pokrycia ważniejszego planu. Tu bowiem postanowił opuścić stolicę, wyprowadzić z niej mieszkańców, i zwrócić się z całą armią na trakt kałuski, skąd zagrażał komunikacyi ze Smoleńskim.

Rostopczyn, gubernator Moskwy, spalaniem miasta uzupełnił ten plan, tak dla nas zgubny; nie tylko nas bowiem pozbawił zasobów tego zamożnego miasta, lecz winę spalenia Moskwy na nas złożywszy, wystawił nas w oczach narodu ruskiego za barbarzyńców, za podpalaczy i gwałcicieli wszelkich praw ludzkich i boskich, i przez to klasy nieoświecone narodu podburzył do wojny świętej za religię i cara.

W tym stanie rzeczy dnia 14. września otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia ze stanowiska pod Łykową i zbliżenia się ku stolicy. Wszelkie zachowano ostrożności w tym marszu, każdy się bowiem tego dnia bitwy spodziewał. O 10 wiorst od miasta natrafiliśmy w bok drogi na pole, najdzwyczajnie piękną marchwią zasadzone, którą wielu nas zasiłiło się, nie myśląc o tem, iż za dwie godziny wynosić nam będą ananasy i konfitury kijowskie z pałaców opuszczonych bojarów rosyjskich. Lasek nie wielki zakrywał nam jeszcze widok stolicy.



Wychodząc z niego na wzgórze, zwane Worobiejskie gory, czyli Góra wróbli, przedstawiła nam się nagle panorama tego ogromnego miasta. Każdy z nas uderzony tym nadzwyczajnym widokiem, zatrzymał się i zawołał z radością i zachwyceniem: Moskwa! Moskwa! otóż cel naszych usiłowań.

Nim przystąpimy do opisanja dalszych zdarzeń, nie zawadzi kilka słów poświęcić samemu miastu.

Widok Moskwy zdaje się być nowym i dzi-  
Opis Moskwy. kim dla każdego cudzoziemca. Olbrzymie to miasto zabudowane jest nieregularnie i ma kształt prawie okrągły. Wystawione było bez żadnego planu i porządku na wzgórzach pomiędzy rzekami Moskwą i Negliną. Tu widać ogromne budowle, zajmujące tyle miejsca, ile niektóre miasta prowincjonalne; tam kościoły i kaplice wybudowane w najdawniejszym stylu bizantyjskim, obok lichych domów drewnianych, a częstokroć puste place zarosłe trawą i krzewinami; stąd pochodzi wyrażenie się księcia de Ligne o Moskwie, iż zdaje się, jakby paręset bojarów zabrało się z pałacami swymi wiejskimi i okolicznymi siołami i mieszkańcami, i tu za umówionym znakiem osiadło razem. Ulice są długie, szerokie, lecz zawsze kręte i źle brukowane; po przedmieściach znajdują się i takie, które nakształt gościńców i grobel, pokładane są deskami przybitemi do belek. Około każdego prawie domu czy pałacu, a osobliwie na przedmieściach, leżą wielkie ogrody angielskie lub warzywne, które całemu miastu postać ogromnej raczej wsi, jak miasta europejskiego nadają. Wśród tej zieleni błyszczy tysiąc kopuł i wież pozłacanych nakształt małych balonów. Obwód miasta Moskwy jest większy od obwodu każdego innego miasta, wyjąwszy Londynu, ma bowiem 40 wiorst czyli 6 mil w rozwinięciu. Ludność jego nie odpowiada tak wielkiej przestrzeni; licząc ją w lecie do 300.000, a w zimie do 400.000 dusz, Różnica ta stąd pochodzi, iż panowie moskiewscy mieszkają tylko w zimie w mieście i sprowadzają z sobą liczne orszaki, tudzież, iż zwyczajem jest po prowincjach,

cyach, zjeżdżać się zimą dla dogodnej sannej drogi do miasta i tam kończyć wszystkie interesa.

Niemasz zapewne żadnego miasta, któreby miało tyle kościołów, kaplic i klasztorów co Moskwa. Sorok soroków, czyli 40 razy 40, lub 1.600, jest liczba przyjęta pomiędzy ludem dla oznaczenia ilości kościołów i kaplic w Moskwie. Rzeczywiście liczba kościołów do 400 dochodzi, monasterów 21, kaplic 640. Wszystko jest budowane na jeden sposób; kaplice jak i kościoły mają po pięć kopuł; największa znajduje się w pośrodku czterech innych, które stanowią czworobok. Kopuły te obite są cynkiem, miedzią, blachą i malowane rozmaitymi kolorami, lub też czasem pozłacane, albo gwiazdami złocistymi obsypane, co sprawia osobliwszy widok, skoro słońce rzuca na nie swoje promienie.

Miasto Moskwa budowane było na wzór miast azyatyckich i dzieli się na cztery części:

Pierwsza część zowie się Kremlin, które nazwisko pochodzi ze słowa tatarskiego *krem* albo *krim*, znaczącego forteca. Zajmuje środek miasta tudzież część jego najwyższą; ma kształt doskonałego trójkąta i otoczona jest z jednej strony rzeką Moskwą, z drugiej rzeką Negliną, a z trzeciej murem, mającym po bokach okrągłe i kwadratowe wieże, a uwieńczonym koroną z strzelnic. Kremlin składa się z samych pałaców, gmachów i kościołów; wznosi się pomiędzy nimi pałac carów. Jest to ogromne zabudowanie, składające się z kilkunastu oddzielnych części, bez żadnego planu wystawionych. Szczyt jego, nad którym wznosi się kilkanaście małych, pozłacanych globów, dziwny przedstawia widok. Wchodzi się do pałacu wielkimi kamiennymi schodami, zwanymi krasnoje kryłso, czyli czerwone schody, idącemi ukośnie i źle urządzonemi, lecz bardzo sławnemi zabójstwem Naryszkinów, tudzież wielu innych bojarów moskiewskich, których strelicowie ze świata sprzątnęli. Pokoje są małe co do obszerności, nie masz w nich nic znakomitego prócz sali audyencyjonalnej, w której przyjmowano niegdyś wielkich posłów. Za panowa-



nia Pawła I. odnowiono i wyporządkowano pokoje, lecz napró-  
żno usiłowano uczynić je godnymi jakiego monarchy. Sam  
tylko skarbiec zasługuje na niejaka uwagę. W bliskości sta-  
rożytnego pałacu carów znajduje się gmach, zwany grano-  
witaja pałata, którego konstrukcyja dziwaczna i azyatycka  
bardziej zadziwia jak pododać się potrafi. Należy do najda-  
wniejszych pomników tego starożytnego grodu i czasy Iwana  
Groźnego dobrze przypomina. Oprócz tych gmachów potężnych  
Kremlin zawiera tylko kilka cerkwi i monasterów, mianowi-  
cie: katedrę Wniebowzięcia, Uspenskij sobor, monaster tzu-  
dowski, monaster woznesenski, kościół Archanioła Michała  
i sławną wieżę św. Iwana, która jak olbrzym panuje nad  
całym Kremlinem i blaskiem połączanej kopuły do balonu  
podobnej, z wielkim błyszczącym krzyżem u wierzchu o kilka-  
nastu wiorst postrzegać się daje. W tej sławnej wieży widać  
także dzwon, mający 40 stóp i 9 cali obwodu, a ważący  
3.531 pudów, czyli 142.040 funtów. Dawniej w pobliskiej  
dzwonicy był taki dzwon, który ważył 12.000 pudów, czyli  
432.000 funtów, lecz w roku 1737 w czasie pożaru dzwonicy  
urwał się i utkwiał w ziemi, skąd go dotychczas jeszcze nie  
wydobyto. Wspomnieć tu jeszcze trzeba o sławnej bramie  
Spaskiej, czyli Zbawiciela, prowadzącej z Kremlina do pię-  
knego rynku czerwonego (krasnaja płoszczad), przez którą  
nikt, sam car nawet nie przechodzi, nie odkrywwszy głowy.

Druga część nazywa się Kitaj gorod, czyli Chińskie mia-  
sto, przezwane w ten sposób od czasów Mongołów, mających  
jak wiadomo stosunki z Chinami. Ta część dość foremnie  
i prawie tylko z kamienia zbudowana, rozciąga się pomiędzy  
rzekami Moskwą i Negliną, i odgraniczona od Kremlinu murem,  
wyżej opisanym. Wchodzi się do niej z Kremlinu Spaską  
bramą. Część ta nierównie jest większa od pierwszej, znajduje  
się w niej: drukarnia, giełda i wszystkie sklepy kupieckie na  
dole pod arkadami w obszernym budynku, zwanym Gostinnoj  
dwor. Do najpiękniejszych ozdób tej części miasta bezwątpie-  
nia należy kościół Wasili błagennoj (błogosławionego Bazyla),

o kilka kroków bramy Spaskiej, w południowej stronie czer-  
wonego placu (krasnaja płoszczad) położony, który po Krem-  
linie najbardziej zwraca na siebie uwagę i najważniejszym  
jest zabytkiem z czasów Wasilów i Iwanów; niemniej zasłu-  
gują na wspomnienie brązowe pomniki Minina i Pożarskiego,  
tych dwóch dzielnych obywateli, którzy, gdy cały naród pod-  
dawał się władzy Władysława IV., obudzili w nim ducha na-  
rodowego i na czele zebranych na przodce hufców walcząc,  
odparli naszych przodków.

Trzecia część nazywa się Biełgorod czyli białe miasto,  
które to imię pochodzi od dawnego muru z kamieni białych,  
którym była otoczona, a którego widać jeszcze niejaki ślady.  
Stanowi ona granicę Kremlina z jednej strony a Kitajgoroda  
z drugiej. W tej części leży gmach uniwersytetu i mnóstwo  
kościółów; również znajduje się ogromny gmach, przeznaczony  
na schronienie i wychowanie sierot i podrzutków.

Nakoniec czwarta część, która otacza wszystkie inne,  
jest Zemłoj gorod, czyli miasto ziemne, tak nazwane z po-  
vodu szanów, które je otaczają. Oprócz tego znajdują się  
jeszcze słobody, czyli przedmieścia, których jest trzydzieści.  
Wyjawszy kilka kościołów i pałaców, reszta wydaje się jakby  
wioski, do których żadne interesa nie sprowadzają cudzo-  
ziemca, chyba czasem tylko do przedmieścia nazwanego Nie-  
miecką Słobodą, gdzie mieszkają rzemieślnicy zagraniczni.

Rzeka Moskwa płynie przez miasto, któremu dała swoje  
nazwisko. Spławna jest tylko na wiosnę, albowiem natenczas  
roztopy śniegów i deszcze zimowe wzbierają jej wody; w in-  
nym zaś czasie samemi tylko tratwami płynąć po niej mo-  
żna. Neglina i Zura, wpadające do rzeki Moskwy w samem  
mieście, są małymi strumykami, które w lecie zupełnie wy-  
sychają. Na tych trzech rzekach znajdujemy wiele mostów  
drewnianych i kamiennych, dla ułatwienia związku pomiędzy  
różnymi częściami miasta. Po za murami i okopami tego ol-  
brzymiego miasta znajdujemy jeszcze wiele monasterów i pa-  
łaców. Pomiedzy niemi odznaczają się pałac Petrowski, mo-



naster Nowoj Dewicze, od którego ogromy plac przy nim leżący Dewicze pole przezwany; monastery Matki Boskiej Dońskiej, św. Daniela, św. Simona, Nowospaskoi, Pokrowskoi, Androniew i inne, które prawie wszystkie obwiedzione są murami i przypominają walki z Tatarami i Polakami.

Ulice w Moskwie utrzymywane są bardzo nieczysto, czemu winien niedostatek bruku w wielu miejscach; zewnętrzna postać domów niema żadnego gustu i upstrzona jest rozmaitemi ozdobami, kolumnami, frontonami, posagami, nasładowanymi ze stylu greckiego i t. p. W domach bojarów, możniejszych panów, przepych największy; znajdujemy w nich obszerne biblioteki, muzea obrazów, zbiory kosztownej broni, gabinety medalów, sale koncertowe, teatralne; oranżerye, treibhauzy, ananasarnie; stajnie i wozownie napełnione są wschodnimi i angielskimi końmi i powozami. Ludność służebna takiego domu składa się czasem z kilkuset osób obojej płci, w ubiorze codziennym muzyków, prowadzących życie najgnuśniej, których stan niewoli przywiązuje na zawsze do familii bojarskiej, w której zapisani.

Miasto Moskwa, chociaż o sześć stopni bliżej południa leży, aniżeli Petersburg, doznaje jednakowoż tak tęgich mrozów jak i to miasto. Są takie zimy w których cieplomierz Reamura pokazywał 30 do 32 stopni niżej zera. Największy upał dochodzi do 32 stopni. Lato jest daleko piękniejsze aniżeli w Petersburgu i przez cały ciąg roku mniej deszczu pada.

Mieszkańcy Moskwy zachowali narodowy skład twarzy i ubiór. Lud prosty »czornoj narod« (czarny naród) przezwany, co do sposobu życia i ubioru w niczem się nie różni od zwykłego muzyka (chłopa), czyli krestianina; cała jego familia mieszka w jednej izbie ogrzanej, albo raczej okopconej dymem. Żywność ich jest także jednakowa; składa się z suszonych ryb, suchych grzybów, chleba, ogórków, kapusty, czosnku, a w dnie świąteczne z mięsa, pirogów; lubią pić kwasy i herbatę, posty ściśle obserwują i w czasie tychże mleczywa ani jaj nie używają. Łóżek nie znają; w zimie na

piecach, w lecie na ławkach sypiają, wszyscy prawie nałogowo pijaństwu oddani. Kupecy i mieszczenie (grażdanin), mieszczą wygodniej, ubiór noszą długi azyatycki, nakształt kaftana z sukna (podczas gdy chłopci w zimie w kozuchach, w lecie zaś w płóciennych kolorowych bluzach, ściśniętych pasem, chodzą); brody długie zachowują jak i chłopci; co do stołu, te same mają przysmaki co i pierwsi; u możniejszych znaleźć można najprzedniejsze wina greckie, wędliny, ryby wytworne, kawior, drogie herbaty i t. d. i t. d. Narodowe potrawy i napoje mają jednakże u nich pierwszeństwo.

Żony ich najnieczynniejsze prowadzą życie i rzadko się pokazują. Stosunek ich do męża jest prawie podobny do stosunku kobiet na wschodzie. Namiętnie lubią tak jak one kąpiele parne, widowiska i przepych w ubiorach.

Jest rzeczą pewną, iż już w roku 1147 kronikarze wspominają Moskwę, która od założenia swego różnych klęsk doznawała. Pod panowaniem Dymitrego Dońskiej roku 1366. panowało powietrze, które większą część ludności wytepiło. — W tym samym roku pożar okropny obrócił w perzynę części miasta Kremlinu, Popad, Zagorodie i Zareckie, z drzewa ówczesnie zbudowane.

Pod tym samym wielkim księciem, roku 1382. Toktymowicz, chan tatarski, zdobywa podstępem Moskwę i płomieniom na pastwę oddaje.

Roku 1547. pod panowaniem cara Iwana IV., Moskwa prawie zupełnie zgorzała, a w roku 1602. za panowania Borysa Godunowa, okropnego głodu doznała; 127,000 ludzi padło ofiarą.

Lecz najokropniejszą klęskę poniosła Moskwa od Polaków pod Gąsiewskim dnia 29. marca 1611 roku, którzy dla obrony własnej od zbuntowanego ludu podpalili miasto, a sami w Kitajgorodzie i Kremlinie się obwarowali. Reszta miasta poszła z dymem w przeciagu trzech dni. Do 100.000 mieszkańców różnego stanu i wieku, śmierć w gruzach znalazło.



Roku 1771, za panowania Katarzyny II., powietrze miasto nawiedziło i okropne w ludności sprawiło spustoszenie, bo 50.000 ludzi wymarło. — Nowa a może większa jeszcze klęska miała to miasto pochłonać. Dnia 14. września około godziny 2. popołudniu weszliśmy do Moskwy przedmieściem kałuskim. Dywizya jazdy w przedniej straży, piechota w porządku za nią. Postępowano z wolna, z wszelkimi ostrożnościami, które nakazywało położenie nasze. Część miasta, którą przechodziliśmy po większej części była drewniana, z lichych niskich domków złożona. Przedmieście było nierównie piękniejsze. Po obu stronach szerokiej drogi, w pięknych malowniczych ogrodach i podwórzach widać było przepyszne dworce bojarów rosyjskich. Lecz jak pierwsze tak i ostatnie były zupełnie wyludnione. Gdziekolwiek tylko widzieć było można policyantów lub muzyków moskiewskich z otrętwiałą lub pijaną twarzą, snujących się po ulicach i przypatrujących ciekawie naszemu wojsku. Przednia straż zbierała pojedynczych żołnierzy ruskich, także pijanych lub znużonych, którzy się odłączyli od swoich pułków, i tych pod straż piechoty oddawała.

Nie dochodząc do Biełgorodu spotkaliśmy naprzeciwko nas jadącego w doróżce wyższego oficera rosyjskiego w mundurze bez szlif i bez szpady, okrytego ozdobami i krzyżami, który nam się zdał na łaskę. Nazwał się księciem Wisapur i mianował się pułkownikiem w odstawce. Sposób zdania się jego i nazwisko dziwnie indyjskie, wzbudziło nieufność. Oddano go pod straż i polecono kapitanowi inżynierów Valentin d'Hauterive, aby miał nad nim czujne oko. Nazajutrz dowiedzieliśmy się, że był właścicielem pięknego domu w Moskwie. Zaprowadził doń kapitana d'Hauterive i pod jego okiem kosztowniejsze rzeczy z domu swego pozabierał, konia pięknego perskiego dozorca swemu darowawszy. On to pierwszy objaśnił nas względem zamiaru wyludnienia miasta i spalenia onegoż na rozkaz gubernatora, hrabiego Roztopczyna. Tego samego już wieczora skutki tego rozkazu w odleglejszych od

nas częściach miasta dały się uczuć. Z Góry wróblej widzieliśmy kłęby dymu wznoszące się na przedmieściach; te pochodziły z wysadzonych magazynów prochowych i pracowni ogni wojennych, które artylerya rosyjska przed wyjściem zapaliła. W nocy pojedyncze pożary dowodziły coraz bardziej, iż zamiar spalenia miasta nie był urojonym. Przy łunie tych ogni przepędziliśmy noc na przedmieściu Riazańskim, nie rozbierając się i zachowując wszelką ostrożność. Żołnierze nasi, obficie opatrzeni w żywność w domach bojarskich zdobytą, całą noc gotowali i posilali się. Niektórzy herbatę gotowali gęsto i słoniną krasili, inni rozsądniejsi, o przyszłość pamiętniejsi, w pożywniejsze wiktuały zaopatrywali się. Nad ranem wszedłem w środek miasta i znalazłem się w Kitajgradzie, wśród żołnierzy gwardyi francuskiej, wytaczających beczki wina z piwnic i dobrze już podochoconych. Około godziny 9. z rana dostałem się Spaską bramą do Kremlinu, i kupca rosyjskiego spotkawszy, dałem mu się oprowadzać po gmachach carskich. O godzinie 10. cesarz z gwardyą przyboczną wszedł do Kremlinu. Widok tak pięknego wojska wprowadził w zdumienie mego przewodnika. Obejrawszy się w tej części miasta, udałem się do gościnnego dworu, czyli bazaru, gdzie były składy opuszczone kupców rosyjskich. Pożary pojedyncze coraz groźniejszymi się stawały; już ogień podłożony przez policyantów i złoczyńców, wypuszczonych w tym celu z więzień, zbliżał się do bazaru. Korzystając z chwili, gdzie jeszcze przystęp był wolny, wszedłem do sklepów i pierwsze lepsze futro z wilków i cokolwiek żywności w herbacie, cukrze, kawie, krup i ryżu zabrawszy, powróciłem do stanowiska naszego na przedmieściu Riazańskim, około południa. Zastałem tam wojsko nasze pod bronią, sposobiące się do dalszego pochodu. Wielu oficerów i żołnierzy nosiło na sobie ślady nocnych bankietów. Nawet generał naszej artyleryi Pelletier i oficerowie francuscy: Mallet, Bontemps i inni dobrze podochocony byli i w bulliotę grali. Dowiedziałem się, że całą noc ponczem z araku i ananasów posilali się. Pelletier ciągle wołał »pić«



i szklanki nie puszczał z ręki. Nasz jeniec wczorajszy, książę Wisapur dzielił tę ochotę, wszakże przytomniejszym zdawał się od drugich i pilnie uważał na każde słowo. »Kiedy ujrzę tego wielkiego człowieka!« co chwila powtarzał i prosił, ażeby go do głównej kwatery odprowadzono, ażeby się mógł widokiem Napoleona nasycić. Tak dziwne żądanie w tej chwili wzbudziło jeszcze bardziej podejrzenie. Uczyniono jednak za-  
dość jego życzeniu i w rzeczy samej odprowadzono go do sztabu głównego cesarskiego. Nie wątpiliśmy, że był szpiegiem zostawionym przez Rosyanów, dla uważania naszych poruszeń. Później okazało się jednak, żeśmy się na nim omylili. Po wyjściu bowiem Francuzów z Moskwy, wróciwszy do swoich został aresztowany, pod sąd oddany, i nieostrożność swoją w stosunkach z nami przyplacił wysłaniem na Sybir.

Dnia 15. września o godzinie 3. popołudniu wyruszyliśmy w pochód za ustępującym przed nami wojskiem rosyjskim. Król neapolitański objął komendę nad przednią strażą francuską i nas do tejże wcielił. Jenerał Sebastiani po śmierci jenerała Montbruna objął dowództwo nad jego korpusem jazdy, a w miejsce jego jenerał dywizji Lefebre Decenotte, pułkownik strzelców konnych gwardyi, otrzymał komendę naszej dywizji jazdy, złożonej z 4. i 5. pułku strzelców konnych, z 13. huzarów i 12. ułanów, i baterii o sześciu działach artylerii konnej. Postępowaliśmy traktem riazzańskim ku Pankom i Bronicy. Marsz nasz oświecała łuna pożaru Moskwy. Widziałem tylko początek tego okropnego pożaru, nie-mógłbym więc jako świadek naoczny opisać zdarzenia, które tak wielki wpływ wywarło na losy tej wojny. Segur, Champray i Buturlin wyczerpali w swoich opisach wszystkie szczegóły tego wypadku; odsyłam czytelnika do tych dzieł. Nie-masz w nich nie przesadzonego.

Pożar trwał przez dni: 16. 17. i 18. września z gwałtownością niepohamowaną, pomimo czynnego ratunku ze strony Francuzów. Lecz uprowadzenie sikawek przez Rostopczyzna odjęło wszelką możność ocalenia miasta. Dnia 19-go

ogień począł wolnieć; dnia 20. ustał zupełnie. Kremlin ocalony został, lecz dziewięć dziesiątych części miasta zgorzało i połowa kościołów.

Dnia 20. cesarz, którego gwałtowność ognia zmusiła do opuszczenia Kremlina i schronienia się do pałacu Petrowskiego na przedmieściu, mógł wrócić do Kremlina i tam założył swoją główną kwaterę.

Tymczasem Kutuzów poruszeniem swoim na trakcie riazzańskim zwiódł zupełnie króla neapolitańskiego; bowiem dnia 16. przeprawił się przez rzekę Moskwę pod Miaczkowem, i pod zasłoną rzeki Pachry zwrócił się marszem flankowym ku Podolskowi; stamtąd udał się dnia 19. pod Krasnoją Pachrę na trakcie starym kałuskim i stanowisko swoje oszańcował, zostawiwszy naprzeciw Murata korpus z jazdy i kozaków złożony, dla obserwacji jego poruszeń. — Król neapolitański w niewiadomości tego ważnego obrotu posunął się do miasta Bronicy i tam główną kwaterę swoją założył.

Nasz 5. korpus pod Pankami mosty zastał zrócone i naprawiwszy je, postępował dalej ku rzece Moskwie, zasłaniając prawe skrzydło króla Neapolitańskiego.

Mieliśmy przed sobą tylko oddziały kozaków, które zdawały się na to przeznaczone, ażeby nam fałszywy pokazać kierunek pochodu nieprzyjacielskiego wojska. Doszedłszy do rzeki Moskwy król przekonał się o swoim błędzie i zwrócił się ku Podolskowi.

Nie dochodząc do Panków, odebrałem rozkaz pełnienia służby oficera sztabowego przy jenerale dywizji Lefebre Decenotte; zdaje mi się, iż zmiana ta w służbie mojej nastąpiła dnia 16. września.

Jenerał Lefebre Decenotte był człowiekiem młodym, liczył bowiem lat dopiero 35. Znany był w armii z świetnej odwagi, lecz nie uchodził za oficera doświadczonego ani roztropnego. Dał tego dowody w roku 1809, kiedy z kilkoma szwadronami pułku swego strzelców konnych gwardyi przepłynął rzekę Cea pod Benavente w Hiszpanii wobec 4.000



jazdy angielskiej i obskoczony przez nią dokoła, dostał się do niewoli, utraciwszy część pułku. Niedawno powrócił z niewoli angielskiej i tu była pierwsza komenda jego po tym przypadku. W sztabie jego znalazłem kapitana francuskiego Dautan'a, pełniącego służbę adjutanta; kapitana ze sztabu polskiego, Łętowskiego; porucznika adjutanta Alberta Grzymałę i porucznika inżynierów Hincza. Szefem sztabu dywizji był pułkownik Strzyżewski, z kampanii roku 1809 dobrze zasłużony oficer. Brygadami dowodzili: książę Sułkowski i hrabia Tadeusz Tyszkiewicz. Pułkami: 4-tym strzelców pułkownik Dulfuss; 5-tym strzelców Kornatowski; 13-tym huzarów, Tełliński; 12-tym ułanów, Ryszczeński; artylerią konną kapitan Romański. Cała ta dywizja nie liczyła więcej jak 1.600 koni i te już bardzo osłabione.

Dnia 24. września 5. korpus zajął miasto Podolsk; król neapolitański z jazdą i legią nadwiślańską nazajutrz, to jest 25. września, złączył się z nami.

Dnia 28. września stanęliśmy obozem pod wsią Nemczyno, o kilka wiorst od traktu z Podolska do Czarykowa. Przednia straż nasza, złożona z jazdy, posunęła się pod Krasnoją Pachrę; w miejsce, gdzie przed kilku dniami stała w obozie oszańcowanym główna armia Kutuzowa. Jenerał Wasilczukow z huzarami gwardyi i kozakami ukryty za laskiem wbok Krasnoi Pachory, uderzył niespodzianie na dwa szwadrony 5-go pułku strzelców konnych, które się pod obóz podsunęły i zmusił ich do odwrotu. Jazda nasza wsiadła na koń i odparła ten atak. Forpocztę nasze zajęły napowrót wieś Krasnoje. Dywizja jazdy i sztab stanęły we wsi Kuzieniewo. Główny trakt z Moskwy do Kaługi przechodzi przez Krasnąją Pachrę. Rzeka Pachra zakrywała to stanowisko obronne. Wielka reduta zamknięta na wzgórzu i dwie mniejsze baterie po prawej stronie reduty usypane, utwierdzały to z natury mocne stanowisko. Dwa laski na prawym skrzydle i głęboki parów przed redutą położony zakrywał front i skrzydło prawe. Łąka

bagnista po lewej stronie reduty, z tej strony także broniła przystępu.

Kutuzow w tem stanowisku nie tylko że mógł dzielny dać opór głównej armii francuskiej, lecz naprowadziwszy na nią króla neapolitańskiego, który miał przy sobie tylko trzy dywizje polskiej piechoty, około 9.000 ludzi i 10 do 11.000 jazdy, mógł ciężką zadać mu klęskę. Lecz ostrożny wódz nie chciał przebudzać Napoleona ze snu, dla Rosyan tak zbawionego, wolał go zostawić przy swoim złudzeniu i czekać, aż mrozy przymuszają go o powrocie myśleć. Opuścił więc oszańcowaną pozycję swoją i cofnął się traktem kałuskim aż do pozycyi, pod strategicznym względem nierównie korzystniejszej, skąd i Kaługę zakrywał i komunikacyom francuskiej armii zagrażał. Pozycja ta wybrana była za rzeką Narą, pod wsią Tarutyno. Tam zgromadziwszy wszystkie swoje siły stanął dnia 2. października obozem, w dziejach wojny osławionym. Stąd pierwszy potężny cios zadał niezwyciężonemu dotąd wodzowi.

Dnia 29-go września piąty korpus wyruszył z obozu pod Nemczyno i posunął się o 7 wiorst Bitwa  
Czarykowska. pod wieś Czaryków, leżącą w małym oddaleniu od głównego traktu kałuskiego. Zastaliśmy tam na pozycji tylną straż rosyjską pod jenerałem Miłoradowiczem i Ottermanem. Król neapolitański, który szedł wprost na Woronowo, spotkał się z ostatnim, 5-ty korpus miał sprawę z jenerałem Miłoradowiczem. Droga z Nemczyna do Czarykowa prowadzi przez las; wychodząc z niego na równinę otoczoną lasami, na której leży wieś Czaryków, ujrzelśmy jazdę nieprzyjacielską w przewyższającej nierównie nas sile, uszykowaną za wsią i sięgającą lewem skrzydłem poza trakt, z Moskwy do Kaługi prowadzący. Wieś Czaryków i lasek po lewej stronie zajmowali strzelcy rosyjscy; artyleria liczna stała na pochyłości w środku. Jenerał Lefebre Decenotte uszykował dywizję swoją w dwie linie, i artylerii konnej kazał odprzodkować. Zaledwie artyleria rozkaz ten wypełniła, nieprzyjaciel ze wszech



stron uderzył na naszą jazdę, lecz silnie odparty został ogniem naszych dział i atakiem dwunastego pułku ułanów i szwadronu piątego pułku strzelców. Po kilkakroć atak ten przypuszczony został z jego strony, lecz zawsze skutecznie odparty; za nadejściem naszej piechoty cofnął się do swego stanowiska za wsią, które dla niego ważnem było, bo zasłaniało wielki gościniec, do Kaługi prowadzący, na którym cała jego armia w masie się znajdowała. Książę Poniatowski rozpoznawszy położenie nieprzyjaciela, wysłał zaraz dwa bataliony dla opanowania wsi i zajęcia lasu; w środku zaś stanowiska swojego kazał postawić kilka dział, obsadziwszy piechotą las wielki za sobą, po prawem i lewem skrzydle. Brygada jazdy Tyszkiewicza z artylerią konną stanęła na prawem skrzydle, ku głównej drodze kałuskiej; brygada księcia Sułkowskiego została w odwodzie bliżej środka. Skoro wieś Czyryków i lasy małe zajęte zostały, nieprzyjaciel trzema pułkami jazdy atak przypuścił do artylerii naszej w środku ustawionej. Lecz książę Sułkowski na czele trzech szwadronów tak szczęśliwie i skutecznie na jazdę nieprzyjacielską uderzył, iż nie tylko ją odparł, ale nadto znaczną klęskę zadał; mianowicie pułkowi ułanów rosyjskich. Wówczas dopiero nieprzyjaciel rozwinął wszelkie swoje siły dla wyparcia nas ze stanowiska. Wieś była kilkakrotnie atakowana, teraz przez świeże wojska, które ciągle z naszej strony odpartymi były.

W lasu także, który liczne kolumny nieprzyjacielskie napełniać zaczynały, gdy niezmiernie w przewyższającej sile, mając przed sobą i po bokach mnóstwo strzelców, brzegów jego doszły i wychodzić na równinę poczęły: rozkazał książę Poniatowski piechocie naszej pójść na bagnety, a księciu Sułkowskiemu z trzema szwadronami z boku uderzyć. Tu nastąpiło bliskie bardzo zwanie się z nieprzyjacielem, który znaczną poniosłszy stratę, odpartym został napowrót ku laskowi. Ogień działowy i ręcznej broni trwał w tem miejscu do godziny 8. wieczór. Nasza piechota brzeg lasu utrzymała. —

Gdy się to dzieje w środku i na lewem skrzydle, nieprzyjacieli w 3.000 koni i 10 dział, nieustannie usiłuje wpaść w prawy bok naszego korpusu, ale waleczność brygady Tyszkiewicza, złożonej z 4. i 12. pułków, oraz dwóch szwadronów 13. pułku odparła wszystkie ataki. Nad wieczorem, gdy już się zmierzchało, jazda nieprzyjacielska ostatni atak z całą siłą, z ogromnym krzykiem przypuściła na front i prawe skrzydło brygady Tyszkiewicza, lecz jazda nasza, zachowując swój szyk nierozrywany i krótkie czyniąc natarcia, nie zapędzając się za daleko, za pomocą artylerii konnej potrafiła utrzymać się na stanowisku. Wrzawa i wzajemne natarcia trwały do godziny 8. wieczór. Noc ciemna i ulewa przerwała bitwę, przez sześć godzin zacięcie trwającą. Z naszej strony straciliśmy 30 oficerów, pomiędzy tymi kapitana artylerii Oskierkę, 160 żołnierzy zabitych i 300 rannych. Nieprzyjaciel około 500 rannych zostawił w naszym ręku, z których wielu tej nocy umarło.

Przez całą noc staliśmy pod bronią, niesłuchanie znużeni i zgłodnieli, bez ognisk dla bliskości nieprzyjaciela. Dnia 30-go września nad ranem nieprzyjaciel zniknął z naszych oczów, zostawiwszy przed nami czaty kozackie. Zaczęliśmy dopiero ogień zakładać i kociołki zastawiać. Wyszuszywszy się cokolwiek oddałem się przez kilka godzin pożądanemu spoczynkowi.

Nazajutrz dnia 1. października wyruszyliśmy traktem kałuskim ku Woronowowi. Piękną tę majątność właściciel hrabia Rostopczyn sam zapalić kazał. Zastaliśmy tylko gruzy i pismo następujące, na słupie przybite:

»Przez ośm lat upiększałem tę majątność, w której żyłem szczęśliwie na łonie mojej rodziny. Mieszkańcy tego miejsca, których liczba wynosi 1730 ludzi, opuszczają je za zbliżeniem waszem, a ja zapalam mój dom, ażeby nie był skalany obecnością waszą. Francuzi! opuśćcie dla was dwa domy w Moskwie i ruchomość, pół miliona rubli wartą. Tu same popioły znajdziecie!«

Podpisano: Fedor hr. Rostopczyn.



Główna armia rosyjska, która do dnia 30. września stała w pozycji pod Babenkowem, o 5 wiorst tylko od pola bitwy czarykowskiej, cofnęła się dnia 1. października o 15 wiorst dalej do Spass-Kuplia i tam stanęła obozem. Miłoradowicz dnia tego, zakrywając odwrót, cofnął się do Babenkowa.

Dnia 3. października generał Sebastiani, który szedł na czele przedniej straży 2. korpusu jazdy, boczną drogą od Woronowa do Spass-Kuplia, bez należytego rozpoznania i oświecenia drogi, napadnięty został niespodzianie przez jazdę nieprzyjacielską. Lekkie pułki przedniej straży przewrócone zostały i pędzone kilka wiorst drogi przez kozaków, którzy im paręset ludzi i koni urwali. Pułk dziesiąty huzarów polskich pod komendą pułkownika Umińskiego i inne pułki do tej brygady należące, zredukowane w poprzednich bitwach, mocno tu ucierpiały. Błąd ten, popełniony przez generała Sebastianiego, nie nauczył go większej ostrożności. Dnia 18. października miał nowy dać dowód swego niedoświadczenia.

Bitwa dnia 4.  
października.

Dnia 4. października król neapolitański zastał tylną straż rosyjską w szyku bojowym nad rzeką Czerniczną, o 5 wiorst od Spass-Kupli. Spotkanie było nader żywe, jazda nasza uszykowana w dwóch liniach z artylerją konną rozłożoną przed frontem, potykała się z największą spokojnością, odpierając ataki licznej jazdy rosyjskiej, bardziej ogniem armatnim i ogniem karabinowym, aniżeli natarciem własnem. Dla wzmocnienia naszej jazdy kilka batalionów piechoty, uszykowane w czworoboki, wysunęły się przed front i ogniem rotowym zniweczyły wszystkie ataki nieprzyjaciela. Piękny to był widok: z jednej strony chmury jazdy rosyjskiej, z różnej broni złożonej, rzucające się nakszałt nawały na nasze linie, a z drugiej spokojność w szeregach naszych, przerywana tylko rotowym ogniem piechoty i jazdy. Tym sposobem jazda nasza, zmęczona i osłabiona tak długim pochodem, a szczególnie bitwą mołajską, ochronioną została. Reszta piątego korpusu na lewym skrzydle francuskim w kolumnach ściśniętych, czekała sposobności uderzenia na

nieprzyjaciela. Lecz tylko artylerja konna kilka razy mogła dać ognia. Bitwa, w której tylko jazda nieprzyjacielska, było jej 5 do 6.000, brała szczególniejszy udział, trwała do późnej nocy. Po ustąpieniu nieprzyjaciela trąby francuskiej jazdy na znak zwycięstwa odezwały się na całej linii.

Okolo godziny 9. wieczorem uciszyło się wszystko i po rozstawieniu czatów zaczęto rozpalać ogień. Nazajutrz dnia 5. października rozpoznałem z bliska nasze stanowisko.

Rzeczka Czerniczna, płynąca w głębokim jarze do Nary, od ujścia w tę rzekę do wsi Ilieny, w długości blisko jednej mili zakrywała front. Prawe skrzydło opierało się o Narę. Wioski: Bielowa, Pałaski, Kaszeja, Petrowa, Iliena, leżały po obydwóch stronach Czerniczny. Od Ilieny strumyk Dzesna w głębokim parowie płynący od wsi Czeczerynki i Dmitrówki do Czerniczny resztę frontu zakrywał. Lewe skrzydło złożone z dwóch korpusów jazdy pod generałem Sebastianim, dochodziło do Czeczerynki i rozłożone było naokoło tej wsi. Artylerja tego korpusu na wzgórzu za wsią ustawiona, bez żadnej asekuracji piechoty, dowodziła niedoświadczenia generała Sebastianiego. Lewe skrzydło było zupełnie, jak to mówić się zwykło, w powietrzu; nie miało żadnego pewnego oparcia i wystawione było na wszystkie przedsięwzięcia śmiałego nieprzyjaciela.

Przed frontem tej pozycji, pomiędzy wsiami Czeczerynką a Petrową na lewym brzegu Czerniczny, jest laszek brzoźowy, 1200 kroków długi a 600 szeroki, na wyniosłości. Na brzegu tego lasku rozłożyła się nasza piechota, artylerja w kącie wyskakującym, jazda po skrzydłach. Tym sposobem piąty korpus znajdował się przed główną pozycją i oddzielony był od niej głębokim parowem. Na prawej stronie był drugi parów, do Czerniczny schodzący, który zasłaniał nas od tej strony. Naprzeciw lewego skrzydła francuskiego i frontu naszego ciągnął się las obszerny, od wsi Dmitrówki ku pozycji przedniej straży rosyjskiej. Ten las leżał z 2000 kroków od nas. Zaniehdano obsadzić go piechotą. Linia widet naszych znaczna była na-



przód wysunięta, w niektórych miejscach o 2000 sążni, a blisko pół mili od nas odległa. Dla wsparcia jej wysłano dwa bataliony 3. pułku piechoty z dwoma trzyfuntowymi armatami, pod komendą walecznego pułkownika Blumera, które zajęły pojedyncze laski w tej stronie leżące. Z tego wysuniętego stanowiska można było jak na dłoni rozpoznać obozy przedniej straży rosyjskiej i opodał od niej, po za wsią Tarutyno, główne obozy wielkiej armii rosyjskiej za Narą. Park artylerii i bagaże 5. korpusu stanęły przy wsi Rogowo, zakryte dwoma parowami i na prędcie zbitymi kobylicami. Batalion piechoty dodany im był ku zasłonie. Cała rozległość frontu naszego od Czeczerynki do ujścia Czerniczny w Narę, wynosiła blisko 1½ mili: oczywiście była za wielką na nasze szczupłe siły. Położenie nasze w tem stanowisku nie było najbezpieczniejsze. Cała nasza siła tu zebrana składała się z 1., 2., 3. i 4. korpusów jazdy francuskiej, zredukowanych do 8.000 koni, z legii nadwiślańskiej 3.000 ludzi, z dywizji Dufoura, 1. korpusu do 2.500 ludzi i z 5. korpusu, złożonego z 5.500 piechoty i 1.500 koni: ogółem 20.500 ludzi, 187 dział, przydanych tej małej sile, obciążęły nas bardziej w pochodzie, aniżeli nam pomagały.

Ten nieliczny korpus, z wyborowego wprawdzie wojska złożony, rzucony był naprzód o 70 wiorst, czyli o trzy marsze od Moskwy, bez żadnej rezerwy. Przed sobą mieliśmy o kilka wiorst tylko główną armię rosyjską, liczącą jeszcze 70.000 ludzi i codzień wzmacniającą się licznymi rekrutami, milicjami i kozakami dońskimi, których 23 pułków starych, pod hetmanem Płatowem przybyło do obozu. Nic łatwiejszego nie było naczelnemu wodzowi rosyjskiemu, jak rozbić nasz mały korpus i zadać mu ciężką klęskę. Lecz nie leżało to w planie przebiegłego starego wodza. Postanowił dać wypoczynek wojsku swojemu; tym sposobem bezpieczniejszymi nas uczynić i przedłużyć nasz pobyt jaknajdłużej pod Moskwą, aż do nadejścia pierwszych mrozów. Wiedział on dokładnie przez jeńców i cudzoziemskich zbiegów o naszym krytycznem

położeniu: wiedział o braku żywności i furażów, a po słabości ataków naszej jazdy, która już nie inaczej, jak tylko pod zasłoną licznej artylerii i czworoboków piechoty walczyć mogła, sądził, jak wielkie musi być osłabienie koni naszych. — Nie była to jazda z czasów Zygmunto-wskich, która w 7000 koni pod Żółkiewskim na polach kluczyskich rozbiła potęgę 40.000 Moskali, wzmocnionych zaciągami i posiłkowymi wojskami szkockimi, francuskimi i szwedzkimi. Jakoż w istocie jazda francuska, osobiwie kirasyery i karabiniery, smutny przedstawiała widok. Ogromne ich konie wynędzniałe, wychudzone i odsiedzone, ledwie jeźdźców swoich z ciężką zbroją dźwigać i kłusem tylko małym poruszać się mogły.

Wszystka żywność i furaże w obrębie naszej pozycji zabrane były przez nieprzyjaciela. Na prawem skrzydle Nara tamowała wysyłki, przed frontem obozy rosyjskie. Trzeba ich było szukać o parę mil za nami i przed lewem skrzydłem. Lecz w tej stronie liczne podjazdy kozaków, ukryte w zasadkach, ciągle napadały na naszych furażerów i codzień nam urywały po kilkadziesiąt mniej ostrożnych ludzi.

Służba oficerów sztabowych w tych okolicznościach stała się nader uciążliwą. Konie nasze nie miały wypoczynku. Cały dzień przepędziwszy na rozpoznaniach i pochodach, w nocy nie mieliśmy czem ich posilić. Częstokroć tylko liście drzew, pod któremi obozowaliśmy, można im było podać. Dwa konie wierchowce z Warszawy przyprowadzone, musiałem nareszcie porzucić przed Moskwą jeszcze; w dobrach opuszczonych rosyjskiego bojara zabrałem ze stadniny trzyletnią klacz nieujeżdżoną, która mi jedna już tylko została. Dla służącego musiałem dokupić małego wytrzymałego podjezdka, a później od adjutanta generała Lefebre Decenotte nabyłem za kilka ludorów siwego konia, dość mocnego. Na tych to koniach trudną moją służbę pełniłem. Co się tyczy żywności, niedostatku jeszcze nie czułem. Generał Lefebre hojnie nas wszystkich podejmował, a kucharz jego przezorny miał w jukach swoich i furgonów generała zapasy żywności i wina na kilka tygodni.



W tem pamiętnem dla mnie stanowisku nad rzeką Czer-niczną wytrwaliśmy od dnia 5. do 18. października. Mieszka-liśmy w barakach, zapuszczonych parę stóp w ziemię. Dach z chrustu i darni zabezpieczał nas od deszczu. Barak podo-bny był dosyć ciepły; nieciliśmy w nim ogień, z którego dym otworem odchodził. Około 12-go października pierwsze szrony i ranne przymrozki dały się uczuć. Futro, zabrane z Moskwy, zaczęło mi czynić dobre przysługi, jemu to winien jestem obronę późniejszą od większych mrozów, w czasie pamiętnego odwrotu.

Na linii widet wszystko było spokojne; zdawało się ja-koby rozejm zatrzymał nieprzyjacielskie kroki. Przez zobopólną tajemną umowę, żaden strzał nie padł na tejże linii. Król neapolitański w polskiej aksamitnej zielonej czamarce, z czworograniastą czapką na głowie, przejeżdżał się po linii forpoczt i odbierał pokłony od kozaków, którzy czapki przed nim zdejmując, wołali: kral, kral! Nastąpiło nawet króla Mu-rata spotkanie na linii widet z generałem roryjskim Benning-senem, gdzie o nadziei rychłego zakończenia kroków nieprzy-jacielskich była także mowa. Wiadomo nam było, iż pułkownik ze sztabu cesarskiego, Berthemi, wysłany został z ramienia cesarskiego do generała Kutuzowa, z żądaniem wolnego prze-jazdu do Petersburga dla generała Lauristona. Zaczęto jeszcze bardziej wierzyć w zawieszenie broni, a nawet w rychły po-kój, mający koniec położyć naszym cierpieniom. Lecz nadzieja ta, podniecana przez oficerów rosyjskich, niczem innem nie była, jak tylko nowem sidłem, zastawionem na naszą zgubę przez Kutuzowa. Kiedy obóz jego w dostatki opływał i wzma-cniał się coraz bardziej, tak, iż nareszcie do 100.000 ludzi pod bronią liczyć w nim było można; my w ciągłym niedo-statku, i ludzie i konie codzień tracili, i widocznie na siłach słabnęli. Zawieszenie broni, tak obłudnie dotrzymywane na linii widet, nie miało żadnego znaczenia po skrzydłach. Tam co-dzień urywano nam furazerów naszych, tak dalece, iż nie było można inaczej, jak pod zasłoną mocnych oddziałów wysyłać

ich o milę od obozu. Dotychczas piechota nasza zachowała po trzy bataliony w każdym pułku. Lecz bataliony te liczyły tylko po 300 ludzi, i żadnej taktycznej siły już nie miały. Książę Poniatowski uznał potrzebę zredukowania liczby bata-lionów z trzech na dwa, w każdym pułku. Tym sposobem każda dywizya składała się z sześciu batalionów po 450 ludzi. Nadjechał też w tym czasie generał dywizyi Zajączek, wyle-czony z rany, pod Smoleńskiem odebranej, i objął dowództwo 16-tej dywizyi; generał Kniaziewicz zachował dowództwo nad dywizyą 18-stą.

Dnia 9. października odebrałem polecenie ze sztabu głów-nego, rozpoznania ściślejszego pozycyi naszej i sporządzenia planu tejże dla króla neapolitańskiego. W dniach 9. i 10. pa-ździernika zająłem się tą robotą, wspólnie z kapitanem Va-lentin d'Hauterive i dozorcą inżynierów Rosmanem, i plan stosowny przedstawiłem. Zachowałem dotąd kalk na olejnym papierze tej pracy naszej.

Dnia 17. przybył do obozu naszego konwój z żywnością i wódką, wysłany z Moskwy. Rozdano tegoż dnia pierwszą i drugą wojsku. W obozach francuskich żołnierze zgłodniali rzucili się na tę żywność i oddali się przez całą noc napo-jom przysłanym. Wielu nawet oficerów, zapomniawszy o swo-jej powinności, przepędziło noc na biesiadzie, i zrana dnia 15. byli prawie niezdatni do służby. Osobliwie w korpusie drugim Sebastianiego zaniechano wszelkiej ostrożności i zwyczajnych rannych patroli nie wysłano.

U nas przeciwnie, od godziny 3. zrana, cała jazda stała przy okiełznanych koniach, czekając powrotu patroli; pie-chota pod bronią, artylerya przy swoich oddziałach. Patrole powróciły nie spotkawszy nieprzyjaciela, jednakże lasu o 2000 metrów od nas leżącego dokładnie nie przejrzały. O godzinie 6. zrana jeszcze cichość panowała; konnica zaczęła rozkieł-znywać konie, piechota broń w kozły rozstawiła i do gotowa-nia rannego zabierała się, kiedy nagle kilka wystrzałów arma-tnich z pod lasu, naprzeciw nas leżącego, zagrzmiało. Dzień



dopiero się zaczynał. Na ten odgłos całe wojsko rzuciło się do broni. Już kozacy ze zwykłym okrzykiem: »koli, koli! hurra!« wpadli do obozu piechoty i kozły broni przewracać zaczęli, kiedy ich wołtyżery nasi spostrzegli.

W oka mgnieniu wojsko stanęło w szyku bojowym, konnica posunęła się naprzód, artylerya zaś nasza odpowiadać zaczęła nieprzyjacielskiej. Na lewem skrzydle chmura jazdy rosyjskiej napadła na drugi korpus Sebastianiego i zabrała w pierwszym zapędzie 38 dział bez asekuracyi, za wsią Czeczerynką stojących, i cały ten korpus w wielki wprawiła nieład. Wielu oficerów i żołnierzy, pogrążonych w śnie po nocnej biesiadzie, nie zdołało dopaść koni. Reszcie udało się zebrać i sformować za wsią. Książę Poniatowski rozkazał kilka dział zwrócić ku wzgórzom nad wsią Czeczerynką i w masę jazdy rosyjskiej granaty puszczać. Strzały te skutkowały i zapęd jej nieco wstrzymały. Rozpoczęła się porządniejsza bitwa. Kolumny 2-go i 3-go korpusu rosyjskiego, pod jenerałem Baggowuth, zaczęły występować z lasu przed nami leżącego, pod protekcyą luźnej artyleryi, i szybkim krokiem następowały na naszą pozycyę. Książę Poniatowski, ażeby zyskać czas dla przeprowadzenia piechoty swojej z lasku brzozowego przez parów za nami leżący, na prawy brzeg rzeki Czerniczny, które to poruszenie było koniecznem dla skoncentrowania sił naszych i zapobieżenia, aby nas nieprzyjaciel zupełnie nie oskrzydlił: rozkazał księciu Sułkowskiemu natrzeć na czele brygady swojej, z 5-tej strzelców i 13-tej huzarów złożonej, na zbliżające się kolumny piechoty nieprzyjacielskiej. Te zwinawszy swoich tyralierów, miały czas na sformowanie czworoboków. Jazda nasza nie zatrzymując się, wykonała atak kłusem i dwa czworoboki rozbiła. Tu podziwiać było trzeba zaciętość, z jaką młoda piechota rosyjska walczyła. Widziałem leżących na ziemi i rannych strzelców, którzy podnosili się za nami i do nas strzelali. Musiano ich dobijać, ażeby szkodliwsiymi się nie stali. Pod zasłoną tych szarż piechota nasza zakrywszy się tyralierami, którzy w lasku brzozowym się za-

trzymali, przebyła parów bez straty. — Książę Sułkowski, prowadząc jazdę naszą do ataku, odebrał postrzał w nogę; jeden z moich dobrych znajomych, Edward Potworowski, podporucznik w piątym pułku strzelców konnych, przestrzeloną miał także nogę. Przeprowadzając się przez parów, jenerał Lefebre Decenotte, ugodzony był w piersi kulą karabinową, która się oparła o blachę na pasie patrontaszowym. Zawołał: *je suis mort*, i wznak się rzucił. Objąłem go w moje ręce i rozerwawszy mundur, widziałem, że to tylko kontuzya. *Ce n'est rien Général*, powiedziałem mu i otrzeźwiwszy cokolwiek wódką z flaszki mojej, odprowadziłem o kilkaset kroków. Nieprzyjacielskie strzelcy żywo następowali. Mając pałasz dobyty poczułem, że kula karabinowa utkwiała mi w pochwie. Kilka chwil przedtem adjutant jenerała Lefebre, nazwiskiem Dautan, stracił konia od odłamu granatu. Wszyscy oficerowie sztabu otrzymali mocne kontuzye albo lekkie rany. Jenerał Lefebre Decenotte cokolwiek później miał konia zabitego od granatu. Co do mnie, miałem surdut kilka razy przedziurawiony kulami, i w pochwie od pałasza znalazłem wygniecioną kulę karabinową. Tymczasem kolumny piechoty rosyjskiej z 7-go i 8-go korpusu złożone, pod jenerałem Rajewskim postępowały ku frontowi pozycyi naszej, poprzedzone liczną artylerją. Przypomnieli sobie wówczas wszyscy pułk trzeci piechoty, pod komendą pułkownika Blumera, zostawiony w obserwacyi na ostatnim krańcu lasów. Wszyscy go mieli za stracony. Tymczasem Blumer, skoro spostrzegł poruszenie nieprzyjacielskie, zebrał swoje dwa bataliony i brzegiem lasu trzymając się, postępował w ściśniętych kolumnach ku nam. Z początku wzięli go Rosyanie za własne wojsko, lecz spostrzegłszy omyłkę, zaczęli jazdą i artylerją żywo na niego nacierać. Blumer nie straciwszy na chwilę przytomności, gdy się na pole równe dostał, uformował czworoboki, które się wzajemnym ogniem broniły; i wytrzymawszy kilka ataków, doszedł nareszcie do Czernicznej, przebył parów główny, w który ta rzeczka płynie i z niewypowiedzianą radością



przyjęty został przez nas. Działa swe nawet ocalił. — Krytyczniejsza chwila tego dnia dla nas, a osobliwie dla piątego korpusu minęła; siły nasze zewsząd koncentrowały się na trakcie woronowskim. Ataki jazdy rosyjskiej na lewem skrzydle, które aż do naszych parków pod Spas Kuplią doszły, zatrzymane zostały przez drugi korpus jazdy, który się porządnie nareszcie sformował i walecznie kilka razy ataki do niej przypuścił.

Nie można jednak było długo zatrzymać się na pozycji nad Czerniczną. Oczywiście rzeczą było, że całą rosyjską armię przed sobą mieliśmy. Uformowawszy więc piechotę naszą w czworoboki, zaczęto wolno ustępować pod zasłoną artylerii i jazdy ku Spas Kupli. Legia nadwiślańska podobnież w czworobokach porządnie się cofała. Nareszcie około godziny 1-szej z południa stanęliśmy na pozycji pod Spas Kupli, zupełnie połączeni, w należytem szyku bojowym prostopadle do drogi, prowadzącej z Woronowa, mając las pół milowy za sobą. W tem stanowisku ogień armatni jeszcze szedł żywo z obydwóch stron; czworoboki nasze jeszcze po raz kilka odpierać musiały szarże jazdy nieprzyjacielskiej. Nareszcie i te ustały, i nieprzyjaciel od dalszych ataków odstąpił; około 3. godziny po południu ogień ucichł zupełnie i korpus nasz zaczął się cofać przez las, oddzielający od Woronowa.

Straciliśmy w tej potrzebie blisko 1000 ludzi zabitych, pomiędzy którymi generałowie Léry i Fiszer, szef sztabu naszego, który odebrał postrzał karabinowy w głowę, i do 1000 niewolnika, prócz tego 38 armat i bagaże z drugiego korpusu, tudzież bagaże króla neapolitańskiego.

Strata piątego korpusu, przez śmierć generała Fiszera dotkliwszą się stała, wynosiła około 500 ludzi w zabitych, rannych, lub wziętych do niewoli.

Śmierć jenerała  
dywizyi  
Fiszera.

Jenerał dywizyi Fiszer należał do rzędu tych oficerów, których szczęście, jak to zwykle się mówić, było zakłete. Zabraný do niewoli rosyjskiej

z naczelnikiem Kościuszką pod Maciejowicami, zawieszony był do Petersburga, i tam w cytadeli kilka miesięcy przepędzwszy, wysłany został później na wygnanie, w prowincye odleglejsze państwa. Po śmierci cesarzowej Katarzyny, puszczony na wolność przez syna jej Pawła I., znalazł sposobność dostania się do legionów polskich we Włoszech. Przeznaczony do obrony Mantuy z częścią legii Dąbrowskiego, po kapitulacyi tej twierdzy, dostał się do austriackiej niewoli. Zamieniony później, wstąpił do legii polskiej naddunajskiej pod Kniaziewiczą rozkazy, i odbył z nim kampanię roku 1800. Ranny w tej wojnie, po zakończeniu jej traktatem lunewilskim, powrócił na łono rodziny do Prus południowych, teraźniejszego Księstwa Poznańskiego i wszedł w śluby małżeńskie z panią Kwilecką. Przepędzwszy lat kilka spokojnie na wsi roku 1806., za ukazaniem się francuskiej wielkiej armii, pospieszył ofiarować swoje usługi Napoleonowi. Roku 1809., był szefem sztabu księcia Poniatowskiego i odebrał niebezpieczną ranę pod Raszynem. Jenerał dywizyi Fiszer uchodził za dobrego oficera piechoty i organizatora najzdatniejszego naszego wojska. Był surowym przestrzegaczem karności wojskowej i energią swoją w służbie naprawiał to, co miękkość księcia Poniatowskiego częstokroć zepsuła; był nadzwyczajnie czynnym i odważnym w boju, lecz ciągłą intrygą i popędliwością swoją odrażał wielu i był powszechnie nielubiany przez niższych oficerów. Wzrost miał niski, twarz pociągłą, zwyczajnie zaperzoną, nos wielki, włosy jasne, łopatkę jedną wyższą. Zginął od kuli karabinowej, która w głowę go trafiła, w 45. roku życia swego.

Dnia 19. października zrana stanęliśmy na pozycji pod Woronowem; nieprzyjaciel nie następował za nami w przekonaniu, że wsparci jesteśmy przez wielką armię. Chciał bowiem uniknąć stanowczej bitwy. Piechota nasza stanęła za wsią Woronowem, jazda jenerała Lefebre Decenotte przed Woronowem. Zajęliśmy z jego sztabem jeden z pozostałych od pożaru domów od przyjazdu kałuskiego.



Dnia 18. października o godzinie 2. po południu, cesarz Napoleon zajęty był przeglądem jednego z korpusu swoich, gdy adjutant, wysłany zrana przez króla neapolitańskiego, przyniósł mu wiadomość o ogólnym ruchu wojska rosyjskiego. Przerwał natychmiast rewię i wydał stosowne rozkazy. Tego samego wieczora cała wielka armia wyszła z Moskwy i stanęła obozem na trakcie kałuskim. Nazajutrz dnia 19-go października francuska armia była w wielkim ruchu na tymże trakcie i przyspieszonym marszem dążyła do Woronowa na odsiecz królowi neapolitańskiemu.

Pojedynek mój  
z kapitanem  
Dautan.

W dniu 19. miałem nader nieprzyjemne zajęcie z adjutantem Jenerała Lefebre Decenotte, kapitanem Dautan, z powodu służby. Od wymówek grzeczniejszych przyszło do słów ostrych. Nareszcie, gdy się coraz bardziej unosił, dobyłem na niego pałasza i pchnąć go chciałem. Obecni oficerowie sztabowi rozbroili nas. Wskutek tej kłótni wyzwałem go natychmiast i wezwawszy na sekundanta kapitana inżynierów Valentin d'Hauterive, potykałem się z nim tego samego rana na pałasze i lekką ranę w rękę mu zadałem. Na tym się skończyła ta rozprawa. Po odbytych pojedynku żądałem od pułkownika Maletta, dowódcy mego, aby mi inne dał przeznaczenie, i pożegnawszy jenerała Lefebre Decenotte, który mi wszelką sprawiedliwość oddał za postępowanie moje przy boku jego w czasie bitwy dnia 18. października, gdzie go na chwilę nie odstałem i prawie sam przy nim pozostałem w czasie największego niebezpieczeństwa; powróciłem do sztabu głównego księcia Poniatowskiego. W kilka dni potem kapitan Dautan, w utarcze pod miastem Medyną, roznosząc rozkazy swego jenerała, skłóty został przez kozaków, o kilkadziesiąt kroków przed frontem naszej jazdy.

Dnia 20. października korpus piąty opuścił swoje stanowisko pod Woronowem i uboczną drogą, na Rykowo, zwrócił się na trakt z Moskwy do Borowska prowadzący. Spotkaliśmy na tym trakcie wielką armię, maszerującą w tym samym kierunku na Borowsk ku Mało-Jarosławcowi. Piechota miała

piękną postawę, osobiście gwardya cesarska; konnica tej gwardyi zupełnie wypoczęta w Moskwie, jeszcze groźną okazywała postać. Lecz widok kilku tysięcy jazdy spieszącej, pociągów niezliczonych artylerji, z trudnością postępujących, a nadewszystko mnóstwo nieprzejrane bagażów i teleg, kilkoma rzędami, pod eskortą pojedynczych ludzi oderwanych od szeregów, a zajmujących szerokość traktu, wiele dawały do myślenia, i smutny koniec całej wyprawy rokowały!

Doszedłszy do wsi Fominskoje, o 25 wiorst od Borowska, przecięliśmy główny trakt kałuski i zwrócili się do Werci. Tam stanęliśmy obozem dnia 22. Książę Poniatowski, wskutek odebranych rozkazów, wysłał z Werci jenerała Lefebre Decenotte z dywizją swoją ku Medyni, dodawszy mu pułk 15-szy piechoty.

Dnia 25. października jenerał Lefebre pod Medyną spotkał kilka pułków kozackich pod pułkownikiem Hłowańskim, którzy naprowadziwszy jazdę naszą na groblę, przez nieostrożność jenerała Lefebre ciężką jej zadali klęskę. Straciliśmy w tej nieszczęśliwej akcji najlepszą część dywizji, 5 armat artylerji konnej i jenerała Tyszkiewicza, który się dostał do niewoli. Wszyscy przytomni oficerowie na to się zgadzali, że nigdy kozaków nie widzieli tak ślepo i tak odważnie nacierających, i gdyby nie przydane dwa bataliony piechoty 15. pułku, ani jedna noga naszej jazdy nie byłaby uszła z tej potyczki. Tak więc złe rozporządzenie dowódcy może udaremnić waleczność najlepszego żołnierza. Lecz i to przydać potrzeba na obronę jazdy naszej, że konie jej do żadnego szybkiego obrotu już nie były zdolne. Było to pierwsze nasze niepowodzenie od początku kampanii, które strata pięciu dział tem dotkliw-szem czyniła.

Tego samego dnia wieczorem, wiadomość o tem nieszczęściu doszła do naszego obozu i wszystkich smutkiem nappełniła. W piechocie naszej liczono już tylko 4000 ludzi zdolnych do boju, w jeździe zaledwie 600 koni; prócz pięciu dział pod Medyną zabranych, wszystkie inne prowadzono za sobą;



artyleria nasza przez doświadczonych oficerów prowadzona, zaopatrzyła się w furaz i konie swoje ukuła ostro. Po krótkim pobycie pod Wercią i Jegorowskojem 5. korpus dnia 28. października rozpoczął swój odwrót z tego ostatniego miejsca ku Gżackowi. W wilię pierwsze mrozy dały się uczuć. Dnia 28. października dzień był posępny, sadz gęsta zakrywała pola. Zima moskiewska wielkim krokiem następowała na naszą zgubę.

Dzień ten 28. października był dla mnie prawdziwie fatalnym. Wysłany bowiem służący mój za furazem z dwoma powodowymi końmi nie powrócił więcej. Zabranym <sup>Strata</sup> <sup>dwóch koni.</sup> pewnie został przez kozaków eskortujących nas, i żadnej o nim nie miałem więcej wiadomości. Zostałem więc przy jednym tylko podjeźdźcu i odtąd sam myśleć musiałem o żywieniu i opatrywaniu go. — Mantelzaki z rzeczami także przepadły; został mi się tylko większy mantelzak w furgonie sztabowym inżynierskim, w którym także było nieco żywności, przysposobionej w Moskwie.

Odtąd nasz odwrót przybierał tę postać, którą nam Segur, Chambray i Buturlin, a osobliwie pierwszy w tak żywych oddali kolorach.

Dnia 30. października przedstawiło się oczom naszym pole bitwy Możajskiej. Widoczne tam były ślady olbrzymiej walki z dnia 7. września; niepochowane trupy, szkielety koni, ułamki łoż i wozów amunicyjnych okrywały pobojowisko. — Smutny ten widok zdawał się jakby przepowiednią tych cierpień i klęsk, które nas spotkać miały.

Wojsko nasze polskie, słabe co do liczby, maszerowało jeszcze porządnie; konnica z każdym dniem się zmniejszała, lecz artyleria, której przezorniejsi dowódcy kazali wszystkie swoje konie ostro okuć, zaopatrzyli się w żelazo i węgle, i znaczniejsze zapasy owsa ze sobą prowadzili, przebywała z łatwością wszystkie trudniejsze przesmyki, przy których francuska artyleria traciła zaprzęgi i działa.

Widzieliśmy przy każdej przeprawie wysilenia nadzwyczajne artylerzystów francuskich, dla wyratowania dział swoich, lecz płasko okute ogromne ich konie napróżno się wysilały, ażeby armaty i wozy pod górę wyciągnąć. Po nadludzkiej pracy oficerów i żołnierzy, musiano porzucać jedne jak i drugie; armaty więc zagwożdżano, wozy amunicyjne wysadzano w powietrze, konie porzucano. To wszystko zatrzymywało pochód następujących i utrudniało im przeprawę.

Tym sposobem droga od Możajskiej do Smoleńskiej, po której postępowaliśmy, załamaną została końmi i ułamkami dział i wozów, i to wszystko stało się łupem postępujących za nami kozaków.

Brak żywności i furazu na samym trakcie smoleńskim, przymuszał wojsko szukać ich po obydwóch stronach drogi, w odległości jednej do dwóch mil. Z początku czynność ta odbywała się porządnie i zbrojno, lecz skoro nieład i niekarność wkradła się w szeregi, każdego bez komendy zaczął na swoją rękę zdobywać żywność i furaz. Co chwila widziano pojedynczych ludzi, głuchych na przestrogi oficerów swoich, odrywających się od swoich batalionów, lub z braku sił zostających się w tyle. Jedni i drudzy wpadali w ręce kozaków, czchających na tę zdobycz. Wkrótce liczba żołnierzy pilnujących orłów swoich w sposób przerażający się zmniejszyła, mianowicie: w korpusie wice-króla, z Włochów złożonym; w korpusie Davoust'a i w korpusie marszałka Ney'a. — Niedługo oficerowie poszli za przykładem żołnierzy i zaczęli o sobie myśleć. Nareszcie generałowie zostali bez brygad, marszałkowie bez korpusów.

I tak naprzykład dochodząc do Wiazmy, liczba żołnierzy zdalnych do boju wynosiła tylko: 1. korpus Davoust'a <sup>1)</sup> 13.000 ludzi; 3. korpus Ney'a 6.000 ludzi; 4. korpus Wło-

<sup>1)</sup> Korpus Davoust'a na początku kampanii liczył 60.000 ludzi, wychodząc z Moskwy 27.000 ludzi, pod Wiazmą 13.000 ludzi, a pod Berezyną 1.200 ludzi.



chy 12.000 ludzi; 5. korpus ks. Poniatowskiego 3.500 ludzi; 1. i 3. korpus jazdy i jazda lekka 3.000 ludzi. Razem 37.500 ludzi.

W liczbie tej jazda zaledwie mogła być użytą, dla słabości koni; artylerya wprawdzie była liczną, lecz z tego samego powodu z trudnością postępowała i tylko na pozycyi dała się użyć. Gwardya i ósmy korpus westfalski (1.200 ludzi nie są tu liczone) wyprzedziły nas bowiem na trakcie drogowuskim.

Dnia 3. listopada, korpus piąty polski, pod komendą jenerała dywizyi Zajączka w zastępstwie księcia Poniatowskiego, który wskutek zwichnięcia nogi nie mógł konia dosiąść i w powozie za nami jechać musiał, zbliżył się zrana do Wiazmy. Połączone tam cztery korpusy, w liczbie wyżej oznaczonej, stoczyły bitwę z korpusem jenerała Miłoradowicza, dowodzącego przednią strażą Kutuzowa. Bitwa ta dla zmęczenia żołnierza, braku żywności i nieporządku, który się zakradł do korpusu Davoust'a, niepomyślnie dla nas wypadła. Korpus piąty, wystawiony na ogień przemagający artylerji rosyjskiej i częste natarcia jazdy, stracił w tym dniu kilkaset ludzi i jedno zdemontowane działo. Jenerał Pelletier dowodzący artylerją naszą, zbliżywszy się zanadto do kolumn rosyjskich, wraz z adjutantem Żwanem wzięty był do niewoli w stanie podobno nietrzeźwym.

Lecz straty dnia tego nie były tak wielkie, jak skutki dezorganizacji coraz większej w szeregach naszych. Na drodze od Wiazmy do Smoleńska mrozy zaczęły być mocniejsze i niedostatek żywności i furażu dolegliwszy. Przeprawa przez Wop, kosztowała wice-króla całą artylerję i bagaże czwartego korpusu; brygada z dywizyi jenerała Baragnay d'Hillier zabrana została przez nieprzyjaciela; nareszcie odebrano wiadomość o zajęciu Witebska na tyłach naszych. Tyle katastrof, obok strat, które wielka armia z przyczyny wzmagających się mrozów ponosiła, mogły zwalczyć jej ducha i przygotować ostateczny upadek.

Dnia 10. listopada stanęliśmy pod Smoleńskiem przy 12-stopniowym mrozie. Dni następnych 11., 12 i 13. mieliśmy 17 stopni. Rozłożyliśmy się na przedmieściu, na prawem skrzydle miasta, z tej samej strony, z której przypuszczaliśmy nasze ataki. Co do mnie i kilku kolegów moich, zajęliśmy chałupę ciepłą i tam przez jeden dzień wypoczywaliśmy po tylu trudach. Korzystając z bliskości miasta, zaopatrzyłem się cokolwiek w żywność.

Dnia 12-go listopada korpus piąty, stojący na trakcie mściśławskim, o dwie mile drogi od Smoleńska, zwrócił ku Krasnemu za Wołkowo.

Po wypoczynku przez jeden dzień i dwie nocy, opuściłem Smoleńsk dnia 12. po południu i udałem się do Krasnoje, gdzie dnia 13. wieczorem stanąłem i zastałem już niektórych oficerów naszych z pułkownikiem Malletem, ulokowanych w dobrym domku drewnianym, w ulicy bocznej od smoleńskiej drogi. W mieście stał batalion gwardyi cesarskiej, którym komenderujący oficer zajął kościół na cmentarzu, środek rynku i kilka murowanych domów tegoż rynku obsadził. Ta ostrożność uratowała nas od zguby. Przepędziwszy noc z 13. na 14. października, o godzinie 4. zrana zaczęliśmy gotować nasz ranny posiłek, wtem strzały karabinowe i armatnie w lewej stronie miasta przerwały miłe nam zatrudnienie. Chwyciliśmy za broń i pospieżyli na rynek, dla połączenia się z batalionem gwardyi cesarskiej, który ogniem z cmentarza odpierał nieprzyjacielskich strzelców. Był to korpus partyzancki, pod komendą jenerała Ożarowskiego. Po kilku strzałach armatnich i żywym ogniu broni ręcznej, oddział ten zrażony niespodziewanym oporem, cofnął się z ulic i zajął pozycję pod Kontkową. Nad wieczorem dnia 14. korpus piąty, złożony zaledwie z 1.500 ludzi pod bronią, stanął pod Krasnem. Jenerał Zajązek zajął ze sztabem swoim dom drewniany na rynku, od smoleńskiego zajazdu. Pułki przeszły za miasto i obozowały na prawym brzegu traktu Orszy. Noc była nadzwyczajnie mroźna. W pierwszej wielkiej izbie domu



tego natłoczyło się przeszło pięćdziesięciu oficerów, ze sztabu i piechoty, i tam leżąc jedni na drugich przepędziliśmy noc całą w gorącu i zaduchu okropnym; pod naszymi oknami kilku żołnierzy zmarzniętych zrana zastaliśmy.

Dnia 15. za nadejściem pierwszych kolumn gwardyi, wyruszyliśmy ku Liadzie. Bateria rosyjska, ustawiona na lewej stronie drogi, witała nas kulami swemi podczas tego poruszenia. Przeszliśmy więc na stronę miasta od Liad bez straty i spokojnie maszerowaliśmy wielkim traktem, pomiędzy dwoma rzędami niebotycznych brzoź ku Liadzie. Temperatura dnia tego złagodziła się nieco i dla nas Polaków nie była nawet nieprzyjemną.

W Liadzie witali nas pierwsi żydzi polscy; widok ich czarnych długich sukien, czapek futrzanych i pejsów rozwelelił nas cokolwiek.

Dnia 16. stanęliśmy w Drubrownie, w przedniej straży wielkiej armii. Nazajutrz, dnia 17. listopada, Napoleon ze szczątkami swych wojsk, zaledwie 20.000 ludzi pod bronią wynoszącymi, odważył się zaczepnie działać przeciw armii księcia Kutuzowa do 80.000 ludzi liczącej. Nie mieliśmy udziału w tej bajecznej bitwie; tego dnia bowiem dochodziliśmy do Orszy. Napoleon wycofawszy się szczęśliwie z pod Krasnego, przybył na noc dnia 17. pod Liady.

Korpus Neya, zakrywający odwrót na głównym trakcie od Smoleńska, odcięty został od nas przez generała Miłoradowicza i zdawał się być stracony. Lecz dzięki odwadze i wytrwałości dowódcy, w ciągu kilku dni potem połączył się z nami pod Orszą. Stracił konie, działa, bagaże i kilka tysięcy ludzi. Odwrót Neya i przeprawa przez Dniepr, do najświetniejszych dzieł tej kampanii bez wątpienia należały.

Zabawiwszy dzień jeden, to jest 18. listopada w Orszy, wyruszyliśmy dnia 19. o dwie mile na trakt miński. Zostawiono kilku oficerów w Orszy, z poleceniem zbierania pojedynczych ludzi i zaprowadzenia ich do głównej kwatery. Tym sposobem szeregi nasze powiększone zostały kilkuset ludźmi.

Lecz przywyknienie do maszerowania i szukania na swoją rękę żywności nie dało się przezwyciężyć u wielu innych; pomimo, że magazyny w Orszy były dla nich otwarte, woleli w osobnych kupkach pozostać, w obawie, aby zdobyczy i żywność, które powózkami prowadzili od Moskwy, nie postradać, a ponieważ broni nie porzucili, mogli napaści pojedynczych kozaków odpierać z łatwością. Ci żyli w obfitości, kiedy żołnierze orłów pilnujący, innego nie mieli pożywienia, jak mięso z koni na trakcie porzuconych. Tem to tłumaczyć można, dlaczego szeregi nasze z każdym dniem się zmniejszały, tak dalece, iż korpus piąty, dochodząc do Orszy, nie liczył więcej nad 1.200 ludzi.

Co do mnie, odbyłem cały pochód od chwili utracenia koni i bagażów, na podjezdku, dla którego musiałem starać się o furaz na każdym noclegu. Żywiłem się jak mogłem, aż do Smoleńska, to gotując wspólnie z kolegami żywność, którąśmy w furgoniku prowadzili ze sobą od Moskwy, to udając się do łaski pułkownika Bontempsa, komendanta pułku artylerji, który w furgonach swoich miał ciągle dostatek wszystkiego i często mnie do siebie zapraszał. Przeciwnie zimnu, opatrzone byłem ciepłem futrem z wilków, temu winienem ocalenie moje. Nogi mniej dobrze były opatrzone, podobnież i głowa kapeluszem stosowanym okryta.

Dochodząc do Krasnoj, koń mój tak mocno się odgrudził, iż z trudnością dalej prowadzić go mogłem; minawszy Liady, musiałem go porzucić i pieszo przebyć drogę do Orszy i stąd do Berezyny. Marsz ten ostatni dał mi się szczególnie we znaki. Dnia 19 bowiem temperatura zupełnie złagodniała; raptowna odwilż przemieniła trakty w błotne kałuże, które liczne wozy i armaty wkrótce zupełnie rozjeżdżyły. Musiałem w lekkim obuwiu postępować po tem błotnistem morzu i nieraz tak byłem zmęczony, iż zacząłem o sobie powątpiewać. W chwili takiej, kiedy wysilony siadłem na boku drogi dla wypoczęcia, spotykam pułkownika Malleta w dobrej bryczce, zaprzężonej w trzy silne konie; wołam na niego, przedsta-



wiam stan mój i proszę, ażeby się nademną zlitował i na bryczkę zabrał. Lecz człowiek ten bez serca, niepomny na dawne stosunki, odmówił mi wręcz tej pomocy i zimno spojrzawszy, kazał mnie minąć. W kilka chwil później, nadszedł pociąg wozów i armat polskich. Pułkownik artylerji Walewski, widząc moje położenie, zlitował się przeciw nademną i pozwolił mi sięść na armatnim łożu. Tym sposobem przebyłem trudną część drogi od Tołoczyna do Bobru. Dnia 22 doszliśmy do Tołoczyna, a dnia 23. do Bobru. Pod tym miastem doszła nas wiadomość o zajęciu Borysowa przez korpus Czyczagowa i o klęsce, poniesionej przez dywizję generała Dąbrowskiego, przy obronie mostu na Berezynie; nareszcie o zbliżaniu się od Witebska korpusu Wittgensteina.

Położenie szczątków wielkiej armii stało się przez to tak krytycznem, iż tylko niesłychanym błędem, popełnionym przez dowódców nieprzyjacielskich przypisać było można szczęśliwe przeprawienie się nasze przez Berezynę pod Studzianką. Dnia 20. listopada generał Dąbrowski, po nieszczęśliwej potyczce pod Koydanowem, w której stracił cały niemal oddział generała Kosseckiego, stanął w nocy w okopach pod Borysowem z trzema batalionami piechoty, kilkoma szwadronami jazdy i dwudziestoma działami. Nieobznajomiony dokładnie z miejscowością, czekał do rana, ażeby uszykować wojsko swoje na pozycyi. Lecz dnia 21. o godzinie 6. zrana zaatakowany został niespodziewanie przez dywizję generała Lamberta, mającą w odwodzie dywizję Langerona, stanowiącą przednią straż admirała Czyczagowa. Bitwa rozpoczęła się najzaciętsza. Generał Dąbrowski widząc dobrze, iż od zachowania mostu zależało ocalenie wielkiej armii, bronił pozycyi jak najsilniej; w czasie boju otrzymawszy posiłek dwóch batalionów pod generałem Pakoszem, wracających z pod Bobrujska, zapewnił sobie nimi tyły i przeprawę przez most berezynski. Bitwa toczyła się przez cały dzień, nareszcie Langeron wzmocniony świeżemi batalionami, przypuścił ogólny atak na osłabione długą bitwą linie polskie, przełamał je i wyparł za

Berezynę, ze stratą 2.000 ludzi, jednego orła i trzech dział. Generał Dąbrowski w tej bitwie to wszystko uczynił, czego od doświadczonego i walecznego wodza spodziewać się tylko można było, lecz uleść musiał przemagającym siłom i sam jeden z ostatnich przeszedł przez most na Berezynie.

Po zajęciu Borysowa przez nieprzyjaciela, cesarz zmuszony był szukać innego punktu przeprawy. Wybrano w tym celu wieś Studziankę, o dwie mile powyżej Borysowa. Po kilku demonstracyach powyżej i poniżej, celem uwiedzenia generała Czyczagowa, zaczęto stawiać mosty dnia 26 listopada o godzinie 6 zrana pod osłoną artylerji drugiego korpusu i gwardyi, rozstawionych na wzgórzach, panujących nad Berezyną i wobec korpusu nieprzyjacielskiego pod generałem Czaplicem, stojącym na wzgórzach pod Brykowem. Tegoż dnia cała wielka armia włącznie z gwardyami, korpusem Oudinot'a i Victora, wynosiła już tylko 29.700 ludzi pod bronią. Między tymi było Polaków około 6.000, mianowicie: korpus piąty pod generałami: Zajączkiem i Kniaziewiczem, dywizya Dąbrowskiego, jazda tej dywizyi, dywizya Girard'a składająca się z 4, 7 i 9 pułku piechoty, i legia nadwiślańska. Mosty zbudowano na kozłach z lekkiego materiału, pochodzącego z domów wsi Studzianki. Lewy przeznaczony był dla pociągów i jazdy, prawy dla piechoty. Budowę zajęli się generałowie Ellé od artylerji i Chasseloup od inżynierji; pontonierzy francuscy i kompania saperów polskich z dywizyi Dąbrowskiego, poświęcili się tej ciężkiej robocie, wymagającej zanurzenia się po pas w rzecę, krą płynącą. Większa część tych ludzi padła ofiarą swojego poświęcenia. Napoleon od godziny 7 zrana stał przy mostach i wszystkich zachęcał. Most po prawej stronie był gotów o godzinie 1. w południe. Zaraz po nim defilował korpus drugi Oudinot'a z 5.600 piechoty i 1.400 jazdy, z dywizyą Dąbrowskiego, i atakował oddział Czaplica. Po krótkiej utarczce Czaplic cofnął się ku Borysowu. Tym sposobem droga do Wilna, na Zembin i Pleszczenice otwartą dla nas została. Most lewy gotowy był o trzy godziny później. W cza-



sie budowy mostów Czyczagow, uwiedziony demonstracjami Napoleona, zwróconą miał uwagę ku niższej Berezynie i spodziewając się przeprawy w okolicy miasta Berezyny, z większą częścią sił swoich wyruszył ku Szabaszewicom, w stronę przeciwną. Dopiero po odebraniu raportu od jenerała Czapllica o istotnym stanie rzeczy, pospieszył do Borysowa i stanął dnia 28 z rana z całą swoją armią, liczącą 17.000 ludzi i 9.000 jazdy, na trasie, prowadzącym z Borysowa do Zem-bina, naprzeciw korpusu Oudinot'a.

W dniu 26. nad wieczorem przybyłem pieszo i bardzo znużony do Studzianki. Spotkałem tam przyjaciela i kolegę, Prądyńskiego. Jakież było jego zdziwienie i smutek na widok szczątków naszego korpusu i wielkiej armii; co za różnica od czterech miesięcy! Wojska, dawniej tak świetne, tak potężne, w stanie najopłakańszym przedstawiały się jego oczom. W posród masy zdeorganizowanej i bezbronnej, maszerowały pojedyncze plutony pilnujące orłów swoich, i te nazywano korpusami 1. 3. 4. i 5. wielkiej armii! Jazdy już wcale nie było, zbiedzone jej oddziały, do cieniów podobne, w całej tej bezładnej zgrai rozrzucone były. Tylko korpus piąty zachował większą część artylerii swojej; część bowiem odstąpić musiał korpusowi czwartemu, z Włochów składającemu się, który między Smoleńskiem i Orszą pozostawił na drodze. Gwardya cesarska tylko przedstawiała masę, do wojska podobną. Tłum ten konnych, pieszych i na wozach żołnierzy, ciurów, maruderów i powózek postępował w milczeniu. Na twarzach bladych, wychudłych, okopconych dymem ogniska, zeszpeconych długą brodą, malowało się odrętwienie lub rozpacz. Wszelkie usiłowania, aby powrócić szeregom tych ludzi, oderwanych od pułków i zdatnych jeszcze do broni, były nadaremne. Nie było do tego środka. Węzły karności zupełnie były zerwane. Oficer, jenerał i żołnierz, jeden los dzielili; różnica pomiędzy nimi ustała. Klęska tak wielka, tak wielki niedostatek wszystkich zrównoważyły. Pomimo to, co do

mojej osoby nie poddawałem się rozpacz, tak jak drudzy, i z wielką spokojnością radziłem sobie, jak mogłem. Jednakże różnica w mojej powierzchowności wzbudziła współczucie w pocziwem sercu Prądyńskiego; rozplakał się na mój widok; opatrzył mnie w żywność i konia dobrego odstąpił, miał ich bowiem kilka, zdobytych w utarczках pod Bobrujskiem. Dnia więc 27. przyjechałem konno, lubo z trudnością wielką przez lewy most za artylerią korpusu piątego i dostałem się szczęśliwie na brzeg przeciwny. Bagno od mostów aż do wzgórza, panującego nad przeprawą, było zamrożnięte. Przed dwoma dniami, w czasie odwilży, przejść po niem było niepodobna.

Połączyłem się tego wieczora z dywizją Dąbrowskiego i noc przepędziliśmy razem z Prądyńskim, okryci moim futrem, w lesie sosnowym na prawej stronie drogi, prowadzącej do Borysowa. Dnia 28. o godzinie 7. zrana nieprzyjaciół atakował nas całą siłą. Marszałek Ney po Oudinocie, rannym w dniu 26., objął komendę nad nami. Dywizya Dąbrowskiego przeszła na lewo drogi i rozrzucona w tyraliery, bez żadnego wsparcia ani odwodu, potykała się przez cały dzień z chmarą nieprzyjacielskich tyralierów; jenerał Zajacek z resztkami korpusu piątego, wynoszącymi zaledwie 1.200 ludzi, walczył na prawej stronie; legia nadwiślańska przysłała mu w pomoc. Artylerya nasza stała na drodze; jazda w miejscach, gdzie las rzadszy dozwalał się jej poruszać, dzielnie szarżę przypuszczała, rozbiła piechotę rosyjską i parę tysięcy jeńców, najwięcej rannych zabrała. Ogień zacięty wrzał ze wszystkich stron. Raz Rosyanie przyparci rozpaczliwymi atakami naszej piechoty i jazdy, cofali się ku swoim rezerwom; drugi raz nasi przed siłą przełamującą ustępowali i zebrawszy się w kupki, z podwójną natarczywością posuwali się znowu naprzód.

Gdy się to działo, na prawym brzegu Berezyny marszałek Victor z jedną dywizją polską Girard'a, później wzmocniony dywizją jenerała Daendels'a i kilkuset jazdy pod jene-

Bitwa nad Berezyną dnia 28 listopada.



rałem Fournier'em, odpierał z wielką stałością na lewym brzegu Berezyny ataki korpusu Wittgensteina. Trzecia dywizja korpusu pod generałem Partonay'em, w nocy z dnia 27. na 28. odciętą zostawszy pomiędzy Studzianką a Borysowem, zmuszona była broń złożyć przed korpusem Wittgensteina. Nieszczęśliwy ten wypadek utrudnił bardziej obronę mostów z lewego brzegu. Napoleon z 6.400 starej i młodej gwardyi stał nieporuszony pod Borysowem, gotów nieść pomoc, gdzieby się potrzeba tego okazała.

Około godziny 11. zrana, generał Dąbrowski ranny został w rękę, w której trzymał szablę Sobieskiego i opuścić musiał pobojowisko. Cokolwiek później Kniaziewicz odebrał kontuzję w nogę, a generałowi Zajaczkowi kula armatnia urwała nogę. Zaniesiono go do biwaku cesarskiego i tamże opatrzony był przez doktora Larrey'a w przytomności cesarza. Około godziny 1. w południe koń padł podemną, przestrzeloną mając szczękę od kuli karabinowej; podniosłem go i widząc, że się da uratować, odprowadziłem w tył i oddałem służącemu Prądyńskiego, który widząc mnie spieszącego, a mając jeszcze kilka luźnych koni, podał mi drugiego. Około godziny 4. po południu ogień zaczął wolnieć na całej linii. Rosyanie nie mogąc nas przełamać, zaczęli tyralierów strąbywać i biwaki na linii bojowej swojej zakładać.

W czasie bitwy znaczna część bagażów, parków i pojedynczych maruderów defilowała przez mosty; budowane ze słabego materiału, często pod ciężarem uciekających łamały się i naprawy potrzebowały. Pochód bezbronnej zgrai zatrzymany przeto został kilka razy; w bliskości mostów ciżba coraz większa się stawiała. Nareszcie, gdy kule Wittgensteina zaczęły padać między ten tłum, wszystko się zerwało, chcąc dosięgnąć mostów. Powstał ogromny zgłęb, gdy mosty przez straż tylną zajęte zostały. Już było zapóźno do uratowania tej masy bezbronnych ludzi. Za nadejściem pierwszych oddziałów rosyjskich, ośłupienie ogarnęło wszystkich. Do 20.000

ludzi i ogromna ilość wozów dostała się w ręce nieprzyjaciela <sup>1)</sup>).

Noc z 28. na 29. listopada po bitwie, przepędziłem na bagnach ramarzniętych nad rzeczką Gayną, przy stogach siana. Znalazłem cokolwiek kaszy w sakwach, na koniu Prądyńskiego i tą posiłem się po ciężkiej pracy. Nazajutrz dnia 29. wyruszyłem w dalszy pochód. Droga prowadziła szeregiem nieprzerwanych mostów, w długości 300 sążni, ku miasteczku Zembinowi. Nieprzyjacielskie oddziały krążące w okolicy, zaniedbały spalenia tych mostów, które stanowiły dla niedobitków jedyną przeprawę. Tym sposobem zostaliśmy uratowani. Na drodze spotkałem cesarza z królem Neapolitańskim, w zamkniętej karecie jadącego wolno, wśród pieszej gwardyi. Marszałek Davoust i książę Nevchatelski Berthier, siedzieli za powozem w ubiorach, dawnej ich wielkości wcale nie przypominających. Pierwszy po stracie korpusu przedstawiał obraz najopłakaniejszy. Widać było na jego twarzy cierpienie i ośłupienie zarazem. Postępując zwolna i wyprzedzwszy kolumnę cesarską, doszedłem do miasteczka Zemбина.

Dnia 30. listopada stanąłem nareszcie w Pleszczenicy. Zastałem tam rannego generała Dąbrowskiego, spoczywającego w domu drewnianym, w którym w wilię dnia marszałek Oudinot, ranny także dnia 27. z innymi rannymi oficerami i żołnierzami, mianowicie z włoskim generałem dywizyi Pino, zabarykadowawszy się, wytrzymali atak ze strony generała rosyjskiego Łanskoja, na czele lekkiego oddziału jazdy z dwoma działami, odeprzeć go potrafili. Dom nosił jeszcze na sobie ślady walki. Kilka kul armatnich przedziurawiły go bowiem na wylot.

Cesarz Napoleon stanął dnia 28. listopada w Mołodecznie i tu postanowił opuścić armię i wrócić do Paryża.

<sup>1)</sup> Okropne sceny przy mostach, opisane są dokładnie w dziełach Chambray'a i Buturlina. Nie będąc ich świadkiem, pominąć takowe muszę.



Co do mnie, sprzągłszy konia mego z koniem oficera Urmowskiego i nabywszy lekkie sanki, puściłem się wśród okropnego mrozu do Wilna na Mołodeczną, Smorgonię, sławną pomiędzy Litwinami z akademii niedźwiedziej, Oszmianę, Ryhomię — i stanąłem w stolicy litewskiej dnia 7. grudnia.

Wiadomość o naszych klęskach jeszcze nie była zupełnie doszła do miasta. Nikt się nie spodziewał takiego pogromu. Dostałem kwaterę u pocziwego obywatela, gdzie sobie przez dzień jeden wypocząłem i wykapałem się; a pomimo tego iż niema nic niebezpieczniejszego, jak kąpiel po 25-stopniowym mrozie, nie zaszkodziłem zdrowiu. Tu także zastałem księcia Poniatowskiego, generała Dąbrowskiego, pułkownika Rautenstraucha i innych wyższych oficerów, którzy nas wyprzedzili. Pokrzepiwszy się przez jeden dzień i opatrzywszy w cokolwiek bielizny i pieniędzy z łaski pułkownika Stanisława Chłapowskiego, adjutanta przy Dąbrowskim, puściłem się dnia 9. grudnia zrana w towarzystwie podpułkownika Urmowskiego na Ponary do Kowna. Artylerya nasza i wszystkie pojedyncze oddziały poszły w kierunku Olity. Drogę tę także obrał książę Poniatowski ze swoim sztabem. Dnia 11. przybyłem do Kowna i nie zatrzymawszy się w tem mieście, przeprawiłem się przez zamrożony Niemen i stanąłem na noc w Aleksocie wraz z generałem Dąbrowskim, w domu pośła Godlewskiego, który nas z gościnnością staropolską i z otwartymi rękami przyjął. Była to pierwsza noc prawdziwego wypoczynku po tak wielkich znojach. Lecz i tu nie można było długo pozostać, nie chcieliśmy być pochłonięci ciżbą zdeorganizowanej armii. Ruszyliśmy więc dalej lasami, okrywającymi północną część augustowskiego województwa i dło skrócenia sobie drogi, przetrznawszy się przez część wschodnich Prus około Johanisberga, przez Pułtusk i Sierock, stanęliśmy w Warszawie dnia 20. grudnia. Cesarz dnia 10. grudnia już przejeżdżał przez Warszawę, w towarzystwie generała Caulincour'a i kapitana Wąsowicza, i po krótkiej rozmowie z wyższymi władzami i arcybiskupem de Praett, nadzwyczajnym

posłem swoim przy konfederacji, wyruszył do Drezna. Książę Poniatowski w trzy dni później, to jest dnia 13. przybył także do Warszawy. Zaczęły się ściągać do stolicy wszystkie pojedyncze oddziały, artylerya, jazda, oderwańcy i t. d., którzy w zbyt szybkim odwrocie potrafili ocalić swoje życie od mrozów i następujących kozaków. Zaledwie 6.000 ludzi i to bezbronnych w większej części, powróciło z korpusu piątego, 32.000 ludzi wynoszącego w czasie przeprawy przez Niemen, prócz oddziałów jazdy, rozrzuconych w wielkiej armii.

Legia nadwiślańska, gwardya konna Krasińskiego, dywizya polska z korpusu Victora, dywizya grenadyerów z korpusu Macdonald'a, innymi szły traktami. Litewskie pułki piesze nowo sformowane pod generałem Giedroyciem, pułkownikiem Czapskim, Giełgudem i t. d., zwrócone zostały do Modlina.

Po niewielkim spoczynku zaczęto myśleć o środkach zreorganizowania tej bezładnej masy. Użyto na to kadrów piechoty i zakładowych szwadronów jazdy. Artylerya prawie wszystkie działa swoje szczęśliwie doprowadziła i z chlubnym poświęceniem, jedna tylko zachowała porządek w ludziach i zaprzęgach. Dowodził nią waleczny pułkownik Górski. Park artyleryi i oddziały saperów: pierwszy pod rozkazami pułkownika Bontemps'a, bez wielkiej straty, w należyтым porządku przybyły do Warszawy.

Z powracających żołnierzy, z kadrów piechoty i z rekrutów, których departamenta przez Rosyan nie zajęte, dostarczyły, uformowano sześć nowych pułków pieszych. W zakładach jazdy po zarekwirowaniu kilku tysięcy koni, znaleziono tyle jeszcze ludzi i koni, iż dołączywszy pozostałych jeźdźców: sześć pułków konnych, mianowicie: 1, 3, 6, 8, 12 i 13 jazdy uformować było można, lubo niekompletnych.

Jenerał Dąbrowski w Kaliszu i okolicach zebrał kadry swojej dywizyi i przyłączywszy do nich świeży pobór, sformował dwa pułki piechoty i dwa pułki jazdy. Nareszcie w pierwszych dniach stycznia roku 1813. zwołane zostało



pospolite ruszenie w departamentach, nie zajętych przez nieprzyjaciela. Na to wezwanie w departamentach na lewym brzegu położonych, w przeciągu sześciu tygodni stanęło około 8.000 jazdy na koniach mierzynach, uzbrojonych w lance z chorągiewkami, pałasze i pistolety, i wszyscy umundurowani. Departament poznański dostawił 2.000 koni w mundurach granatowych z amarantowymi wyłogami lub wypustkami. Departament kaliski 2.000 koni w granatowych z niebieskimi przyborami, pod komendą starego pułkownika Bierackiego. Departament krakowski 2.000 w ubiorze krakowskim, właściwym chłopom w okolicach Proszowic i Szkalmierza. Ile dostarczyły departamenta inne, nie jest mi wiadome. Owo pospolite ruszenie złożone było z samych chłopów -- zblądzono w tem, iż na dowódców nie dano im starszych oficerów i podoficerów. Właściciele ziemscy bez doświadczenia, zastąpić ich byli zmuszeni. Lecz nie było czasu do uporządkowania i wymustrowania tego naprędce zebranego żołnierza. Chociaż wysilenie takie po wystawieniu 6.000 żołnierza, bardzo ciążyło na obywatelach, przecie bez szemrania, z największą ochotą, każdy się garnał do oręża, lub dostawiał nakazanych: ludzi i koni. Lecz za to w krótkim czasie nieład i zniechęcenie wkraść się musiały w szeregi. Za pierwszą wiadomością o przejściu Wisły przez Rosyan, dezercya się rozpoczęła i w dwa tygodnie ledwie się 2.000 koni z tego całego pospolitego ruszenia przy chorągwiach znalazło!